

HENRYK BRANDT

PAMIĘTNIKI  
**OFICERA POLSKIEGO**

(1808-1812)

przekład z niemieckiego

M.G.

z przedmową prof. SZYMONA ASKENAZEGO

Część II.

WARSZAWA

DRUKARNIA  
A. T. JEZIERSKIEGO  
47. Nowy świat 47.

1904.

W Bajonnie dano nam przed wymarszem dwa dni wypoczynku, a raczej rozrywki. Zachowywaliśmy się przez ten czas jak marynarze, gdy powracają do kraju z długiej podróży. Dopuszczaliśmy się rozmaitych wybryków, lecz Francuzi sędzili nas bardzo pobłażliwie.

— Mój Boże! — mówili. — Ci ludzie narażali się na śmierć każdej chwili, cierpieli najokropniejsze braki przez całe lata. Za kilka godzin powrócą znów do tego straszego życia: *pourquoi donc faire des querelles à ces braves gens?*

Wieczorem, po dobrym obiedzie, zebrało się nas 30 — 40 oficerów i poszliśmy do teatru, gdzie dawano jakiś melodramat; było tam dużo wojskowych wszelakich stopni i robili taki hałas, że z trudnością doprowadzono sztukę do końca; ale publiczność była tak pobłażliwa, że nie okazywała niezadowolenia. Jeden oficer od huzarów, osobliwie podniecony, siedział w łożu pierwszego piętra; trzeba tu dodać; że teatr był bardzo źle zbudowany i że w podłodze były duże szpary. Zdarzyło się, że jakaś dama, siedząca nad łożą huzara na drugim piętrze, upuściła flakonik wody kolońskiej, i zawartość tego flakonika,

6

który się stłukł w upadku, wylała się na głowę huzara. Oficer wpadł we wściekłość. Zerwał się i zawołał donośnym głosem:

— Panie komisarzu! tu..... nam na głowę! To jest zniewaga, którą w mojej osobie wyrządzono całej armii aragońskiej! i t. d...

Tego już było trochę zawiele dla publiki.

W pierwszej chwili podniosła się wrzawa, komisarz i plac-major weszli do łoża i chcieli wyprowadzić burzyciela spokoju, ale huzar oznajmił, że da się raczej porąbać w kawałki, niż wyprowadzić z teatru. Nakoniec zaproponował to, co nazwał kapitulacją i dał słowo honoru, że będzie się zachowywał cicho, jeżeli go pozostawią w spokoju. Układ został przyjęty i uczciwie dotrzymany. Oficer siedział spokojnie, a po przedstawieniu powrócił konno, mimo ciemnej nocy, na swoją kwaterę, odległą o milę od miasta.

31 stycznia zawiadomiono nas o dalszem naszym przeznaczeniu. Mielśmy eskortować do Vitoryi wielki transport pieniędzy i amunicji i rzeczywiście widzieliśmy już w pobliżu miasta formujący się konwój pod dowództwem pułkownika Dentzla.

Wiedzieliśmy z doświadczenia, co znaczy taki rozkaz. Po przybyciu do miejsca przeznaczenia eskortujące wojska bywały zwykle przetrzymywane w różnych miejscowościach, wysyłane na rozmaite wyprawy i nieprędko powracały do swego korpusu, rozproszone i zdzięsiatutowane.

Zarządzenia, dotyczące tego konwoju, nie mogły nas natchnąć zaufaniem. Byliśmy gotowi bardzo rano, a wyruszyliśmy dopiero bardzo późno. Właściwą eskortę stanowiło 1000 żandarmów pieszych, z których sformowano świeżo pułk, ludzi młodych, silnych, dobrze wyekwipowanych i uzbrojonych. Ale karność ich pozostawiała dużo do życzenia. Wychodząc z Bajonny, co najmniej trzecia część ludzi w pułku była tak pijana, że z trudnością trzymała

7

się na nogach. Niestłuchanie długi czas upłynął, zanim konwój wyruszył. Doszliśmy późno do St. Jean de Luz, gdzie tak źle wszystko zarządzono, że większa część naszych ludzi dopiero późną nocą znalazła pomieszczenie.

Następnego rana, 2 lutego, wyszliśmy wcześniej i nocowaliśmy w Fuenterrabia. Była niesłuchana ślota. Wicher wiał straszny i cały dzień padał lodowaty deszcz: ludzie i zwierzęta były zupełnie skostniałe od zimna. Zauważyłem, że taka niepogoda gorzej działa na ludzi niż mocny mróz: 8 — 12 stopni mrozu nie miałyby takiego wpływu na żołnierzy, jak wyższa temperatura w połączeniu z podobną wichurą. Posuwaliśmy się przez Ernani i Tolozę, gdzie przyszlismy 4, wciąż posyłani w prawo i w lewo na bardzo uciążliwe wyprawy. Konwój sam włókł się powoli: porządek w nim i karność żandarmów nie były wcale wzorowe.

W Tolozie spotkaliśmy się z drugim niewielkim konwojem idącym od strony Vitoryi, jeszcze gorzej — jeżeli to było możliwe — urządzonym od naszego. Była w nim masa kobiet, markietanek i wozów. Dziwiliśmy się, że Mina nie skorzystał z tak dobrej sposobności. Chaos, jaki panował w obu konwojach przez większą część nocy, nie da się opisać. Rozstawiwszy forpocztę do samego Allegria, umieściłem się w domku przy winnicy, niewiele większym od namiotu, ażeby się uchronić od zimnego deszczu, lejącego potokami. Była już 11 wieczorem, gdy dano mi znać, że ludzie usłyszeli na drodze jakieś jęki i płacze i przyprowadzili muła, którego ciągnęła za uzdę młoda i bardzo ładna kobieta.

Na muła siedział niemłody człowiek, wyglądający na ciężko chorego. Oboje byli już bez sił: napróżno usiłowali dostać się do obozu, a zobaczywszy nasze ognie, podążyli do nas. Zadziwiłem się, poznawszy w nich ziomków; kobieta opowiedziała mi, że mąż jej służył w jednym z polskich pułków, że

8

otrzymał uwolnienie z powodu choroby i że powracają do Warszawy, gdzie ma zostać umieszczony u weteranów. W Vitoryi zrobiło mu się gorzej, ale pragnąc jak najprędzej wydostać się z Hiszpanii, jechali dalej. Kilka razy kobieta myślała, że wybiła już ostatnia jej godzina, ale Opatrzność się nią opiekowała i zesłała na jej drogę ziomków, na których litość rachuje. Pomimo, że goście nie byli mi na rękę, niepodobna było ich nie przyjąć. Oddałem im większą część mojego domku, napoiłem chorego dużą filiżanką kawy, a z żoną podzieliłem się moimi zapasami jada i trunków; nazajutrz chory, który spał jak suseł, obudził się zdrowszy i kazałem go wsadzić na muła, poczęstowawszy dobrem śniadaniem, a na drogę dałem im upomnienie, żeby się trzymali przedniej straży i nie oddalali od wojska. Dałem im prócz tego list polecający do oficera z naszej legii, pozostałego w Bajonnie dla opieki nad rekonwalescentami.

Opiszę dalej, w jakich okolicznościach spotkałem po kilku latach tę samą kobietę w Warszawie.

Nieporządek, który od wyjścia z Fuenterrabii panował w konwoju, był powodem, że i następnego rana wyruszyliśmy późno. Od pierwszego rzutu oka można było poznać, że cała wyprawa jest źle zorganizowana i źle prowadzona. Dobre poprowadzenie konwoju jest jednym z najcięższych zadań sztuki wojennej, szczególnie w okolicy górzystej, gdzie nierówność gruntu co chwila stanowi nową przeszkodę i gdzie taki pochód rozwleka się na całe mile.

Oba pułki piechoty z armii aragońskiej były dobre, jak również i oba szwadrony huzarów. Żandarmi, towarzysząc konwojowi, których organizacyi nigdy dokładnie nie mogłem zrozumieć, dawali później dowody wielkiej przytomności umysłu i odwagi, ale w czasie pochodu z Bajonny do Vitoryi przedstawiali się jako wojsko zupełnie niesforne. Mam silne przekonanie, że gdyby był Mina napadł na

konwój, niezawodnie mała załoga część jego byłaby doszła do miejsca przeznaczenia.

W połowie drogi między temi dwoma miastami, pod Ormaistegui, pokazały się nieprzyjacielskie wojska, ale po kilku strzałach cofnęły się, pomimo, że miejscowość była dla nich dogodna.

Pomiędzy Bergarą a Mondragonem nasza straż przednia, którą tego dnia ja prowadziłem, została zaatakowana przy przejściu strumienia. Hiszpanie zaczęli się, przepuścili spokojnie czoło straży i dopiero potem zaczęli strzelać. Energiczne posunięcie się naprzód zwolniło nas wnet od dalszego napastowania, a dzięki atakowi Hiszpanów udało się zaprowadzić trochę lepszy ład i karność w naszym konwoju.

Przez słynny wąwóz Salina przeprawiliśmy się z największą przezornością. Zarośla, rozpadliny, wzgórze, zostały starannie przeszukane; wszędzie polyskiwały nasze bagnety; markietanów i handlarzy uzbroiliśmy od stóp do głowy i konwój posuwał się w porządku, z odwagą, lecz ostrożnie. Przypuszczam, że wpłynęła na to i zła sława tego wąwozu, która dla wchodzących do niego była pewnego rodzaju *memento morri*.

W Vitorii stała młoda gwardya i generał Dorsenne miał tam główną kwaterę. Miasto ładne, porządnie zabudowane, o szerokich ulicach, na których porządku pilnowała policja francuska. Duży, kwadratowy, doskonale wybrukowany plac, otoczony podskieniami wspartymi na filarach, był miejscem zebrania dla wojska francuskiego.

Po całodziennym odpoczynku wyruszyliśmy z Vitorii do Salvatierra, położonego w bardzo malowniczej okolicy.

Widząc, że Mina zamierza uderzyć na to miasto posłano nasz batalion dla wzmocnienia tamtejszej załogi, złożonej z batalionu młodej gwardyi. Zastaliśmy batalion w porządku, zabezpieczony

## 10

od napadu szaniami, ale załoga ta trzymała tak dobrze o sobie, że nie raczyła zwrócić uwagi na nasze przybycie. Było nas 30—40 ludzi; umieściliśmy się w nędznych domostwach, porozstawiliśmy swoje forpocztę, nie troszcząc się także wcale o załogę.

Zdarzyło mi się wtedy widzieć coś, czego ani przedtem, ani potem nie spotkałem już w Hiszpanii. Przyszedł do nas w odwiedzinach hiszpański ksiądz, zupełnie pijany; kilku oficerów grało w pikietę i gość, który zapragnął wziąć udział w grze, pomimo upojenia, grał jak biegły gracz; kiedy podano nam obiad, zaprosiliśmy naszego gościa, a jadł i pił jak grenadyer. Potem wziął gitarę, znajdującą

się w każdym domu hiszpańskim i zaczął nam śpiewać bezedne piosneczki, a zakończył je kilku strofkami o Minie, w części obelżywymi, w części pochwalnymi. Spisałem je sobie, ale później przepadły mi razem z bagażami. Kiedy po obiedzie zaczęliśmy grać, ale w inną grę, zacy *curo* zaczął oszukiwać i został wyrzucony za drzwi. Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że tak samo zachowywał się na innych kwaterach, a potem znikł bez śladu. Przyszło nam na myśl, że może to był szpieg, ale temu zaprzeczyło opowiadanie miejscowych mieszkańców, którzy go znali jako wielkiego pijaka i ladaco. Był to jednak człowiek nie bez wykształcenia i miał więcej wiadomości, niż kanonik z kościoła del Pilar w Saragossie.

W nocy nadszedł rozkaz wyruszenia w góry dla obrony resztek konwoju, z którego część pozostała w Tolozie. Kiedy po niezmiernie uciążliwym marszu, po złych drogach zbliżaliśmy się do Segury, zostaliśmy nagle napadnięci przez powstańców.

Wdzieraliśmy się właśnie na stromą górę, gdy z niej sypnęły się na nas strzały. Ale że dla naszych ludzi nie było to nowiną, nie spłoszyli się wcale. Przednia straż odparła bez wielkiego trudu nieprzyjaciela i oczyściła drogę, zabezpieczając resztę oddziału od dalszych napadów. Po dwóch

## 11

godzinach byliśmy znowu w pochodzie i nikt nas już nie pobił. W tej potyczce mieliśmy do czynienia z jednym z oficerów Miny, nazwiskiem Goris, który ranny wpadł w nasze ręce.

W Segurze nie bawiliśmy długo, tylko zabrawszy żywność, nocowaliśmy na dobrem stanowisku, bez rozpalania ognia, a kompanie stały kolejno pod bronią.

Następnego dnia wyruszyliśmy wcześniej, zajęliśmy Arbizu i zabezpieczyliśmy drogę z Pampeluny do Villafranca. Tam przepędziliśmy noc i poszliśmy do Pampeluny, gdzie przyszlismy z powrotem 12 lutego.

Przebyliśmy część *reino de Mina* (królestwa Miny), jak te strony, w których się uwijał, nazywali mieszkańcy, nie spotkawszy się z nim wcale. Trzeba przyznać, że brygada była świetnie prowadzona. Najwymowniejszym tego świadectwem jest to, że przeszliśmy z konwojem po tak ciężkich drogach, otoczeni szpiegami, nie straciwszy ani jednego wozu. Ale gorzkie to były dni, które przeżyliśmy od chwili opuszczenia Tortozy — dni ciężkich doświadczeń, wysiłków i poświęceń.

W Pampelunie wszystko zastaliśmy po dawnemu. W mieście spokój, porządek i pozorne ożywienie. Po za miastem, na odległość karabinowego strzału, żaden Francuz nie był pewny życia. Śmierć czychała na niego za każdą skałą, za każdym drzewem.

Podczas jednodniowego wypoczynku w Pampelunie zwiedziłem cytadelę. W jednym z bastionów zastałem sierżanta artylerji, który mi opowiedział, że dostał krzyż pod Wagram, a w Saragossie był ciężko raniony. W tejsze chwili padło kilka strzałów w pobliżu. Na zapytanie, co to znaczy, objaśnił mnie, że to powstańcy polują na któregoś z naszych żołnierzy.

A widząc, że się dziwię, jak mogą tak bezkarnie napastować naszych pod miastem obsadzonym przez nasze wojska, biedak zaczął się wywnętrzać:

## 12

— Panie poruczniku! — zawołał. — To, co się tu dzieje, rozdziera serca żołnierzy, którzy byli pod Jeną, pod Eylau i pod Wagram. Nie minie tydzień, ażeby nas nie spotkała jaka zniewaga od tej kanalii, która nie ma odwagi stanąć przed nami z bronią w ręku, jak

tam w Prusach, w Austrii i w Polsce! Jeżeli dowódcy będą dłużej tak zwlekali, to zostaniemy ztąd w końcu wygnani. Czas już, żeby przyjechał cesarz, żeby zobaczył na własne oczy, co się tu dzieje! Wojnę prowadzi się miękko, generałowie nie spełniają swoich obowiązków, żołnierze także, i dlatego wszystko źle idzie. Kilka obław, zrobionych to w dzień, to w nocy i dobrze poprowadzonych, położyłoby koniec tym rozbojom, które nas wstydem okrywają.

To samo przekonanie miał już w siedemnastym wieku kardynał Richelieu, gdy pisał do francuskiego marszałka:

„Kto naciera energicznie na Hiszpanów, weźmie nad nimi górę, a kto ich chce poskromić cierpliwością, nie trafi do ładu!”

Kilku energicznych generałów byłoby nadało inny obrót tej wojnie, ale francuskim dowódcom brakowało śmiałości, energii i zęczności.

## XXV.

Działania przeciwko Minie. — Aybar Lumbier i dolina Irati. — Wychłostany alkald. — Sanguessa. — Sadara. — Zaskoczenie Carbonary. — Bunt żołnierski.

Dnia 14 lutego wyszliśmy znowu z Pampeluny i doszliśmy bez przeszkody do Tafalli, idąc przez okolicę, którą Hiszpanie nazywali „magazynem” *alcamen* Miny. 16 zajęliśmy San Martin, spotkawszy po drodze w górach opór, który nam zapowiadał ciężki dzień. Przed samem St. Martin zastaliśmy znowu nieprzyjaciela i uderzywszy na niego, zmusiliśmy go do

13  
odwrotu. Ponieważ strzelano do nas z kilku domów tego miasteczka, żołnierze po wejściu spustoszyli wszystko.

Bylibyśmy chętnie zabronili tego okrucieństwa, ale trzeba było dać naukę miastu, choć trochę za surową. Nieprzyjaciel rozproszył się w różne strony.

17-go mój pułk doszedł do Aybar, w pobliżu Aragonu i rozkwaterował się tam, z zachowaniem wszystkich środków ostrożności. Codzień wychodziły w różne strony oddziały, polujące na gerylasów; stałem na kwaterze u starego, dymisjonowanego kapitana królewskiej gwardii hiszpańskiej, który przyjął mnie po przyjacielsku. Ponieważ otrzymywał regularnie swoją pensję, uważano go za trochę *afrancesado*, od czego bronił się z oburzeniem, tłumacząc że zdecydował się rzeczywiście na branie pensji od uzurpatora, ale przyjmował ją tylko w monecie hiszpańskiej! Stara, pięćdziesięcioletnia *criada de la casa* nigdy w życiu nie wyjeżdżała ze swego miasteczka i była doskonałym okazem rodowitej Hiszpanki. Nie cierpiała *Senores Franceses* dlatego, że rzadko na mszę chodzili, ale łatwiejby nam była przebaczyła bezbożność, niżeli apetyt, który, jak utrzymywała, może ogłodzić cały kraj. Co do polityki, uważała, że ta obchodzi tylko ludzi, którzy bronią tronu Ferdynanda VII. Kobiety powinny zajmować się jedynie sprawami domowymi. Podobny pogląd panował w całym kraju, nawet w pomniejszych miastach. Tylko w dużych miastach kobiety brały udział w sprawach politycznych i rozdmuchiwały pożar.

Młodzież zaś, pozostająca pod wpływem duchowieństwa, i ludność wiejska, z wyjątkiem kilku bogatych właścicieli, przejętych pojęciami francuskimi, była wrogo usposobiona względem Francuzów. Duchowieństwo naturalnie było nam bardzo nieprzyjane i walczyło z nami *pro aris et focis*, walczyło na śmierć.

27 dostaliśmy rozkaz ruszenia do Lumbieru, kolumna

14  
posuwała się powoli brzegiem Aragonu, do Sanguessy, a ja osłaniałem pochód na lewym skrzydle. Droga była niezmiernie ciężka, ale malownicza. Im bliżej Lumbieru, tem piękniejszy był krajobraz. Z naszych szczytów widzieliśmy na zachód doliny Aragonu i Salazaru, a na północy dolinę rzeki Irati wypływającej tu z gór, która bystro płynąc, łączy się z tamtymi dwiema rzekami. Tło obrazu tworzył łańcuch Pirenejów, a pokryte śniegiem ich szczyty widać było wyraźnie.

Przybywszy na wysokość Lumbieru, wysłałem patrol jeszcze raz w dolinę Irati, a potem dogoniliśmy pułk, przeszedłszy po moście Dyabelskim i poszliśmy do miasta. Piękne jezioro w pobliżu miasta, rzeka wypływająca z pomiędzy ścian skalistych, wznoszących się po obu stronach stromo, na wysokość kilkuset stóp, nietylko na mnie, ale i na moich żołnierzach zrobiły głębokie wrażenie.

Na nieszczęście, nie mogłem już więcej cieszyć się tym czarującym widokiem, gdyż skutkiem ciągłych patrolowań i wycieczek nie mogliśmy tu powrócić. Miasto, opasane murem, ułatwiało służbę załodze, ale mieszkańcy z całej okolicy, podburzani przez wysłańców i groźby Miny, nie dawali nam spokoju. Pierwszą wyprawę zrobiliśmy do Monrealu nad Irozinem, rodzinnego miejsca Miny.

Po powrocie ztamtąd trzeba było iść zaraz do Izaalu, mieściny zakopanej w górach, gdzie powstańcy zaczęli się oszańcowywać i mieli składy amunicji. Zaskoczyliśmy tak zniemacka nieprzyjaciela, że nie zdążył ich opróżnić, a ustąpił ztamtąd dopiero po silnym oporze.

Przetrząsnęliśmy napróżno wszystkie domy mieściny, szukając ukrytej amunicji, lecz znaleźliśmy tylko znaczne zapasy żywności, które miały być własnością mieszkańców. Alkald upewniał, że nic więcej nie znajdziemy w całej okolicy, ale rozgniewany dowódca

15  
batalionu kazał go pochwycić, rozciągnąć i dać mu dwadzieścia kijów.

Hiszpan zbladł jak trup, ale milczał. Nowe przedstawienia, żeby powiedział prawdę, pozostały bez skutku, więc dano mu drugie dwadzieścia, ale mimo to nie przemówił. Wtedy wystąpił z tłumu jakiś człowiek, powiedział coś cicho alkaldowi, a otrzymawszy od niego równie cichą odpowiedź, zbliżył się do komendanta z zapytaniem:

— Panie! czy darujesz temu człowiekowi życie, jeżeli powie prawdę?

Dowódca bez wahania dał na to słowo i wkrótce dostaliśmy skrzynie naboju, ukryte w *pajars*, to jest szopach. Jedną kompanię odesłano z łupem do Lumbieru, a reszta batalionu zapuściła się w góry i pozostała w nich aż do 1 marca, kiedy nadszedł rozkaz pochodu do Sanguessy, gdzie doszliśmy nienapastowani przez nieprzyjaciela. Ładne to miasteczko o 3000 mieszkańców, leży nad Aragonem, na którym stoi dolny most kamienny.

Mieszkańcy przyjęli nas przyjaźnie, ale jednocześnie podsuwali naszym żołnierzom proklamacje, nakłaniające do dezercji. Proklamacje te, pisane bardzo niepoprawnym językiem, były drukowane po francusku, po niemiecku, po polsku i po włosku.

Dowiedzieliśmy się tutaj, że przeznaczono nas, w liczbie około 20,000 ludzi, do osłony Aragonii i rezerwy wojsk, które miały wyruszyć na większą wyprawę. Było to nam niebardzo przyjemne. W takich wyprawach mało było do zdobycia sławy, a dużo trudów do znoszenia i niezliczonych utarczek do staczania.

3-go marca weszliśmy do Sadavy, z której rząd i władze administracyjne przeniosły się do Sos. Sadava, miasteczko ze starym, opustoszożonym maurytańskim zamkiem i piękną posiadłością bogatego hrabiego, leży wśród żyznej równiny. Wojsko było tam dobrze umieszczone i doskonale żywione. Prócz

16

tego nasz pułk zajął Un Castillo, Tauste i Exeę. Zaraz po przybyciu zostały wysłane duże kompanie do La Carbonery, w górach, na prawym brzegu Arwy, żeby wypędzić nieprzyjaciela, który tam miał stanowisko i niepokoił ztamtąd Luesię, Biel, a nawet i Exeę. Kapitanowi Rechowiczowi oddano dowództwo nad tym oddziałem. Wyruszyliśmy o zmroku i po okropnych drogach, prowadzeni przez zaufanego przewodnika, przybyliśmy o świcie na miejsce. Wioska została otoczona i obsadzona. Na nieszczęście, cały nieprzyjacielski oddział wyruszył na wyprawę, z wyjątkiem jednego oficera i dwunastu żołnierzy, którzy wpadli w nasze ręce, ale zdobyliśmy obfite zapasy żywności i paszy dla koni. Zabraliśmy co się dało, a resztę kapitan Bechowicz nakazał mieszkańcom dostawić do Exei, czyniąc ich odpowiedzialnymi solidarnie, gdyby nie wypełnili rozkazu. O dziesiątej wieczorem powróciliśmy do Sadavy, zrobiwszy w niecałe dwadzieścia cztery godziny dziesięć dobrych mil, przeważnie nocą, w bardzo górzystej okolicy.

Pozostaliśmy w Sadavie do 24-go marca, niepokojeni przez nieprzyjaciela. Kompanie, nie będące na służbie, mustrowały się zwykle popołudniu, tuż pod miastem, na błoniach przylegających do pola, otoczonego gęstymi zaroślami. Żołnierze szli tam tylko w kurtkach, bez lederwerków. Jednego dnia musztrująca się kampania, zbliżywszy się do zarośli, została przyjeta ogniem. Oficer, nie namyślając się, przypuścił atak i wypłoszył kilkunastu gerylasów, którzy uciekli w różne strony, szczęściem nikt nie został raniony, ale mimo to generał Chłopicki skazał dowodzącego oficera na areszt za to, że wyprowadził żołnierzy bez nabożów i bez lederwerków.

Dnia 25-go marca wezwano nas do Exei, gdzie zebrał się cały pułk po drugiej dyslokacji. Zebranie to upamiętniło się godnym pożalowania wypadkiem. Skutkiem gwałtownej sprzeczki przy kartach,

17

jaka zdarzyła się jeszcze w Tortonie pomiędzy kapitanem Gadziszewskim a porucznikiem Zienkiewiczem; część oficerów wzięła stronę jednego — reszta drugiego, tak się wlokła ta sprawa aż do chwili zebrania się pułku w Lumbierze. Kiedy w imieniu kapitana

porucznik poszedł mu złożyć życzenia, a kapitan korzystał z tej sposobności i wystąpił ze swymi niesłusznymi pretensjami, przyszło do tak niemiłych wyjaśnień, że cały korpus oficerski zwrócił na to uwagę. Teraz, korzystając ze zgromadzenia się całego pułku, postanowiliśmy zakończyć tę sprawę. Po burzliwych naradach zawiadomiono kapitana, że koledzy nie chcą z nim nadal służyć. Kapitan zaprotestował i poskarżył się pułkownikowi, który się rozgniewał, wyrok koleżeński uznał za nic i postanowił zawiadomić o tem generała Chłopickiego.

Na to nie byliśmy przygotowani i obawialiśmy surowego i energicznego generała, który nie żartował w podobnych razach. Wielu wystąpiło z „konfederacyi”, jak nasz związek nazwał pułkownik. Pozostało tylko dwunastu, którzy stali przy swoim, a w ich liczbie i ja. Skazano nas na ośm dni aresztu za nielegalne podpisanie aktu w imieniu korpusu oficerskiego. Na tem zakończyła się sprawa,

ale pozostały po niej z obu stron głębokie i trwałe urazy, które zamały zgodę, panującą do tej pory w pułku.

Zdawało się, że dzięki energicznym rozporządzeniom generała Chłopickiego, okolica pięciu miast uspokoiła się. a powstańcy, ścigani w najdalszych swoich skroniskach, ustąpili prawie zupełnie z Aragonii i ukazywali się tylko czasami na granicy tej powincyi. Generał Suchet spełnił wtedy życzenie dowódcy pułku i sprowadził nas na pewien czas do Saragossy, żebyśmy mogli odświeżyć gruntownie nasze umundurowanie i uzbrojenie. Przybyliśmy tam

18

26-go marca i zostaliśmy umieszczeni w klasztorze, zamienionym na koszary. Major Michałowski, który chwilowo dowodził pułkiem i miał z sobą żonę, Włoszkę, wyprawił dla nas świetny obiad. Mogliśmy rachować na dłuższy pobyt w Saragossie i dlatego

nie spieszożo się z rozdaniem nowych mundurów i obuwia żołnierzom, i ociągano się z wypłatą zaległego od kilku miesięcy żołdu, który, jak wszystkim było wiadomo, był już przygotowany do wypłaty. Następnie przeszkodziły temu różne wycieczki, a kiedy w końcu, po długim mierzeniu i przymierzaniu — do czego wzięto się najniepraktyczniej, i straceniu dużo drogiego czasu, zamierzano nakoniec przystąpić do rzeczy, przyszedł niespodziewanie rozkaz natychmiastowego wymarszu.

Mina ukazał się był niespodziewanie w okolicy Cinco Villas, obiegł Sos, zniósł doszczętnie oddział 150 żandarmów, dążący do Sadavy z odsieczą, i nam kazano iść tam na pomoc. Nasz pułkownik, nie pamiętam już z jakiego powodu — był nieobecny, a dowództwo zdał majorowi Michałowskiemu, który zarządzał zwykle gospodarskimi sprawami pułku. Wystawne życie, jakie on i jego żona prowadzili, oddawna rzucało się wszystkim w oczy; pomiędzy żołnierzami chodziły pogłoski, że nadużywa on swego stanowiska dla ciągnięcia z niego zysków i skutkiem tego był bardzo źle przez nich widziany.

Wszystkie kompanie zebrały się na esplanadzie pod twierdzę Algaferia, i stały tam już, kiedy nadszedłem z moją kampanią i ustawiłem się na zwykłym miejscu, u lewego skrzydła pułku.

Major zakomenderował:

— Baczość! — broń na ramię!

Ale ani jedna kompania nie usłuchała komendy, z wyjątkiem mojej. Major powtórzył rozkaz, a wtedy odezwały się ze wszystkich stron obelżywe okrzyki przeciwko niemu. Kilku kapitanów wyszło z szeregów i zaczęło daremnie przemawiać do swoich

19

ludzi. Tymczasem major nie stracił miny: powtarzał dalej komendę, jak gdyby nic nie zaszło:

— Sekcyami na prawo, marsz!

Ale żołnierze odpowiedzieli mu szyderczo:

— Daj nam lepiej buty i koszule, i zapłać zaległy żołd! Komendą, możesz się nie trudzić, bo nikt cię nie usłucha!

Wystąpiłem wtedy przed front mojej kompanii; powstrzymałem komendę majora i przeszedłem przed frontem całego pułku. Następną kompania batalionu ruszyła za moją, a za nią poszła reszta, ale kiedy doszedłem przed kompanię wołtyżerów pierwszego

batalionu, kilku żołnierzy zastąpiło mi drogę, chcąc mnie zatrzymać. Pogroziłem, że przebiję szablą każdego, kto mi będzie przeszkadzał. Jeden tylko żołnierz, widocznie pijany, rzucił się na moją szpadę, ostrze drasnęło mu ramię i zagłębiło się w brzuchu drugiego, który padł, ciężko raniony. Ten wypadek spowodował cofnięcie się buntowników, kompania wysunęła się na front pułku, gdzie już był major i pomaszerowaliśmy do bramy miejskiej.

Bateria artylerii konnej, manewrująca w tej chwili na esplanadzie, skierowała już była na nas swoje działa, ale daliśmy sobie radę bez obcej pomocy. Wyszliśmy z Saragossy z całą paradą, z doboszami i muzyką na czele.

Nocowaliśmy w Villanueva. Nazajutrz rano, przed wyruszeniem, sformowano pułk w czworobok. Rechowicz — dowódca pierwszego batalionu, który narobił największego skandalu — miał surową przemowę i zażądał, żeby mu wskazano winnych. Wystąpiło przed front kilku starych żołnierzy i jeden sierżant, przyznali się do winy i powiedzieli, że żałują szczerze i że taki obrót całej sprawie nadali pijani, którzy nie wiedzieli, co robią.

Czy ta awantura była następstwem proklamacyj rozdawanych w Sanguessa, czy wynikła z podszeptów hiszpańskich emisaryszów, nie wydało się

20

nigdy. Kapitan Rechowicz, rozumny i wyrozumiały człowiek, zapytał swoich ludzi czy prawdą jest to, co mówi sierżant — a gdy odpowiedzieli potakująco, przyrzekł im, że uczyni, co będzie w jego mocy, żeby im darowano winę — poczem pułk ruszył w pochód.

Opowiem w dalszym ciągu, w jaki sposób zakończyła się cała ta awantura.

## XXVI.

Wyprawa Chłopickiego do Pięciu Miast. — Wycieczka do Tiermas. — Egzekucja wojskowa.

— Dramatyczny i choreograficzny wieczór w Saragossie.

Przez Zuere, Castejon de Val de Josa poszliśmy do Erei, gdzie po forsownym marszu przybyliśmy dość późno. Zastaliśmy tam wielkie wzburzenie, ale nikt nie mógł nam powiedzieć nic dokładnego o ruchach nieprzyjaciela. Pasterz, którego spotkaliśmy w drodze, powiedział, że pod Biota stoi z 1,000 ludzi Gurruchaja, przyjaciel i towarzysz Myny. Po ścisłem wybadaniu pasterza w głównej kwaterze pociągnął generał Chłopicki do Biota, ale zastał tam tylko słabą przednią straż nieprzyjacielską, która się cofnęła. Dla zapobieżenia nowym napadom Hiszpanów na nasze posterunki, umocnił generał najważniejsze punkty i rozpoczął z 1,000 piechoty i 200 huzarami wojnę z nieprzyjacielem, w której zawsze zwyciężał Hiszpanów, pomimo, że przewyższali oni nas wytrzymałością w pochodach i znoszeniu trudów.

Zakończyliśmy naszą wyprawę, ścigając nieprzyjaciela aż do Caseda, gdzie przeprawił się przez rzekę i cofnął do Nawarry.

Gdyby nasze działania odbywały się w porozumieniu z wojskami innych prowincyj, byłibyśmy mogli znieść dużo oddziałów nieprzyjacielskich, ale

21

że każdy dowódca działał na własną rękę, tym razem nie mogło być mowy o wielkich korzyściach.

16-go kwietnia weszliśmy do Sos, ztamtąd po paru dniach pobytu do Sadavy — a 27-go ruszyliśmy do Sanguessy. W miejscowościach tych wyprawialiśmy na wszystkie strony silne patrole, strzelaliśmy do geryłasów i na jakiś czas oczyściliśmy okolice z nieprzyjaciela. W Cinco Villas, dzięki naszym niezmordowanym wysiłkom, zapanował spokój i 4-go maja weszliśmy znowu do Sanguessy. Było tam wszystko tak, jak poprzednio opisałem: mieszkańcy przyjaźnie usposobieni, ale skłonni do podmawiania żołnierzy do zdrady, tak, że w ciągu tygodnia uciekło 14-tu Polaków i Francuzów. Prócz tego zameldowało mnóstwo żołnierzy, że im robiono także same propozycje. Przeprowadzone śledztwo ustaliło winę tylko jednego z mieszkańców, właściciela szynkowni, który wino sprzedawał za bezcen. Świadczyło przeciw niemu kilku francuzkich grenadyerów i jeden Polak, kapral, mówiący dobrze po hiszpańsku, że ich namawiał do dezercji i dawał pieniądze na podróż do Puenta la Reyna, gdzie stawał często Mina. Mówił kapralowi, że tam formuje się legia cudzoziemska, w której może zostać oficerem. Sąd wojenny skazał obwinionego jednomyślnie, a wychodząc z miasta zabraliśmy z sobą więźnia. Wyszędłszy z gór przystanęliśmy na równinie. Wojsko ustawiono w czworobok i wprowadzono więźnia. Generał Chłopicki miał energiczną przemowę do wojska, Powiedział o co obwiniony jest więzień i przeczytał mu wyrok, przetłumaczony na język hiszpański. Skazany, piękny, trzydziestoletni człowiek, ubrany w strój narodowy — wysłuchał spokojnie wyroku i powiedział tylko:

— *Soy inocente, senôr General; por la santissima madre de Dios, soy inocente!*

W tejże chwili nadbiegła zadyszana deputucya z Sanguessy z prośbą o ułaskawienie. Między innymi

22

był i mój gospodarz, który zwrócił się do mnie, prosząc o wstawienie się za tym nieszczęśliwym.

— Ułaskawienie — odpowiedziałem mu — zależy jedynie od głównodowodzącego generała w Saragossie. Proście o odłożenie egzekucji i pośpieszcie do generała Sucheta; może wam tego nie odmówi.

Ale nie usłuchali mojej rady. Tymczasem wystąpił oddział przeznaczony do egzekucji, skazanemu zawiązano oczy, ukląkł, zapewnił raz jeszcze, że jest niewinny i po chwili, którą mu pozostawiono na odmówienie Ojcie Nasz, rozległy się strzały i położyły

go trupem. Mówiono później, że deputacya miała z sobą 100 uncyi złota, jako kontrybucję, przeznaczoną na okóp nieszczęśliwego.

Po skończonej egzekucji kolumna ruszyła w drogę do Sos.

Kręciliśmy się do 8-go maja po Cinco-Villas, robiliśmy wycieczki do Sadavy, Un Castillo, Exei i t. d. Potem poszliśmy do Nawarry, wygnaliśmy ztamtąd powstańców i po niegodziwych drogach przedostaliśmy się do Huessy i Nayasques, gdzie 20-go maja skoncentrowała się cała brygada.

Z Navasques woltyżerowie, wybrawszy się do Salvatierry w odwiedzin, odbyli pochód jeden z najcięższych, w jakich brałem udział. Trudy, poniesione tego dnia, trudno opisać. Skaliste grzbiety gór, na które trzeba się było wdzierać, przepaście, przez które trzeba się było przeprawiać, *corrale* (zagrody, gdzie zamykają na noc bydło) które trzeba było przeglądać, biwakowanie na szczytach gór, często bez ognia — zużyły niesłychanie wojsko. Pomimo to, żołnierze ożywieni byli jak najlepszym duchem. Nie napotkaliśmy nigdzie prawdziwego oporu, a tylko czasami z zasadki — z gęstwiny — padały na nas strzały. Dziwiło mnie to często, że Mina nie skorzystał z tak wielu sposobności do urządzenia zasadki. Często — wdarszy się z trudem na nagi wierzchołek góry otoczonej gęstym lasem,

23

patrzyłem w zawrotną głębię, z której wspinała się powoli główna siła oddziału, i myślałem sobie:

— No! i cóż? Czy nas tu nie napadną? Czy nam pozwolą bezkarnie wejść i zejść z tej góry?

Żołnierze mieli te same uczucia i nieraz słychać było, jak mówili:

— Ten szelma Mina nie wie pewnie, że tu jesteśmy, bo napadłby na nas....

29-go wyruszyliśmy do Acaej, położonego na tej samej wysokości, co Pampeluna, o cztery mile na zachód od niej. Tu — jak mówiono — stał Mina obozem i mieliśmy uderzyć na niego jednocześnie, my i wojsko z Pampeluny. Zastaliśmy rzeczywiście obóz, goniliśmy tylną straż, która słabo się nam odstrzeliwała, ale wojska francuskiego nie było ani śladu. Powróciwszy z pogoni, zastaliśmy generała Chłopickiego bardzo rozgniewanego z nieudania się wyprawy, dokonanej z takimi trudami.

Niezadowolenie jego wzrosło jeszcze, gdy przyszła wiadomość, że Pesaduro, dowodzący oddziałem konnicy, wtargnął do Cinco Villas i wybiera tam kontrybucję. Podążyliśmy 29-go pośpiesznym marszem do Un Castillo, a ztamtąd 30-go do Sadavy. Ale Pesadury śladu nie było. Najlepsi jeźdźcy z pośród huzarów i najlepsi piechurów z pośród woltyżerów zostali wyprawieni w pogon za nim, ale i on i jego banda zniknęli bez śladu i dopiero po jakimś czasie wynurzyła się z dębowych lasów Castejonu.

Pozostaliśmy w Sadavie do 16-go czerwca, a 17-go poszliśmy do Sos i Tiermas, Droga przez lesiste góry, prowadząca do Oncelli, była w najwyższym stopniu nużąca. Po przybyciu na dolinę Aragonu zmienił się krajobraz i droga, ale tylko po to, żeby ustąpić miejsca poszarpanym, nagim skałom, pomiędzy którymi szumią brody Aragonu. Wysoko ponad nami leżało Tiermas, posępne gniazdo, do

24

którego wiedzie droga, wspinająca się wężykiem po skałach. Wyszedszy na 1,000 stóp wysoką skałę, pomyśleliśmy:

— Tu niezawodnie spotkamy nieprzyjaciela!

Ale zamiast niego, wyszła na nasze spotkanie miejscowa Junta, tłumacząc nam, że Tiermas jest bardzo ubogie — i powiodła na górę generała, a część pułku weszła na sam szczyt i rozłożyła się tam obozem.

Później dowiedzieliśmy się, że nasza wyprawa miała związek z wycieczką, zrobioną jednocześnie z Zavy. Ale obie kolumny cofnęły się, nie spotkawszy nieprzyjaciela.

Ażby odjąć Minie ochotę do powrotu do Aragonii, generał Chłopicki wyprawił się jeszcze raz — 18 czerwca — do Nawarry, z kąd powróciliśmy do Sadavy 24-go czerwca. Przebyliśmy w tym czasie prawie bez żadnej dniówki 25— 30 mil, po drogach tak skalistych, w kraju tak górzystym, że mało które wojsko zdołałoby dokonać tego w podobnych warunkach.

W tym czasie — jak wiadomo — generał Suchet oblegał Taragonę. Nie można odmówić tej zasługi generałowi Chłopickiemu — któremu powierzono pieczę nad lewym brzegiem Ebro, z kąd armia czerpała większą część żywności — że w najtrudniejszych warunkach ścigał bandy nieprzyjacielskie i czuwał nad tem troskliwie, żeby nic nie przeszkodziło dowozowi z tych błogosławionych okolic żywności dla armii. Przez dwa miesiące, podczas których generał dowodził do Cinco Villas, nie zabłąkała się w drodze ani jedna racya pożywienia.

Surowa karność i najostrejsza dyscyplina, oraz jednolitość charakteru generała budziły w mieszkańcach szacunek, ale niezmordowana czynność, niesłabnąca gorliwość w krzyżowaniu i przeszkadzaniu planom nieprzyjaciela, czyniły go podwójnie nienawistnym przeciwnikiem.

— *El general de los Polacos viene!* (idzie polski

25

generał) wystarczało do oczyszczenia z nieprzyjaciela całego okręgu.

Mieszkańcy Nawarry wyrażali się o nim nienawistnie, i gdyby im był wpadł w ręce, byłiby go niezawodnie tak samo spalili żywcem, jak Andaluzjanie w 1808 roku mężnego generała René.

Zaraz po wyjściu generała z Cinco Villas wtargnęły tam nanowo oddziały Miny, a gdy Chłopicki otrzymał inne przeznaczenie i inne wojska stanęły w tej okolicy, Mina, Gurachajo i Pesaduro zapędzali się aż pod same bramy Saragossy.

Nie czyniąc ujmy innym generałom armii aragońskiej, mogę stwierdzić, że żaden z nich nie rozumiał tak jak Chłopicki sposobu prowadzenia partyzanckiej wojny.

Po powrocie do Sadavy zostałem wysłany do Saragossy z depeząmi, raportami i listami. Wyruszyłem tam z moją kompanią przez Exeę i Castejen de Val. Przebiwszy się przez tłum hiszpański, zebrany na targu, i oddawszy depeze w komendanturze, a pieniądze poborcy, zostałem pomieszczony w tym samym klasztorze, co przedtem. W dzień mojego przybycia, 2-go lipca, przyszła wiadomość o wzięciu 28-go czerwca Tarragony. Nietylko Francuzi, ale i wielu Hiszpanów cieszyło się z tego zdarzenia, szczególnie rzemieślnicy i właściciele ziemscy ukazywali swą radość.

Miałem też sposobność widzieć przedstawienie teatralne. Nie wiem, czy w Saragossie była stała scena: budynek był lichy, brudny, nędznie oświetlone aktorzy grali dobrze. Nie pamiętam już treści sztuki, w której *Tio*, *Estudiante*, *Criado* i stara *Criada* mieli główne role. Komedia obfitowała w zabawne sceny i budziła wielkie zadowolenie zebranej publiczności. Później zeszło się

więcej widzów na przedstawienie taneczne, zapowiedziane w dziennikach. Afiszów nie było, tylko pisane objaśnienie na drzwiach. Tancerka, *la sastré* (krawcowa) nie

26

należała do teatru i była naprawdę krawcową, z amatorstwa uprawiającą sztukę Terpsychory. Czy to był urok uczoneści, czy inne przyczyny wpłynęły na to, dość, że zachwycała mnie ta mała, zwinna osóbką. Tańczyła zrazu sama: ani jej strój, ani uroda nie odznaczały się niczem, ale wyraz twarzy, ruchy i wdzięk były nieporównane. Potem tańczyła z tancerzem fandango i bolero — dwa główne tańce hiszpańskie. Teatr był całkowicie zapełniony i *la sastré* miała wielkie powodzenie. Zdaje mi się, że nigdy nie widziałem lepszej tancerki. To, co widywałem później w Paryżu, w Berlinie i w innych miejscach, było miernotą w porównaniu z jej tańcem. Być może, że trzeba to złożyć także trochę na karb mojej młodości, ale uważałem, że nawet Pepita, nie mówiąc już o Loli Montez, stała od niej nierównie niżej pod względem wdzięku i wybitnego charakteru narodowego. Raz tylko jeszcze zdarzyło mi się widzieć podobny taniec podczas *tertulii* i tam także tancerka była dzieckiem ludu, córką robotnika z winnicy.

## XVII.

Tertulia w Sadawie. — Przygoda Żyda alzackiego. — Uroczystość czci marszałkowskiej Sucheta, środki ostrożności. — Ostatnia wyprawa do Cinco Villas. — Do Walencji.

Powróciłem z Saragossy tą samą drogą do Sadawy, do dawnego życia. Jenerał Chłopicki stał tam kwaterą u jakiejś margrabiny, zapalanej patriotki, ale o tyle rozsądnej, że umiała odróżniać sprawę od osób. Przyjmowała nas za naszą pierwszą bytnością w lutym, a podczas przerwy podejmowała u siebie Minę, który ją wypytywał o nasze wojsko. Zapewne dla zebrania nowych wiadomości seniora widywała się często z jenerałem i wydawała od czasu do czasu *tertulias*, na które zapraszała

27

oficerów. Nie miałem nigdy zaszczytu wzięcia w nim udziału, bo byłem prawie ciągle na służbie przy forpocztach.

Jednego dnia przecież jeden z kolegów przyszedł mnie zastąpić i przyniósł zaproszenie od jenerała na wieczór do niego. Bardzo zaciekawiony, przywdziałem najlepszy mundur i poszedłem do Chłopickiego. Był on u margrabiny i tam mnie oczekiwał. Zameldowałem się według przepisu, a jenerał poprowadził mnie do margrabiny i przedstawił:

— *El teniente Senor Don Enrique Brandt.*

— Czy to pan — zapytała mnie margrabina, niezbyt młoda, ale pełna życia — jesteś *commendante de los Cazadores*? Żałuję, że pańskie zajęcia przeszkodziły mi poznać pana wcześniej.

Nie wiem już, co odpowiedziałem, ale zauważyłem wkrótce, że wszystkich spojrzenia kierowały się na mnie i że panie rozmawiały o mnie z moimi kolegami.

Tymczasem porucznik Piątkowski, który grał dobrze na skrzypcach, wziął instrument do ręki, a doktor Gulicz zabrał się do fletu. Jenerał zażądał, ażebyśmy zatańczyli mazura, co uczyniliśmy ku głębokiemu zdumieniu Hiszpanek, nie mających pojęcia o podobnym tańcu. Po mazurze nastąpił walc, który je zadziwił jeszcze więcej, a nawet trochę zgorszył. Dopytywały się, czy u nas *senores i señoritas* tańcząc walca, trzymają się w objęciach, jak my teraz?

Widząc że wszyscy przyglądają mi się ciągle jak czemuś osobliwemu, skorzystałem ze sposobności i odprowadziwszy na bok kogoś z przyjaciół, zapytałem, co to znaczy? I dowiedziałem się, że margrabina pytała jenerała, czy to prawda, że między jego żołnierzami, a nawet między oficerami, są heretycy, i prosiła, żeby pokazał jej zblizka którego z nich. Zostałem więc bohaterem wieczoru dzięki

28

mojemu wyznaniu. Ale kapucyn, spowiednik margrabiny, którego sprowadziła, może dlatego, żeby odprawił nademną egzorcyzmy w razie potrzeby, pozbawił mnie części uroku, mówiąc, że właściwie nie jestem „heretykiem”, tylko „odszczepieńcem”. Ale że „odszczepieńcem” nieźle tańczył i był wesołym *causeurem*, przebaczone mu łatwo jego grzechy. „*Es christiano como nosotros*” — powiedział kapucyn i wszystko już było w porządku.

W owych czasach w Hiszpanii lud wierzył święcie, że heretyk i Żyd jest na pół dyabłem, zaopatrzonym w niezbędny ogon i rogi. Dużo też osób z wyższej sfery — kobiet szczególnie — nie wiedziało, czy to bajka, bo margrabina i jej przyjaciółki wydawały się bardzo zdziwione, widząc, że my, to jest ja i żołnierze moi współwyznawcy, których jenerał sprowadził przedtem, jesteśmy „tacy sami ludzie, jak wszyscy”.

Komiczny wypadek, jaki zdarzył się w Tauste, dowodzi, jak dalece te zabobonne uprzedzenia były głęboko zakorzenione wśród warstw ludowych.

Jeden z francuskich pułków miał wtedy markietana Żyda z Alzacyi. Człowiek ten, mający częste stosunki z miejscowymi mieszkańcami z powodu zakupu towarów, za które bardzo dobrze płacił, zdobył sobie pewną popularność w okolicy, i Senor Salomon sądził, że nie ma już powodu do obaw.

Pewnego dnia, idąc z oddziałem, który robił rekonesans, pozostał w tyle w jakiejś wiosce, pomimo ostrzeżeń oficera. Ponieważ nie wracał, wyprawiono po niego patrol, który znalazły biedaka rozciągniętego na ziemi na środku gościńca, obnażonego i na pół umarłego ze strachu. Opowiedział, że kilku ludzi rzuciło się na niego niespodziewanie, gdy wychodził ze wsi, obdarło go z ubrania, obejrzało dokładnie, a potem porzuciło, mówiąc:

— *Non es judio, non tiene cola!*

— To nie Żyd, bo nie ma ogona.

29

Worek i ubranie jego znaleziono nietknięte i skończyło się tym razem na przestraczu i ścisłych oględzinach w poszukiwaniu *cola*, który każdy Żyd musiał mieć, według ogólnego mniemania,

Dnia 30 lipca otrzymaliśmy rozkaz opuszczenia Sadavy, którą miał zająć oddział wojska z Nawarry, i pójścia do Exei. Nie wiem, dlaczego tak się pośpieszono z wymarszem, że o mnie, wysłanym na wycieczkę, zapomniano zupełnie. Po rozproszeniu armii katalońskiej przez generała Sucheta dużo zbiegów uciekało przez Aragonię do Nawarry, i to nie tylko pojedynczo, ale całymi zbrojnymi oddziałami. Głównodowodzący rozkazał pozajmować wszystkie przejścia dla przeszkodzenia uciekającym. Jenałowi Chłopickiemu doniesiono, że co noc, o dwie mile od miasta, przechodzą liczne oddziały zbiegów, czemu nie mogąc zapobiedz, chciał przynajmniej utrudnić o ile można. Otrzymałem owego dnia rozkaz wyruszenia o zmroku i ukrycia się w starym, wskazanym mi budynku, a dalsze działanie pozostawiono mojemu uznaniu stosownie do okoliczności. Doszedłem około 11-ej w nocy na miejsce, niewidziany przez nikogo, jak sądziłem, i kilka godzin czekałem na zbiegów, ale nie było nic widać. Kiedy zaczęło świtać, wyszedłem z mojego schroniska i spotkałem wieśniaka jadącego przez pole. Pogroziwszy, że zabiorę mu osła, jeżeli nie powie prawdy, zapytałem, czy nie zbierają się tu gdzie zbiegowie? W odpowiedzi wskazał mi na leżące w pobliżu zabudowania i upewnił, że odpoczywa tam około trzydziestu żołnierzy i kilku oficerów. Poszedłem zaraz i zobaczyłem unoszący się dym; nikt nas nie zauważył, przystęp nie był strzeżony i wnet wszyscy Hiszpanie byli już w naszych rękach, poczem porozbijawszy broń i wrzuciwszy ją w ogień, zabraliśmy się do powrotu. Ale podchodząc do Sadavy, nie zastaliśmy żadnych straży, żadnych placówek, miasto opuszczone, nigdzie rozkazu

30

dla mnie. Oczekiwane wojska z Nawarry jeszcze nie przybyły, nasze już wyszły. Dokądś nikt nie umiał powiedzieć. Tyle tylko się zdawało, że w okolicy Exei. Poszedłem więc także w tamtą stronę i pomimo różnych niebezpieczeństw, udało mi się szczęśliwie dojść na miejsce. Zawdzięczam to po części przyjaznemu zbiegowi okoliczności, ale więcej jeszcze moim nieocenionym ludziom, żołnierzom takim, jacy mogą, się wyrobić tylko w długotrwałej wojnie partyzanckiej, gdzie najmniejsze niedbalstwo sprowadza wielkie niebezpieczeństwa.

Po krótkim odpoczynku przyszedł rozkaz wyprawienia dwóch kompanij woltyżerów przez Murillo de Gallego do Ayerbe. Upał był niesłychany, drogi niegodziwe. Prócz tego palące wyziewy, nazywane w Hiszpanii *calina*, przepęłniały powietrze, co zwiększało jeszcze nasze wyczerpanie.

Stosownie do otrzymanej instrukcyi doszliśmy do Murillo, a potem do Ayerbe, nie zobaczywszy nigdzie nieprzyjaciela, a w tej ostatniej miejscowości zastaliśmy sztab-oficera z trzema kompaniami grenadyerów. Oficer zanotował drogę, którą przebyliśmy, wskazał nam miejsce biwakowania i dał rozkaz, żeby pójść przez Bolea do Huesca, baczyć na wszystko po drodze „*de nous mettre en rapport avec l'officier français que nous y trouverions*” i powrócić do Ayerbe...

Spełniliśmy rozkaz dokładnie i po niesłychanie męczącym pochodzie d. 10-go sierpnia byliśmy już z powrotem na nowem stanowisku.

Nie mogliśmy odgadnąć celu tych pochodów, kiedy 11-go sierpnia przybył niespodziewanie marszałek Suchet — marszałkiem był już od lipca — i wtedy dopiero dowiedzieliśmy się, że lada chwila oczekiwano przyjazdu marszałkowej i że to dla zabezpieczenia jej podróży przedsięwzięto te wszystkie środki ostrożności. Marszałek odbył przegląd obu naszych kompanij, a dla mnie był bardzo uprzejmy.

31

— Jeżeli nie jesteś pan dotąd pierwszym porucznikiem — powiedział mi — to nie z mojej winy; od dawna już przedstawiłem pana do awansu i dziwię się, że nominacya dotąd nie nadeszła.

Dnia 12-go wyszliśmy do Anzanigo, gdzie stojąc obozem do 18-go, gorliwie patrolowaliśmy w całej okolicy, a 19-go powróciliśmy znów do Ayerbe. Przyjmowano tu panią marszałkową z całą świeżością, na jaką stać było miasto i okolice. Młodzież wykonywała tańce narodowe, a potem wystąpił śpiewak i przy dźwiękach gitary śpiewał na cześć marszałka *joty*, wystawiające jego czyny. O ile mogłem zrozumieć, osnute one były na wyszukanych pochlebstwach. Te *joty* są to krótkie śpiewki, mające za przedmiot jakąś osobę lub zdarzenie, a śpiewają się na nutę bardzo monotonną. Podobne są o niektórych śpiewów arabskich i pieśni górali na Kaukazie.

Śpiewają te *joty* o wszystkim, co im do głowy przychodzi, zawsze na tę samą, monotonną melodyę, z towarzyszeniem gitary. Zwykle śpiewy rozpoczynają się wieczorem, kiedy ludzie idą po wodę. Gdy tylko kto zacznie śpiewać znajdzie się zaraz i gitara.

Nierzadko widać młode dziewczęta tańczące solo i jeżeli nie z wielką umiejętnością, to z wielkim wdziękiem wykonywujące taniec; najrzeczniejszym dają miano *bailadora* (tancerka). Tak było przynajmniej w Hiszpanii przed 50 laty.

Podczas uroczystości, wyprawianej na cześć marszałkowej, całą tę malowniczą sceneryę oświetlały różnokolorowe latarki trzymane przez młodzież, a sam marszałek chodził wśród tłumu i rozmawiał.

Marszałkowa małego wzrostu, żywego usposobienia osoba, z twarzą o typie południowym, podobniejsza do Hiszpanki, niż do Francuski, była córką pana Anthoine, szwagra króla Józefa, a siostrą

32

ministra Decrès. Rozmawiała ona bardzo uprzejmie z kilku paniami, należącemi do średniej klasy. Potem była wspaniała wieczera, na którą nie zaproszono jednak żadnego oficera. Zawiadomiono ich poufnie, ażeby powrócili na swoje posterunki i mieli się na baczności więcej, niż kiedykolwiek. Marszałek miał pewne powody do wydania takich rozporządzeń, bo wspomina w Pamiętnikach, że dowódca gerylasów, Sarraza, który swoim okrucieństwem budził postrach na całym pograniczu Nawarry, miał wielką chęć pochwycić panią marszałkową „*ajoutant — pisze marszałek — qu'il mettait d'autant plus de prix à réus sir qu'on la disait enceinte (ce qui était vrai) en sorte que l'enfant périrait avec la mère*”.

Ten Sarraza był jednym z najdzikszych przywódców band powstańczych. On to urządził skrytobóczy zamach na gubernatora Nawarry za to, że kazał powiesić kilku włóczęgów, którzy zamordowali alkalda, mianowanego przez władze francuskie.

Następnego rana wyruszyła marszałkowa w dalszą podróż, w lektyce niesionej przez krajowców, pod osłoną jednego *bataillon d'élite*. Wojska, porozstawiane na wszystkich punktach, których zajęcie przez nieprzyjaciela mogło grozić niebezpieczeństwem, zabezpieczyło zupełnie drogę, a wysoki szacunek, jaki mieliśmy dla marszałka — człowieka prawego i dobrego — wpłynął na to,

że oficerowie i żołnierze wypełniali rozkazy z zapalem, nie cofając się przed żadnym poświęceniem. My pozostaliśmy jeszcze jeden dzień w okolicach Ayerbe, potem poszliśmy przez brudne Sacs do Murillo, a ztamtąd przez Luesię i Sos do Sanguessy, gdzie przybyliśmy 24-go sierpnia. Chociaż nie byliśmy niepokojeni w pochodzie, dowiedzieliśmy się w Fuencalderas i Bielu, że byli tam powstańcy i zarekwirowali żywność dla większych oddziałów, a w okolicach lesistych

33

po między Luesią i Castillascar spotkaliśmy pojedynczych jeźdźców, którzy na nasz widok uciekali z pośpiechem. Nie mogliśmy, naturalnie, ścigać ich i szliśmy dalej spokojnie.

Dnia 25-go przyszedł do Sanguessy z Nawarry silny korpus wojska — pięknego wojska, wspaniale wyekwipowanego, ale znać było po nim, że więcej przebywało ono w koszarach, niż w górach. Wyszliśmy po południu 25-go do Sos i jeszcze nie doszliśmy do podnóża gór, przez które idzie droga, kiedy nas zaskoczyła burza gwałtowna, która, zdawało się, że nie będzie miała końca. Moja kompania, idąca w tylnej straży, wyruszyła prawie w godzinę po wyjściu brygady, ale mimo to wpadłem jeszcze na nasze bagaże. Zatrzymałem się, lecz po krótkim pochodzie znalazłem się znów w tem samym położeniu. Odgłos grzmotów, rozlegających się groźnie w górach, blask błyskawic rozświetlających niebieskawem światłem ciemności nocy, szum wezbranych potoków, ulewny deszcz smagający nas po twarzach — wszystko to składało się na to, żeby nieskończenie utrudnić nasz pochód. Żywioły rozszalały się z taką siłą, że obawiałem się rozproszenia oddziału, jeżeli nie będę działał z największą przezornością. Powierzyłem czoło kompanii jednemu z oficerów i poszedłem na sam jej koniec.

Przewodnika, który nas prowadził, oddałem trębaczowi, kazałem mu przywiązać go do siebie linką, zastrzegając, że będzie osobiście odpowiedzialny za ucieczkę. I tak szliśmy dalej po uciążliwej drodze, między przepaścią a ścianą skalistą. Ze wszystkich stron, w przerwach między grzmotami, odzywały się wołania, bębnienia, trąbienia sygnałów. Dopiero dobrze po północy zaczęła się burza uspakajać, a kiedy z pierwszymi promieniami słońca doszliśmy do podnóża gór, niebo jaśniało już najczystszy błękitem. Zobaczyliśmy przed sobą

34

naszą brygadę, która tu stanęła, uporządkowała się i czekała na bagaże. Wyjechały i one wreszcie zwolna z wąskiej drożyny górskiej, postradawszy w pochodzie trochę zwierząt jucznych i trochę osłów.

Co mi było najprzykreszysze, to, że brak było w mojej kompanii trzech ludzi, a między nimi trębacza, któremu oddałem przewodnika. Wszyscy trzej byli doskonałymi żołnierzami, sprawowali się do tej pory bez zarzutu; że zaś byli wszyscy z jednych stron, nasunęło mi to pewne podejrzenia. Zawróciłem w góry, zacząłem szukać, trąbić, wołać, ale nie było nigdzie ani śladu. Dopiero po latach spotkałem jednego z nich na Szląsku. Kiedyś przechodził w Głogowie przez most na Odrze, zaczęli mnie, prosząc o jałmużnę, jakiś człowiek, z twarzą a oszpeconą, że zaledwie z trudnością mógł mówić. Poznałem w nim jednego z żołnierzy, którzy mi zniknęli owej nocy, niejakiego Knappa z Leszna; opowiedział mi, że on i jego koledzy namówieni zostali w Sanguessie do dezercji i że skorzystali z burzy, żeby wykonać plan oddawna ułożony. Wszyscy trzej przeszli do służby hiszpańskiej, ale nie wie, gdzie zostali jego towarzysze; jego samego zaś choroba zaskoczyła w Puente la Reyna w Nawarze. a wyzdrowiawszy już po ukończeniu wojny, został uwolniony i wrócił do kraju.

Dokąd przyśliśmy, wszędzie przed nami byli powstańcy i znikli. Posługiwali się taką taktyką, że niepodobna nam było ich pochwycić. Cofali się z główną siłą do miejsca odległego o 10 — 12 mil i wysuwali ku nam małe oddziały na 5 — 6 mil. W tym promieniu gospodarowali sobie najswobodniej. Zanim dowiedzieliśmy się o tem i mogliśmy przedsięwziąć przeciwko nim jakieś środki, już cała okolica była zrabowana i ogołocona z żywności. Jeżeli podeszliśmy ku nim jaknajostrożniej, wpadaliśmy najpierw na wysunięte oddziały, które umykały co żywo, a wyprzedzając nas o cały dzień

35

pochodu, dawały znać głównym siłom oddziału, że czas uchodzić.

Kiedy armia odnosiła zwycięstwa w bitwach, zdobywała twierdzę i sławę, owoce tych zwycięstw przepadały po większej części. Byliśmy panami tylko tego miejsca, na którym staliśmy, a nawet tam nasza władza bywała często ograniczona i tylko pozorna.

Dnia 30-go sierpnia otrzymaliśmy rozkaz pójścia do Un Castillo. Tam doszła nas wiadomość, że Pesaduro stoi w okolicach Oncelli i zachowuje się niezbyt ostrożnie. Dowódca nasz wyruszył 31 pozornie przez Bieto do Exei, ale gdy noc zapadła zawrócił nagle do Lobery, o świcie doprowadził nas do Pintano, gdzie stał Pesaduro. Przeszliśmy cztery i pół *leguas* w ciągu niespełna sześciu godzin i przybyliśmy na miejsce z pierwszym braskiem różanej jutrzenki.

Na nieszczęście zobaczył nas po drodze, w Loberze, jakiś człowiek, uchodzący za *afrancesado*. Nie chciał ominąć tej sposobności zrehabilitowania się i podążył bocznymi drózkami ostrzedz Pesadurę o grożącym mu niebezpieczeństwie. Przybywszy na miejsce, zastaliśmy tylko słaby oddział, stanowiący tylną straż, która nam chciała bronić przystępu, ale została zaskoczona tak szybko, że razem z nią wpadliśmy do miasta. Zdobyliśmy masę żywności, bagażów i jeńców, między którymi był brat Pesadury, piękny i młody człowiek. Bylibyśmy lepiej się obłowili, gdyby nie zdrada, ale na to niema już sposobu.

Nie zatrzymywaliśmy się długo w Pintano i zabezpieczywszy zdobycz, ruszyliśmy z powrotem do Un Castillo. Mnie polecono odprowadzić jeńców do Exei. Droga z Un Castillo idzie przez Bieto, krajem bardzo podatnym do zasadzek i który był widownią ciągłych napadów nieprzyjaciela. Tem więcej mogłem się spodziewać napaści, że prawdopodobnie

36

nieprzyjaciel będzie usiłował uwolnić młodego Pesadurę. Przedsięwziąłem więc odpowiednie środki. Z jeńcami i ja i moi ludzie obchodziliśmy się ze względami należnymi nieszczęściu. Moje przekonanie, że zwyciężonych trzeba uważać za ludzi, za bliźnich, udzieliło się większości moim podwładnym i tylko czasami, na widok okaleczeń, jakie Hiszpanie zadawali naszym, trudno było utrzymać żołnierzy w granicach umiarkowania. Lud z Wielkopolski jest z natury dobroduszny i tylko w chwilach szczególnego wzburzenia umie się dopuścić nadużyć, jest prócz tego uległym i giętkim, całą duszą oddany swoim oficerom, jeżeli się przekona, że o niego dbają. Ale biada przełożonemu, który sam daje przykład nieprawego postępowania, dla takiego ci ludzie, spokojni i wierni, będą najgorszymi podwładnymi.

Kiedyśmy się zbliżyli do miejsca, gdzie przewidywałem napad Hiszpanów, kazałem swojemu znakomitemu jeńcowi, siedzącemu na mule, prowadzonym za uzdę przez żołnierza, związać nogi pod brzuchem zwierzęcia, resztę jeńców powiązać po trzech i tak ruszyłem dalej. Sierżant, któremu poleciłem specjalny nadzór nad Pesadurą, otrzymał rozkaz za pierwszym usiłowaniem ucieczki zastrzelić młodzieńca i wszystkich jeńców, o czym im oznajmiono. W najlepszym porządku minąłem niebezpieczne miejsce i lekka wymiana strzałów z gerylasami, należącymi, o ile się zdawało, do pojedynczego oddziału, nie miała dalszych następstw i szczęśliwie doszliśmy do Exei. Ztamąd zostałem wyprawiony do Sadavy, z kąd zrobiliśmy kilka wypraw do Nawarry, poczem znowu wróciliśmy do Exei, żeby zrobić wyprawę w góry dla zaopatrzenia się w barany, które zaprowadziliśmy przez Lunę i Zuerę do Saragossy. Tam zastaliśmy wielkie przygotowania do wyprawy na Walencję. Właśnie w dzień naszego przybycia udała się do marszałka

37

Sucheta deputacya podoficerów i żołnierzy z przeproszeniem za bunt, którego się dopuścili. Marszałek przyjął poważnie, ale łaskawie deputacyę na której czele stał stary sierżant, co walczył jeszcze na San-Domingo, a Suchet powiedział jej, że ze względu na dawne zasługi i trudy przeniesione przez pułk przebacza, ale polecił przytem deputacyi ostrzedz towarzyszków, żeby powstrzymali się nadal od podobnych nadużyć — bo marszałek — w razie powtórzenia się buntu, wymierzyłby buntownikom surową karę według prawa, pomijając wszystkie względy. Nazajutrz przyjmował marszałek korpus oficerski i miał do niego nową przemowę. Wspomniał o nieporządkach, panujących w administracyi, o nieufności żołnierzy względem tych, którzy powinni czuwać nad ich dobrobytem, a wreszcie o braku energii oficerów.

— Panowie — dodał w końcu. — Jeden tylko oficer wypełnił swój obowiązek — porucznik Brandt. Gdyby dowódca pułku okazał więcej energii, nie stałoby się nigdy nic podobnego. Ale teraz, panowie, wszystko już skończone. Gorliwość i karność, jakimi pułk odznaczył się od tej pory, jest dla mnie rękojmią, że takie zajścia nie powtórzą się w przyszłości. Do zobaczenia w Walencji.

Marszałek, pomnąc zapewne na bunty wojskowe Włoszech, w Rzymie, w Turynie i w innych miejscach, oraz wiedząc o nieustannych zabiegach Hiszpanów, namawiających żołnierzy do dezercyi, postąpił w tej sprawie z rozsądną łagodnością, a przytem gros-majorowi Michałowskiemu dał dotkliwą naukę. Michałowski był zapewne równie uczciwym, jak wszyscy gros-majorowie w całej armii, ale jego duma i zbytki oburzały wszystkich. I tak np. miał zwyczaj jeździć eleganckim powozem, zaprzężonym w cztery konie, czego żaden oficer w całej armii nie czynił i jedna tylko pani marszałkowa używała takiego zaprzęgu. Ale major

38

zrozumiał naukę i od tej chwili i on i żona jeździli w parę koni.

## XXVIII

Wymarsz pułku z Saragossy. — Pochód przez Fuentes, Alcaniz, Monrayo, San Mateo i Oropesa. — Szturm do strażnicy Torre del Rey. — Castellon de la Plana. — Parada przed marszałkiem Suchetem. — Oblężenie Murviedro (Sagunto).

Nadszedł ostatni kwartał 1811 roku, chwila bardzo obfitująca dla Hiszpanów w ważne wypadki. Udało się Juntom cały kraj powołać do broni. Pomimo, że wojska jenerała Blake i innych dowódców walczyły z wątpliwym powodzeniem, jednakże armia Napoleona ucierpiała znacznie od nich. Nowowydane prawo, uwolnienie ludu od dawnej zgnilizny i dopuszczenie go do wszystkich urzędów, uporządkowanie poboru podatków, a nadewszystko niezmordowana pomoc Anglii, natchnęły nową siłą i energią naród, który ostatecznie miał wyjść z tej walki zwycięzko. Wprawdzie tylko siedmiu grandów hiszpańskich, Albuquerque, la Romana, Infantado, del Parque, Castel dos Rios, Pinohermoso i Trias, zaciągnęło się pod chorągwie narodowe, ale tak, jak przedtem we Francyi, znalazło się wśród ludu dużo takich, którzy godni byli stanąć na czele walczących. Najwięcej siły dodawała ludności pewność pomocy Anglii i stare rozpowszechnione w całym kraju przysłowie: *można wojować z całym światem, byle z Anglią żyć w zgodzie*, było wtedy ścisłą prawdą.

Dnia 17-go września byliśmy w Saragossie, zbrojąc się na oczekującą nas wyprawę. Pułk wyruszając miał 1,200 ludzi, a prócz tego 800 pozostawiał za sobą, w różnych miejscach Aragonii, w załogach i na posterunkach. Umundurowanie, wyekwipowanie i karność były w nim świetne,

39

niełatwo można było spotkać piękniejsze wojsko. Przez Fuentes i Puebla de Hajar doszliśmy do Alcaniz 23-go września. Ale jakże wszystko zmieniło w tem mieście. Życie wrzało na ulicach, na targu pełno było kupujących, a na miejscu dawnego pustkowi zieleńło się młode życie. Cytadela była nanowo odbudowana i przedstawiała się imponująco. Pokoje, które nas przedtem zaledwie osłaniały od wjatu j deszczu, zostały przerobione na wygodne mieszkanie komendanta.

29-go sierpnia po bardzo męczącym pochodzie przez Cuevas doszliśmy do Cabanes. Następnego dnia w prześlicznie położonem przy wybornej szosie Castellon de la Plana, otrzymaliśmy rozkaz zawrócenia napowrót do Cuevas, które zastaliśmy obsadzone przez załogę i gdzie biwakowaliśmy w pobliżu. Następnym biwak mieliśmy w Chert, gdzie zastaliśmy znaczną liczbę zebranych wieśniaków, z którymi wyruszyliśmy dla uprzątnięcia wąwozu pod Morella, z kąd przybył taki sam oddział dostarczony przez Włochów. Wieśniacy pracowali wytrwale pod naszym nadzorem. Patrolowaliśmy i podzieliśmy się w ten sposób, żeby osłaniać najważniejsze roboty; spotykaliśmy tu i owdzie czerwone czapki powstańców, ale nie było żadnej ważniejszej napaści. Pod wieczór zebraliśmy naszych ludzi koło Salvanoria i tam biwakowaliśmy, a Włosi odeszli z powrotem do Morelli. Nocą przybył oficer ze sztabu marszałka zobaczyć jak daleko posunęły się roboty i powiedział nam, że trzeba się mieć na baczności, bo w górach pełno powstańców. Następnego dnia robota szła dalej, ale musieliśmy posłać jedną kompanię do Monrayo, dla wzmożenia eskorty przy konwoju. Dowiedzieliśmy się zaraz o nieszczęśliwej potyczce, stoczonej przez Włochów z Walencyanami, a Włoscy żołnierze, będący przy nas, odeszli natychmiast, dając na pomoc swoim. Pozostało tym sposobem tylko 5 kompanii dla osłony

robót, a jeden batalion musiał pilnować wyjścia z wywozu od strony Chert. Mnie polecono obsadzić wejście od strony Morelli. Przebyliśmy trzy dni na tym posterunku, przy sprzyjającej pogodzie; ale noce były już zimne, brakowało nam drzewa, a wodę trzeba było sprowadzać zdaleka i pod eskortą. Wiadomość o bitwie stoczonej pod Cantavieja, o dwie mile od nas, z wojskami Villacampy, podwoiła naszą czujność; 5-go października oficer stojąc y na posterunku zawiadomił, że niedaleko, w jednym parowie w górach widział ludzi konnych i pieszych. Porozstawiałem forpoczty, zebrałem kompanię i kryjąc się o ile było można, wsunąłem się do tego parowu, gdzie rzeczywiście zastałem kilkuset *Miqueletów*, nie spodziewających się napadu. Ponieważ byłem blisko i nie mogłem kryć się dłużej, rzuciłem się naprzód podwójnym krokiem z okrzykiem: hura! Hiszpanie bez strzału cofnęli się, ale o tysiąc kroków stanęli, gotowi do odparcia ataku. Wysłałem naprzód swoich tyralierów, a obejrzawszy miejscowość, znalazłem drugi parów, którym można było podejść pod samo lewe skrzydło nieprzyjaciela. Hiszpanie, jak gdyby coś podejrzewając, skupiali się coraz więcej, a gdy wdarliśmy się na górę, na której stali, cofnęli się ztamtąd spieszenie. Powróciłem na swoje stanowisko gdy tylko się ściemniło, ale uznałem za konieczne przenieść się na inne miejsce i biwakować, nie rozpalając ognia. Nie mając jazdy, przez którą możnaby posłać wiadomość o tem, co się stało, wyprawilem na początku nocy czterech wytrwałych ludzi, bez bagażu, do sztabu naszego batalionu, który, jak przypuszczałem, powinien być w Salvanoria. Ale zaledwie moi posłańcy uszli tysiąc kroków, przyjęto ich ogniem i zmuszono do odwrotu. Miałem dostateczne siły, żeby się trzymać na tem stanowisku, aż do nadejścia pomocy, która powinna była nadejść, niedługo, więc nie troszczyłem się zbytecznie! Poszliśmy na właściwe

miejsce naszego obozowania i zabraliśmy się do przyrządzenia jedzenia. Wtem ukazał się ksiądz, jadący na mule, prowadzony przez nasze forpoczty.

— Senor — przemówił do mnie po zwykłych powitaniach — wracam z pogrzebu jednego z waszych, włoskiego oficera, który umarł niedaleko ztąd. Był on heretykiem, a mnie, dzięki niech będą za to *Maryi purissima!* udało się namówić go przed śmiercią i uratować jego duszę. Teraz będziecie codzień walczyli z naszymi, wielu was padnie w bitwach, pomyślcie więc panowie o swoim zbawieniu!

Przyznaję, że ta gorliwość w nawracaniu była w tej chwili bardzo nie w porę, poradziłem tedy pocziwcowi, żeby sobie odjechał, nie kłopotząc się o nas. I ja jestem heretykiem i bardzo mi z tem dobrze.

— Tem większy mam obowiązek nawrócenia ciebie — odpowiedział — a wydobywszy krucyfiks, zaczął odmawiać nademną jakieś egzorcyzmy.

Kiedy skończył zapytałem go:

— Czy wierzysz pan, że Zbawiciel tylko dla was umarł na krzyżu? Czy sądzisz, że nie znamy zasad wiary?

I wypowiedziałem głośno i wyraźnie nasze *Credo in Deum*. Hiszpan osłupiał. Nie dopuszczano go do słowa, dodałem jeszcze modlitwę przed Komunią, wielkopiątkową. Ksiądz skamieniał. Nie wiem, w jaki sposób poradził sobie z biednym pacjentem, którego nawróceniem się szczycił, ale, że mniemany *herege*, stojący według jego mniemania na progu wieczności, odpowiedział mu z taką uczciwością, wzruszyło to księdza głęboko i oddalił się, pobłogosławiwszy nas przedtem. Scena ta, a mianowicie moja łacińska modlitwa, ściągnęła do mnie całą kompanię.

— Ale czego chciał w końcu ten ksiądz? — zapytał mnie jeden z żołnierzy protestantów.

— Chciał nas nawrócić — odpowiedziałem.

— No! mógł sobie oszczędzić tego kłopotu — zrobił uwagę mój współwyznawca.

Ale ten cały wypadek wywołał pewne wzburzenie wśród żołnierzy. Protestanci oburzyli się i zaczęli wymyślać na pocziwego księdza; katolicy ujęli się za nim i doszło do dysputy religijnej, której dopiero Danusz, żartownis naszej kompanii, na dał inny obrót wygłoszeniem komicznej przemowy.

9-go października poszliśmy do Cabanes, a ztamtąd 10-go do Villareal. Zaledwie zaczęliśmy przygotowywać się do biwaku, kiedy zaalarmowano obóz. Wszyscy stanęli pod bronią. Na most na rzece Mijares zaciągnięto armaty, wyprawiliśmy patrole do Murviedro; ja zostałem posłany na drogę do Artany. Postawszy tam jakiś czas pod bronią, wróciliśmy na miejsce naszego biwaku. Zdaje się, że to Villacampa próbował opanować Villareal, żeby oswobodzić Oropesę. Villareal, o pięknych, prostych ulicach, niepodobne było do hiszpańskiego miasta; cały jego pozór był zupełnie odmienny. Miłe, czysto utrzymane domki, przypominały mi raczej miasteczka niemieckie. Wysoką, ośmiokątną dzwonnice zamieniono na czatownię i obsadzono grenadyerami. Biwakowaliśmy pod miastem razem z innymi wojskami, które pościągano tu z pośpiechem i nazajutrz poszliśmy do Oropesy, małej miściny z nędznym fortem, który jednak ochraniał drogę z Tortosy do Murviedro. Wąwóz na tej drodze szeroki jest na strzał armatni. Fort oblegali neapolitańczycy pod dowództwem generała Compère i w chwili, kiedy miał się rozpocząć szturm, nastąpiła kapitulacya; nie poddała się tylko czworokątna baszta, położona tuż nad morzem, nad Cabo de Oropesa, z trzech stron otoczona szańcami i silnie zabarykadowana. Musieliśmy robić przykopy, żeby zrobić w niej wyłom, ale mury były tak mocne, że kule nie pozostawiały na nich śladu. Nieprzyjacielskie okręty, większe i mniejsze łodzie przybyły

w ciągu dnia, poustawiały się w ten sposób żeby osłaniać wybrzeże na prawo i na lewo od baszty. My zaś wyszliśmy tak wysoko na górę, że mogliśmy wszystko widzieć i panować na d podnóżem baszty i jej komunikacyami z morzem, oraz śledzić łodzie. Grenadyerzy pod dowództwem majora Michałowskiego poszli do ataku — bez rozkazu, o ile mi zdaje. Ogień nieprzyjaciela ustał wkrótce prawie zupełnie, kanonada z okrętów nie wyrządzała nam żadnych szkód i niezadługo opanowaliśmy szańce. Ale żelazną bramę baszty zastaliśmy zamkniętą i sporo czasu upłynęło zanim zdołaliśmy ją otworzyć i wężkami schodami wdrzeć się na szczyt baszty. Ponieważ wszyscy pchali się do wnętrza — raz dlatego, żeby nieprzyjaciel je j nie odbił, po drugie dla schronienia się przed strzałami z okrętu — stłoczyła w jej wnętrzu skłębiona masa ludzka. Pierwsi żołnierze, którzy wpadli na platformę baszty, rozwściekieni tem, że im przepadła część łupu, rzucali ludzi z załogi na dół z wieży — jeden z tych nieszczęśliwych, porwawszy kamień, rzucił nim w majora Michałowskiego w chwili, gdy ten chciał wejść do baszty i zadał mu nieznaczną ranę w

głowę. Ani liczba jeńców nie była znaczna, ani łupy wielkie, lecz zdobycie baszty dawało nam wolne przejście i punkt oparcia przeciwko wyprawom gerylasów. Kapitan Korczyński z naszego pułku został mianowany komendantem fortu i okolicy.

— Ta baszta — *Torre del Rey*, była jedną ze strażnic, które wzniesiono tu pewnie dla obrony od morskich rozbójników. Widok z niej rozległy na morze i można było dzięki temu przygotowywać się zawczasu do obrony i dawać sygnały dla ostrzeżenia mieszkańców o niebezpieczeństwie. Dużo takich strażnic spotyka się na wybrzeżach Walencji i często widać było płonące na nich ognie — kiedy zbliżały się wojska francuskie.

Wołyżerowie i grenadyrzy wyszli tego samego

44

dnia do Castellon de la Plana, dokąd doszliśmy nazajutrz, przepędziwszy część nocy na biwaku przy gościńcu. Castellon jest bez zaprzeczenia najpiękniejszym z miast, jakie do owej pory widziałem w Hiszpanii, ale mało mieliśmy czasu do nacieszenia się wspaniałym widokiem. Najpierw przejeżdżała przez miasto pani marszałkowa i niewczesna gorliwość kilku starszych dowódców trzymała biednych, pomęczonych oficerów przez całą noc w pogotowiu po to tylko, żeby na jej przybycie stanowili jedną więcej, zbyteczną dekorację. Potem przechodziła przez miasto dywizja neapolitańska, którą witano uroczystie — a w końcu, 15-go przybył sam marszałek, który odbył wielki przegląd zebranych tam wojsk, liczących około 8,000 ludzi: Neapolitańczyków, Włochów, Francuzów i Polaków. Przyjmowano go isticie po książęcemu. Przy odgłosie dzwonów witany przez wyższe duchowieństwo, władze cywilne i wojskowe, przy okrzykach tłumu przyjmującego go głośnie „viva” wjechał wolno do miasta na czele świetnego sztabu.

Zaraz po wjeździe do miasta odbyła się narada. Marszałek przejechał z wolna przed frontem wojska ustawionego w kolumny, rozmawiał ze znajomymi oficerami i do mnie także powiedział parę słów przyjaznych. Czułem się niezdrów, ale nie chciałem opuścić pułku. Cierpiałem na złośliwą febrę, która chwilami ustawała, a potem powracała jeszcze silniejsza. Ale że miałem dobrego konia — łup zdobyty w Cinco Villas — łatwiej mi było znosić trudy forsownych pochodów.

16-go byliśmy już w drodze do Murviedro, kiedy otrzymaliśmy rozkaz zwrócić się przez Oropesę, Torreblanca, Benicarlo do Vinaroz, pod którym ukazała się dość liczna flota. Szliśmy pośpiesznie bez odpoczynków i zatrzymaliśmy się tylko dłużej w Torreblanca, gdzie był odkomenderowany oficer z naszego pułku, który zajął się ugoszczeniem oficerów

45

i żołnierzy. Doszliśmy już do Alcala, kiedy dogonił nas rozkaz powrotu do Castellon, dokąd przybyliśmy po dwudziestogodzinnym pochodzie, zrobiwszy przez ten czas 12 mil. Nazajutrz weszliśmy do Nules, zamtąd do Almenary, gdzie biwakowaliśmy na skalistym wzgórzu, wznoszącym się samotnie na równinie. Główna kwatera marszałka była w Petres. Znaczna część wojska biwakowała w całej okolicy, a następnego dnia otrzymaliśmy żołd za cztery miesiące, co wywołało wielkie rozweselenie w armii. Przy wszystkich oddziałach było mnóstwo markietanów, nie brakowało więc sposobności do pozbycia się pieniędzy,

Wieczorem dowiedzieliśmy się, że przypuszczono do Sagunto szturm, który został odparty. Żałowano u nas ogólnie kapitana Saint-Hilaire, adiutanta przy jenerale naszej dywizji — zaprzyjaźnionego bardzo z wielu oficerami naszego pułku, a ranionego podczas szturm. Chodziły wieści o znacznej liczbie ranionych i poległych, którzy opłacili życiem za ten atak przedwczesny.

Następnego dnia pułk nasz, którego oddziały stały w Peniscola, w Oropesie i w Castellonie — dostarczył jednej kompanii do robót, drugiej do osłony. Przeszedłszy przez most i przez główną ulicę miasta, zwróciliśmy się po za mury ku wylomowi, do którego

wczoraj przypuszczono ten nieudany atak. Przed nami i wokoło grzmiał silny ogień działowy i karabinowy, nie robiąc nam szkody; zatrzymaliśmy się, żeby zluzować Francuzów. Nasze warty rozstawiły się zaraz na murach — nieprzyjacielskie kule i pociski z naszych baterij przelatwały nad głowami; schroniliśmy się za wystający odłam skały i prawie całą noc staliśmy pod bronią. Wkrótce po północy rozeszła się pogłoska o wycieczce, którą zrobił nieprzyjaciel, ale wszędzie było spokojnie. Bomby i granaty przelatwały jak ogniste meteory; w wylomie strzały karabinowe

46

nie milkły ani na chwilę. Pomimo tak rześkiej strzelaniny, miałem tylko dwóch ranionych — nie wiem czy odłamkami skały, czy granatów. Nad ranem ściągnąłem sztyldwachów i sam cofnąłem się także do rozpadliny, gdzie przebyliśmy dość spokojnie cały dzień. Skorzystałem ze sposobności, żeby podczas pauzy obejrzeć przykopy i zadziwiłem się, zobaczywszy co zrobiono. W skale zostały wyrąbane schody — rozsadzono górę prochem i zrobiono drogę — na nagiej skale urządzono szańce z worów piasku, do czego materyał trzeba było sprowadzić zdaleka. Samo ustawienie baterji, dokonane w znacznej części ludzkimi siłami, mogło już obudzić podziw.

W kilka dni potem zajmowałem ten sam posterunek. Zrobił się o tyle niebezpieczniejszy, że roboty oblężnicze podsunęły się bliżej twierdzy, a my musieliśmy osłaniać lewe skrzydło. Mogłem tylko część moich ludzi postawić na dawnym miejscu, sam z 30 ludźmi — którzy naturalnie często się zmieniali — musiałem leżeć na brzuchu, w pobliżu naszych aproszów, nie wypuszczając z rąk broni — ciężkie zadanie! Ogień owej nocy nie ustawał, ale mimo to mieliśmy tylko jednego ranionego, a zabitych nie mieliśmy wcale.

24-go zostałem wyprawiony z dwiema kompaniami dla zajęcia St. Gilet, małej, ufortyfikowanej kapliczki, panującej nad drogą do Segorbe, gdzie nasze wojska od kilku dni potykały się z Hiszpanami. Zastaliśmy tam Neapolitańczyków, którzy wprawdzie zadziwili się naszym przybyciem, ale oddali nam bez oporu kaplicę i odeszli do swojego oddziału, stojącego przy drodze do Segorbe. Dawniej już przepędziłem był noc w tem samym miejscu i miałem tam nieprzyjemne zajście z włoskimi dragonami. Oddano mi wtedy do dyspozycji 12 koni z tego pułku do robienia rekonesansów i patrolowania; dragoni na noc cofnęli się do wnętrza

47

kaplicy. Od dość dawna już krążyły pogłoski, że Francuzi nocami rabują w okolicy, skutkiem czego przeprowadzono badania i śledztwa, które nic nie wyjaśniły. Otóż owej nocy raportuje mi jeden z moich podoficerów, że — o ile się zdaje — brakuje kilku

dragonów. Ponieważ klucz od drzwi był u mnie, a kaplica, wysoko położona, otoczona była murem, uważałem to w pierwszej chwili za bajkę; ale później, pod pozorem wyprawienia patrolu, kazałem wystąpić dragonom i przekonałem się, że brakuje czterech. Ale brygadyer i pozostali dragoni utrzymywali, że nie wiedzą co się z tamtymi stało. Porostawiałem więc sztydwachów — prawdę mówiąc więcej dla nadzoru nad Włochami i zapobieżenia dalszym dezercjom, niż dla ujęcia powracających. Aż tu nagle pokazuje się jeden dragon, wdrapuje na mur — za nim drugi — trzeci i czwarty — obładowani łupami, żywnością i prócz tego pieniędzmi. Poczciwcy spuszczaali się po sznurowej drabinie z muru wysokiego na dwadzieścia kilka stóp, płądrowali z bronią w ręku po okolicy i tą samą drogą powracali — i zapewne oddawna uprawiali to zajęcie, co było źródłem skarg nie zrozumiałych dla nas. Zdałem raport o wszystkim i odesłałem żołnierzy jako więźniów do ich pułku.

25-go października rano byłem właśnie zajęty porannym apelem, kiedy naokoło zaroilo się od ludzi. Jenerał Palombini, jenerał Robert, a potem kapitan Mühlberg, adjutant jenerała Chłopickiego, przybyli dla obejrzenia te j miejscowości, a ten ostatni zadziwił się nie mało, gdy mnie tam zastał. Kiedy na zapytanie co mam tu do roboty — odpowiedziałem, że przybyłem ku wielkiemu zadziwieniu Włochów i jestem zupełnie zbyteczny, adjutant odrzekł, że zawiadomi o tem jenerała. Po upływie półgodziny powrócił i przywiózł mi rozkaz, żebym zajął drogę do St. Espiritus i stanął tam na lewym skrzydle 1-go pułku. Wykonałem to z wielkim

48

pośpiechem i powiedziałem włoskiemu pułkownikowi stojącemu u podnóża góry razem z pułkiem, że otrzymałem rozkaz wymarszu, skutkiem czego zajął on na nowo kaplicę. Już podczas drogi słyszałem gęste strzały na lewo od nas. Ale że Sagunto leży w istnym lesie drzew figowych, oliwnych i świętojańskich, a przytem nie było pogodnie, niemożna było nic widzieć i tylko z odgłosu strzałów wnosilem, że zbliżają się do Sagunto. Przybywszy na lewe skrzydło pułku, zostałem wyprawiony przez jenerała o 400 kroków na lewo ku pagórkowi, za którym się ustawiłem. Dalej, na lewo odemnie, stał 44-ty pułk, a przy nim pułk dragonów Napoleona.

Nie było widać przed nami nieprzyjaciela; na lewo grzmiały armaty i gęsty ogień karabinowy. Na prawo grzechotały strzały tyralierskie. Wtem, nagle, na lewo od nas, ukazała się na wzgórzu linia nieprzyjacielskiej piechoty i zaczęła zstępować na dół. Wojsko było częścią w szyku bojowym, częścią w kolumnach. Hiszpańscy tyralierzy rozpoczęli ogień, a jenerał Chłopicki wydał rozkaz posunięcia się naprzód. Nagle ukazanie się masy wojska tam, gdzie dotąd widać było tylko pojedynczych żołnierzy — zrobiło na nieprzyjacielu wielkie wrażenie. Zawahał się — ale potem zaczął się znowu posuwać. W teje chwili rzucił się pułk dragonów, uderzając z boku na nieprzyjaciela, podczas gdy my zaatakowaliśmy go z frontu. Dragoni wpadli i rozsiekali znaczną liczbę Hiszpanów tak szybko, że z trudnością mogliśmy za nimi podążać. Mogliśmy tylko zabierać jeńców. Wprawdzie nieprzyjaciel jeszcze raz usiłował stawić opór, ale gdy nadbiegły nasze kolumny, zawrócił i cofnął się z pośpiechem ku Betera, gdzie po bitwie stanął kwaterą marszałek ze sztabem. Bitwa wydawała się skończona, kiedy część wojsk, wraz z rezerwą otrzymała rozkaz cofnięcia się. I ja także dostałem taki rozkaz i cofnąłem

49

się do St. Gilet, gdzie dwie neapolitańskie kompanie zajmowały ciągle kaplicę, a główne siły armii posuwały się gościńcem do Segorbe. Ponieważ byłem już przeszło 48 godzin zdala od pułku, a wyprawa do Gilet nie trwała nigdy dłużej niż 24 godzin, uważałem, że mam prawo powrócić do Almenary. Trzy inne kompanie, które dotąd były zawsze razem ze mną, poszły zająć Palencję nad morzem i powróciły dopiero po 10-iej wieczorem.

Zwycięstwo to rozstrzygnęło o losach miasta. Bitwa zrobiła zdumiewające wrażenie. Odniesione korzyści — 1,100 zabitych i rannych, 4,600 jeńców, pomiędzy nimo 250 oficerów, znaczna liczba sztandarów i 12 dział z amunicją — okupiliśmy małą stratą 100 poległych i 600 rannych, według urzędowego ogłoszenia.

Mam jednak pewne dane do przypuszczenia, że straciliśmy znacznie więcej, bo na naszym skrzydle i na drodze do San Espiritus leżało dużo trupów, a w szeregach wojsk, które mijałem, widać było mnóstwo rannych. Walka na naszym lewym skrzydle trwała dłużej, była bardziej zacięta i Hiszpanie bili się tu lepiej.

Wojsko stojące pod Almenarą zostało 26-go października cofnięte do Palencyi i tam zaczęło gotować strawę. Wiedziano, że rozpoczęły się układy — strzały ucichły — mówiono o parlamentowaniach — ale mieliśmy być ciągle w pogotowiu do wymarszu. Wieczorem rozeszła się pogłoska o kapitulacyi twierdzy, a o 2-giej w nocy wyruszyliśmy do Almenary i zajęliśmy dawny nasz obóz. Po południu i wieczorem nadciągnęły duże oddziały jeńców, których na nasze nieszczęście, kazano nam eskortować. Wyszliśmy zaraz i nocowaliśmy w Nules. Rankiem ruszyliśmy w dalszą drogę, głównym szlakiem etapowym przez Villareal, Castellon de la Plana, Oropesa, Torreblanca, Alcala, Benicarlo, Vinaroz,

50

Uldeconę do Tortozy, a ztamtąd skierowano nas do Caspe. Pogoda była prześliczna, żywność dobra i pochod nie był uciążliwy. Ja byłem ciągle w przedniej straży i nie miałem nic do czynienia z jeńcami. Prócz tego większą część drogi odbywaliśmy po doskonałej szosie, a gerylasowie byli tak spłoszeni po ostatnich bitwach, że wcale się nie pokazywali. W Aragonii, gdzie weszliśmy w góry, drogi i żywność były gorsze, a niechęć mieszkańców względem Walencyanów bardzo wyraźna, ale mimo to nasi więźniowie — których większą część stanowiła załoga z Murviedro — nie mogli się na nic uskarżać. W Caspe odebrano nam jeńców i wróciliśmy spiesźnie do Murviedro, gdzie zakwaterowaliśmy się w pustych domach, zrobiwszy w ciągu 23 dni około 60 mil.

Służba w Murviedro w pierwszych dniach była bardzo lekka. Trzymaliśmy tylko straż przy marszałku, zawsze jeden oficer i 40 ludzi w paradnych mundurach. Oficer był zawsze proszony do stołu. Kiedy przyszedłem pierwszy raz na wartę, marszałek przedstawił mnie żonie, mówiąc:

— *Monsieur Brandt, un de mes plus braves officiers des voltigeurs polonais.*

Ja zaś starałem się złożyć jak najwdzięczniejszy ukłon przed małego wzrostu damą, bardzo żywą, o fizyognomii hiszpańskiej. Brat jej, równie małego wzrostu, był adjutantem marszałka, którego tenże nie omieszkał wychłostać w swoich Pamiętnikach, — miał on jednak zaletę wielkiej skromności, cnotę rzadko spotykaną u adjutantów wyższych oficerów. Straż była umieszczona w

ogrodzie bardzo pięknym, w staro-francuskim stylu urządzonym. Najmilszą zabawą adjutantów po obiedzie — kiedy marszałek odbywał drzemkę — było bombardowanie się cytrynami i pomarańczami.

Jednego dnia, kiedy byłem na warcie, marszałek nie mógł spać i wyszedł się przejść. Przypadek

51

zdarzył, że wszedł on na linię operacji adjuantów i otrzymał w plecy potężne uderzenie cytryną. Marszałek cierpiący był jeszcze skutkiem rany, otrzymanej pod Sagunto i był w kuracji; silne uderzenie mogło mu zaszkodzić, ale powiedział tylko:

— *Choisissez donec une autre fois un autre point de mire.*

Biedny oficer, świeżo odkomenderowany do sztabu, był niesłychanie wzburzony tą przygodą. Był to wysokiego wzrostu człowiek, nie wyróżniającej się niczem powierzchowności, którego nazwiska nie sobie przypomnieć. Zajmował się poszuwaniami starożytności w mieście i okolicy, i jego staraniu zawdzięczamy numizmaty, których odbicie znajduje się w atlasie przy Pamiętnikach Sucheta.

Pewnego dnia przy kopiowaniu napisu, wyrytego na kamieniu, wmurowanym w jednym z domów, wydało mu się, że znam łacinę lepiej od niego, i od tej pory towarzyszyłem mu często w jego archeologicznych wyprawach. Zapewne ktoś marszałkowi powiedział, jak bardzo zmartwił się adjutant swoją niezręcznością w rzucaniu cytryn, i marszałek — co dowodzi dobroci jego serca — w ciągu popołudnia rozmawiał z nim uprzejmie, rozpytując się o postępy poszukiwań archeologicznych. Życie u marszałka było nadzwyczaj skromne, o śniadaniu nie było nawet mowy, i tylko przyboczni adjutanci brali w niem udział.

Pani marszałkowa ukazywała się prowadzona przez męża, przemawiała kilka słów do zaproszonych, a potem wszyscy zasiadali do stołu. Ile razy miałem sposobność ją widzieć, towarzyszyła jej zawsze żona pułkownika Mileta, Niemka, bardzo piękna blondynka, z którą pułkownik, będąc jeszcze kapitanem, ożenił się w Waldenburgu na Szląsku. Po skończeniu obiadu zdejmowano nakrycia i obrus, nakrywano stół grubą ceratą, kładziono noże i widelce

52

gorszego gatunku i zasiadała służba z głównej kwatery; wszyscy porządnie ubrani, zachowywali się cicho i zjadali obiad, składający się zawsze z dwóch dań. Wina do niego nie podawano. Rozmawiano mało, w kwadrans było już wszystko skończone i sprzątnięte. Można z tego osądzić, że w prowadzeniu domu marszałka panował ten sam porządek, co i w zarządzie jego korpusu.

Zewsząd dochodziły wieści tylko o drobnych, nieszczęśliwych utarczkach. Wprawdzie Pesaduro został ujęty i powieszony, i nasze wojska rozbiły kilka oddziałów, ale zdarzyło się wtedy po raz pierwszy, że cały batalion w szczerem polu został wzięty do niewoli. Nieprzyjaciel podchodził do samych bram Saragossy, tak, że tamtejsza załoga ciągle musiała stać pod bronią. Jednego razu, towarzysząc do Torres adjutantowi marszałka, rotmistrzowi Dessaix, który ztamtąd miał jechać do Teruelu, gdzie także panował niepokój — dowiedziałem się od niego szczegółów o naszym położeniu, wcale nie pocieszających.

Na patrolowaniu, rekonesansach i trzymania wart zeszedł listopad. W pierwszych dniach grudnia *bataillon d'elite* naszego pułku, otrzymał rozkaz pójścia do Segorbe i Viver dla zluzowania chwilowo stojących tam wojsk, które miały pójść do Teruelu. Nasi ludzie znali te okolice od 1810 roku. bo tędy szedł wówczas 3-ci korpus na nieszczęśliwą wyprawę do Walencji. Dla mnie jednak była ona nowością. Kto nie widział doliny Walencji, ten nie zdoła sobie wyobrazić jej piękności. Nie mogłem nacieszyć się widokiem tych cudów, bo trzeba było zwracać baczną uwagę na kilka *portidas*, które się tu zebrały i miały w górach silny punkt oparcia. Dopiero wracając, już bezpieczniejsi mogliśmy się wszystkiemu przypatrzeć. Podczas pochodu przez Segorbe do Palencyi, do przedniej straży, którą mi dodano, doszła wiadomość, że silny oddział powstańców chce nas zaskoczyć w drodze. Obie kompanie

53

woltyżerów zostały wysunięte na front i myśleliśmy, że przyjdzie do starcia, gdy nieprzyjaciel, idący brzegiem strumienia, wypływającego ze Sierra de Espadan znikł nam nagle. Oddział liczył około 600 ludzi. Nie mieliśmy z sobą jazdy i dlatego niepodobna było nam dogonić choćby jednego człowieka. Ponieważ dowódca naszej kolumny miał rozkaz utrzymania swobodnej komunikacji z Teruelem i samą dolinę osłaniać odnieprzyjacielskich napadów, uważał, że nie może ścigać uciekających. Poszliśmy więc dalej drogą do Segorbe, i zadziwiliśmy się mocno, zastawszy po godzinie marszu — nieprzyjacielskie piklety, stojące na nagim, skalistym pagórku, wznoszącym się wśród pięknej Huerty. Zaproponowałem, żeby przystanąć, wykonać udany odwrót i wciągnąć nieprzyjaciela w zasadzkę, do której miejscowość nadawała się doskonale — a co było jedynym sposobem zdobycia przewagi nad tą hołotą. Ale dowódca nie chciał o tem słuchać, mówiąc szorstko, że byłoby to coś nakształt ucieczki. Rzuciliśmy się więc prosto na gerylasów, którzy — jak łatwo było przewidzieć — uciekli po kilku strzałach i cofnęli się do Segorbe. Dopiero tam rozproszyli się pod silnym naszym ogniem, wśród labiryntu ogrodów i zabudowań.

Segorbe leży na wzgórzu, wznoszącym się wśród czarującej doliny, a nad niem z dwóch stron panują stare zameczyska. Bliskość nieprzyjaciela nie dozwoliła nam nacieszyć się prześlizcznym miastem. Ja zostałem wysłany do Pedalby, żeby ją bronić od napadów z Sierra de Espadan, gór, które groźnie na nas spoglądały. Pico de Espadan na 4,000 stóp wysoko wznoszą się nad miastem. Druga

kompania poszła do Sierra de la Cueva Santa, pasma ciągnącego się na południe od gościńca i tworzącego łańcuch pagórków lesistych. Nie wiem, czy te wyprawy były konieczne, ale to wiem, że nieprzyjaciel mógł z wszelką łatwością trzymać mnie

54

w niepokoju całą noc i bardzo utrudnić moje połączenie z miastem. Ale na szczęście, nie padł ani jeden strzał i mogłem stosownie do otrzymanych rozkazów, powrócić o świcie do batalionu. Zostaliśmy tam do 10-ej, gotowaliśmy jedzenie, a potem wyruszyliśmy w pochód do Torres.

Okolica na naszej drodze podobna była do jednego wielkiego ogrodu. W połowie drogi ujrzelśmy nagle pojedynczego jeźdźca, a za nim wnet ukazali się inni. Byli to włoscy dragoni, około 30, do których w drodze strzelano w górach i z po za krzaków. Otrzymali oni rozkaz pójścia do Segorbe i czuwania nad drogą, a że my ztamtąd szliśmy, powrócili z nami. Jak można było na taką wyprawę posyłać jazdę, nie mogłem zrozumieć, jak i wiele innych rzeczy, które wtedy widziałem. W całym prowadzeniu tej partyzanckiej wojny brak było energii i jasnego pojęcia o położeniu.

Ponieważ dragoni szli na czele naszej kolumny, mogłem teraz iść spokojnie i rozkoszować się pięknymi widokami, aż do Torres, gdzie stała załogą włoska piechota i jazda. Z zamku, zbudowanego na nagiej skale, spoglądały na nas działa, już zdaleka widoczne. Włosi przyjęli nas serdecznie i ugościli koleżeńską ucztą, podaną *a la belle étoile*, w ogrodzie zachwycającej piękności. Koledzy cieszyli się, że stoją w tak pięknej okolicy, ale patrolowanie i wycieczki bardzo im się nie podobały.

— Stoimy tu załogą niedaleko od głównej kwatery — mówili — ale jesteśmy naokoło otoczeni, jak w sieci. Kto by się odważył ukazać pojedynczo, zostałby zaszytyletowany, do patrolów padają strzały z zarośli i krzaków — nocami musimy stać pod bronią i t. p.

Nie mogliśmy im powiedzieć, że to jest po części ich własna wina, bo my w takich samych warunkach zaprowadziliśmy spokój w Aragonii i Nawarze. Tem mniej mogliśmy zrozumieć, że stali

55

o kilka tylko mil od Murviedro i mogli być pewni, że otrzymaliby każdej chwili pomoc, gdyby im się zdarzyło coś nadzwyczajnego.

Nazajutrz wyruszyliśmy do Murviedro, a kiedy przy najpiękniejszej pogodzie ukazało się przed nami morze, na lewo zielone pola z porzrzucaniami na równinie palmami, a z prawej strony piękne miasto, nasi ludzie powitali głośnym okrzykiem „hura!” tę krainę, która im była tak miła. Pozajmowaliśmy nasze dawniejsze stanowiska, które zastaliśmy w takim samym stanie. Jak się potem

dowiedziałem, raport naszego dowódcy nie bardzo uradował marszałka, czy dlatego, że nie dobrze zrozumiał on otrzymane polecenie zabezpieczenia komunikacji i nie wystąpił zaczepnie, czy też ukazanie się powstańców, których spotykaliśmy ciągle na drodze rozgniewało naczelnego wodza. Było to rzeczywiście coś osobliwego, że ci ludzie szkodzili więcej tem, że byli wszędzie, niż staczanymi z nami tu i owdzie potyczkami. Trzymali w swoich rękach Tudelę, Alagon, Calatayud, Darocę, Teruel, Almunię, Huescę, Caspe i t. d., blokowali Saragossę, przecięli dowóz do miasta — zrabowali nam wszystek materiał wojenny i najspokojniejszych nawet mieszkańców powstrzymywali od wypełniania włożonych na nich obowiązków. Wreszcie po długich zwłokach i rozlicznych opóźnieniach doprosił się marszałek posiłków, żeby część kraju już zdobytą móż zabezpieczyć od nieprzyjaciela i wzmocnić nowymi siłami działanie przedsięwzięte w celu zdobycia Walencji. Prawie cały grudzień byliśmy używani razem z innymi wyborowemi batalionami do ciągłych patroloowań i wycieczek, i jako rezerwa dla wojsk, które szły przez Guadalaviar, albo przez góry. Gościniec z Tortozy, tak od strony morza, jak i od strony gór, i droga z Murelli do San Mateo, i z Teruelu przez Segorbe do Sagunto, do czasu naszego wymarszu do Walencji, były ciągle zagrożone i komunikacje z Aragonią po przerywane.

56

Kiedy wojska nasze doszły do Guadalaviaru, główna kwatera marszałka została przeniesiona, ale my pozostaliśmy w Sagunto. Gdy tylko miałem wolną chwilę, udałem się na górę do zamku, który teraz wrzał życiem z powodu ciągłego zwożenia różnych zapasów i amunicji. Z bastionu nad morzem przedstawiał się widok tak piękny, jak rzadko można spotkać. Siadywałem tam całymi godzinami, czekając nadejścia nocy i zapomniałem o przeszłości i przyszłości, żyjąc obecną chwilą i ciesząc się cudownym krajobrazem. Prócz tego szukałem zawzięcie dawnych zabytków. Przepisywałem spotykane na kamieniach napisy, a moi koledzy nieraz dla żartu naprowadzali mnie na fałszywe tropy. W mieście był kanonik, który posiadał ciekawy zbiór starożytnych monet znalezionych w tej okolicy. Na nieszczęście, uciekł był do Walencji i — jak łatwo się domyśleć — zabrał z sobą swoje zbiory; domem jego zarządzał mnich, wydalony z klasztoru i przebrany w suknie świeckiego księdza. Był to człowiek nie bez wiadomości,

opowiadał o dawnych czasach, o tem, jak Rzymianie zdobywali miasto, do którego dawniej dochodziło morze, jak bohatersko bronili się mieszkańcy, jak Hannibal, według dawnych podań, założył obóz pod Almunją, jak zdobył miasto i t. d. Opowiadał też, że w starożytności miasto musiało mieć port, bo znajdują się w piasku statki, których budowa różni się zupełnie od wszystkich innych, i że zapewne musiały one należeć do Fenicyan. O maurytańskich fortyfikacjach w górach miał też niejaki, powierzchowne wyobrażenie, o czem przekonałem się podczas ich zwiedzania.

Nieprzyjemne zajście, jakie się zdarzyło w tym czasie w naszym pułku, wywołało bardzo wielkie zamieszanie w stosunkach koleżeńskich. Jak już wspomniałem, część naszego pułku stała przez pewien czas w Castellon de la Plana. W jednym z najpiękniejszych domów miasta, należącym do starej

57

margrabiny, mającej dwie córki, dostał kwaterę porucznik grenadyerów, piękny, młody człowiek, ale który pod względem wychowania pozostawiał dużo do życzenia. Czy rzeczywiście jedna z pań miała niego jakie uczucie, czy też tylko mu się zdawało — dość, że z pewną ostentacją okazywał, że jest zakochany, narażając się tem na żarty kolegów. Kilku z nich utwierdzało zakochanego grenadiera w mniemaniu, że według zebranych wiadomości, panna jest w nim śmiertelnie zakochana i że on za taką miłość powinien się wywdzięczyć. Namówili go w końcu, żeby napisał list i położył w takim miejscu, gdzie pani jego serca musi go znaleźć.

Jakoż tak się stało, i młodzi figlarze odkradłszy list, przygotowali odpowiedź, którą przesłali mu tąż samą drogą. Zakochany skorzystał z pierwszej sposobności, żeby wyznać pannie swoje płomienne uczucia, przyczem powołał się na otrzymany od niej list. Panna słuchała spokojnie, ale gdy wspomniał o liście, odeszła zdziwiona i tak sama *senora* jak obie *senoritas* od tej pory pozostały niewidzialne dla zakochanego młodzieńca, który dopiero wtedy domyślił się wszystkiego i w bardzo gwałtowny sposób zażądał zadośćuczynienia od autorów figla. Wyzwał głównego przywódcę i właśnie pojedynek miał się odbyć, kiedy niespodziewanie przyszedł rozkaz natychmiastowego powrotu do pułku. Tam dowiedziano się wkrótce o całej sprawie i oficerowie zajęli się tem, żeby nie dopuścić do pojedyńku. Znany był wszystkim stanowczy charakter młodego porucznika grenadyerów i jego gniew doprowadzony do wściekłości. Bliskość marszałka i generała Chłopickiego — wszystko wywoływało obawę tragicznego zakończenia pojedyńku.

Porucznicy batalionu naradzili się i postanowiono wdać się w tę sprawę. Ale że skrzywdzony głuchy był na wszystkie przedstawienia i nie chciał



sposobem patrzyli, jak zawsze, tylko wprost przed siebie, i stracili zupełnie głowę zobaczywszy, że są atakowani z obu stron i żeśmy obeszlili ich lewe skrzydło. Marszałek znał generała Blake i wiedział, co sobie można z nim pozwolić.

Dzień 27-y zszedł nam na przemarszach w różne strony. Nasi wołyżerowie zostali na początek wysłani do Burjasot, dokąd wieczorem przeniosła się główna kwatera, a potem do Paterny, gdzie stanęliśmy na biwak. Nasza dywizja biwakowała na przedmieściu Serranos, które w części zajęła. Główne siły stały pod Oriols, rozstawiając forpocztę. Nie było to nakazane, ale żołnierze mieli uczucie jakiegoś niepokoju i zabezpieczali się, stawiając strażę i oszańcowując pojedyncze punkty, na wypadek napaści. Tak przynajmniej było na froncie dywizji Musniera. Długie doświadczenie i gorzkie nauki,

62

jakie otrzymały pojedyncze oddziały wojska, rozwinęły znakomicie żołnierzy. Przyjemnie było patrzeć, jak umiejętnie i pilnie zabierali się do roboty. Ogień naszych biwaków świadczył jednak wyraźnie, że łańcuch opasujący Walencję nie jest silny, a na lewym brzegu Guadalaviaru nawet słaby. Blake także tego nie przeoczył i w nocy 28-go usiłował się przebić i ujść w góry. Wysunął się mianowicie z przyczółka mostu San Jose i rzucił się na pierwszy pułk polski, który ten punkt zajmował. Nastąpiła żwawa utarczka, Hiszpanie posuwali się prędko i odważnie i doszli już do połowy wsi, zkąd część ich rzuciła się na lewo, chcąc się dostać w góry. Ale rześisty ogień, jaki ich powitał z ufortyfikowanych domków, Spłoszył główną kolumnę, a czoło jej zamiast posuwać się odważnie za przednią strażą, zawróciło i na tem skończyła się cała wyprawa. Tylko przedniej straży udało się wymknąć. Skierowała się w stronę Paterny i pomiędzy tem miasteczkiem a Beninamet, poprzez kanały uciekła w pole. Obie kompanie, stojące w Paternie, na pierwszy odgłos strażów stanęły pod bronią i ja sam obsadziłem płynącą przed nami rzekę Acequia. Ale zdaje się, że nie zrobiono tego samego w Beninamet, co pozwoliło nieprzyjacielowi przepłynąć się przez tę rzekę w pobliżu miasta i ujść szczęśliwie.

Marszałek był tym wypadkiem rozjątrzony do najwyższego stopnia, wydał surowy rozkaz dzienny i nakazał adjutantom ścisłe zrekognoskowanie całej okolicy.

W pierwszych dniach obszarcenia Walencji zostaliśmy zlurowani przez wojska z obozu i dwa dni przepędziliśmy w Serranos, a jeden dzień w Paternie. Później, kiedy już rozpoczęło się oblężenie, staliśmy w Paternie, mając polecone robienie ciągłych wypraw w góry. Ale kiedy już obszarzenie zostało dokonane, wojsko zaczęło się trochę opuszczać, sądząc, że jest bezpieczne, o czem wiadomość

63

miała dojść do marszałka, który zaczął wyprawiać adjutantów nocą do obozu. Zdarzyło się i nam, że nas odwiedził w nocy pierwszy adjutant marszałka, pułkownik Meyer. Powróciliśmy w nocy z bardzo męczącej wyprawy ku Lirii i w poczuciu bezpieczeństwa, pokładaliśmy się spokojnie spać. Lampa, która dotąd paliła się w mieszkaniu, zgasiła nagle, słyszymy otwierające się z hałasem drzwi, wołanie o światło i zapytanie:

— *Où est le commandant de poste?*

Ja, który spałem najbliżej drzwi, wychodzących na ogród, poznałem głos pułkownika i skorzystałem z chwili, żeby się wymknąć niepostrzeżenie przez uchylone drzwi, popędzić do straży, którą zastałem śpiącą, kazać jej wystąpić i wysłać kilka patrolów. Ogień został rozjaśniony, a na wieść, że mamy zostać zaskoczeni, wszyscy się roztrzeźwili. Nagle słyszymy tętent konia i wołanie pikiet:

— *Halte-là! Qui vive?*

Na to rozlega się odpowiedź:

— *France!*

— *Quel régiment?*

— *Le colonel l'aide de camp du maréchal!*

Wszyscy stali pod bronią: wysłane patrole odpowiedziały:

— *Avancez pour vous faire reconnaître!*

I pułkownik, który mnie znał i był mi osobiście życzliwy, powitał mnie po niemiecku, bo był Szwajcar rodem:

— Pana, panie Brandt, zawsze zastaje się na stanowisku. Pańskiego dowódcę zastałem tam chrapiącego razem z całym towarzystwem.

Nie przyznałem się, że i ja należałem do tego chrapiącego towarzystwa, zdałem tylko raport, że jako *officier du service* spełniłem rozporządzenie kapitana. Ponieważ w tej chwili kilka patrolów nadeszło, a inne zaraz wyszły, pułkownik bardzo zadowolony, że wszystko jest w porządku

64

i odjechał znacznie ułagodzony. Ale kapitanowi powiedział, że to kompromituje władze, jeżeli się wszystko zdaje na podwładnych i pozwala im prześcigać się w gorliwości. Kapitan, niejaki Zapalski, wprawdzie tylko *capitaine-quartier maitre* pułku, był zapisany na liście jako *capitaine des voltigeurs*, choć nigdy nie pełnił służby w kompanii. Ale że nosił kołnierz wołyżera, zdarzyło się, że wyższa władza zapytała, jakim sposobem to być może, że *capitaine d'une compagnie d'élite* nie stoi na jej czele. Został więc w końcu przykomenderowany do pułku, ale że skutkiem wieku i dobrego życia ociężał i nie był w stanie odbywać dalekich pochodów pieszo, wkrótce zachorował, trzymał się zwykle sztabu i tylko wtedy pojawiał się w obozie kompanii, kiedy miała stać dłużej na miejscu. A że pułk stał teraz w Peniscoli u podnóża Sierra de las Palmas i pod Walencją, więc kapitan ściągnął tam także, żeby być

przy większym oddziale i znalazł się na swoje nieszczęście przy kompanii w tej chwili, kiedy się zdarzył ten wypadek. Żeby się nadal zabezpieczyć, podał się nazajutrz za chorego. Potem znikł zupełnie i połączył się z nami dopiero w Bajonnie.

Dnia 31-go była już Walencja tak ścieśniona szaniami i posterunkami, że załoga nie mogła myśleć o żadnej wycieczce. Porobiliśmy przykopy z dwóch stron: od Monte Oliveto i od gościńca madryckiego, naprzeciwko przedmieścia Św. Wincentego i rozpoczęliśmy ogień działowy. Hiszpanie nie zauważyli widocznie naszych robót, bo były już daleko posunięte, kiedy po raz pierwszy zaczęli je ostrzeliwać z karabinów. Na nieszczęście, jedna kula, posłana pewnie na los szczęścia, zabiła pułkownika Henri z korpusu inżynierów, dowodzącego atakiem na przedmieściu św. Wincentego. Dowodził w Saragossie, Leridzie,

Mequinenzy, Tertozie, Col de Balaguer, w Tarragonie i Sagunto i zdobył sobie wielkie zaufanie żołnierzy. Waleczność jego była przysłowiowa. Francuzi mówili o nim:

65

— *La mort n'en veut pas!*

A nasi ludzie wierzyli, że jest zaczarowany. Nie było popularniejszego oficera, wszyscy go lubili i szanowali. Zwykle nosił na mundurze szary surdut, kapelusz pod pachą, chodził bez szpady, a często z metrową miarą w ręku. Był wszędzie, a najczęściej tam, gdzie było największe niebezpieczeństwo. Porucznik Wandorff z naszego pułku (obecnie właściciel dóbr w gubernii lubelskiej), który jako *major de tranchée* brał udział w ataku na Św. Wincentego i był przy śmierci pułkownika Henri, mówił mi, że zginął tak, jak Karol XII. Kazał ustawić i napełnić piaskiem kilka koszów i zapewne chcąc lepiej widzieć robotę, wszedł na bankietę i nagle spadł z niej niezwywy. Porucznik Wandorff, chcąc zatrzeć złe wrażenie, jakie mogła zrobić śmierć szanowanego oficera, kazał ciało nakryć płaszczem i odwieźć. Sądzę, że gdyby połowa oficerów inżynierii stojących pod twierdzą poległa, nie wywołałoby to tak ogólnego żalu. Jenerał Rogniat odziedziczył sławę i popularność po tym mężnym człowieku.

W nocy z 3-go na 4 stycznia zaczęliśmy ustawiać baterie na naszym brzegu. Rozeszły się po obozie niejasne wieści o nadszyciu silnej kolumny hiszpańskiej: mówiono, że w całej Aragonii wybuchnęło powstanie, że z Teruelu ciągną też znaczne siły, a Anglicy wylądowali w Peniscoli i idą ku Tortosie. W tych wszystkich pogłoskach było nieco prawdy. W Aragonii Francuzi musieli ograniczyć się do działań odpornych, przed Ampostą i Peniscolą kręciły się okręty hiszpańskie, a w górach wrzało. Wieści te niepokoiły nas i w połączeniu z obrzydliwą niepogodą utrudniały jeszcze i bez tego uciążliwą służbę.

Podczas kiedy na lewym brzegu ograniczono się tylko do czuwania, na prawym wrzała silna

66

kanonada armatnia i ogień karabinowy z obu stron, a szczególnie ze strony hiszpańskiej. Ale postradaliśmy niewielu ludzi, bo długa praktyka nauczyła nas, jak się chronić i zabezpieczać. 5-go stycznia Hiszpanie, przerażeni postępem naszych robot, opuścili duży, oszańcowany obóz na prawym brzegu Guadalaviaru, a w obozie 80 dział, w części tylko zagwożdżonych.

Wojska jenerałów Palombiniego i Severoliego, stojące naprzeciw, zajęły zaraz obóz i weszły na przedmieścia Św. Wincentego i Quarte, na odległość paruset kroków od ostatniego szanca oblężonych.

W nocy z 5-go na 6 rozpoczęło się bombardowanie z klasztoru Kapucynów niedaleko od nas. Bateria ta wyrzucała na miasto, do samego końca oblężenia, po 100 bomb w ciągu doby. Wojska dniem i nocą stały pod bronią, bo wszyscy byli przekonani, że Blake będzie usiłował za jakąkolwiek cenę przebić się przez nasze lewe skrzydło. Robione były nieustanne rekonesanse i wysyłane patrole, a od strony gór obawialiśmy się również napaści. Na przedmieściach Św. Wincentego i Quarte przedzieraliśmy się przez domy, jak w Saragossie, aż do rowów napełnionych wodą, które otaczały ze wszystkich stron miasto. Pogłoska, która się rozeszła wieczorem po obozie, że jenerał hiszpański rozpoczął układy, nie znalazła wiary, wszyscy wyobrażali sobie, że miasto trzeba będzie zdobywać tak, jak Saragossę.

Dnia 6-go obie kompanie wołyżerskie poszły do Paterny i nie powróciły już do obozu, ale musieliśmy mieć się ciągle na baczności, dniem i nocą przebiegaliśmy okolicę, żeby głównej kwaterze zapewnić spokój od tej strony. Życzenie moje, żeby się dostać do Livii, gdzie Le Sage umieścił najbardziej zajmującą część Gil Bias, de Santillana dało się spełnić.

W nocy z 6-go na 7 stycznia ogień trochę

67

osłabł. Od adjutantów marszałka, uwijających się wszędzie, dowiedziałem się, że rozpoczęło się zakładanie min i że minierzy usiłują przeprowadzić podkopy pod rowami pełnymi wody, otaczającymi miasto. Jednocześnie ustawiono kilka nowych baterij zaczęto silniej bombardować miasto. Późnym wieczorem przybył do mnie adjutant marszałka, kapitan Auvray i zwrócił swoją uwagę na liczne ognie w górach, których przedtem nie było widać. Przyniósł mi rozkaz oczyszczenia i zbadania ich zblizka. Wziąłem 130 najlepszych piechurów z obu kompanij i ruszyłem w góry między Ribaroja i Burgasot. Szliśmy zrazu drogą do Ribaroja, a potem zawróciłem na północ w góry. Deszcz padał i było bardzo ciemno. Ścieżka była wązka i kamienista. Ognie przed nami pozniakały. Nagle czoło naszego oddziału zaraportowało, że na dole w parowie pali się kilka niewielkich ognisk, ale ludzi przy nich nie widać. Poszedłem na front i wydałem rozporządzenie, żeby opasać ogień naokoło.

Wykonawszy to z wielką starannością, nie znaleźliśmy nikogo. Ogień był blizki wygaśnięcia, ale popiół świadczył o tem, że podsycono go długo.

W pierwszej chwili nie wiedziałem, co mam począć z tą bezowocną wyprawą. Byliśmy w pochodzie od czterech godzin i musiało już być około pierwszej w nocy. Zapytałem kilku wołyżerów, których dar orientowania się miałem sposobność poznać w wielu razach, w której stronie mogą być ognie widziane z Paterny, ale zdania moich doradców różniły się zupełnie. Jeden z nich, rodem ze stron górskich, owczarz z powołania, utrzymywał, że ognie które widzieliśmy z dołu, są odległe od nas jeszcze o drugie tyle marszu. Postanowiłem zawrócić i czekałem już tylko na powrót patrolu, idącego na krańcu lewego naszego skrzydła. Ale patrol nie powracał i zaczynałem się lękać, czy zabłądził, gdy wtem pojawił się, prowadząc

68

dwóch ludzi. Byli to pasterze, którzy zapewniali, że wszystkie ognie, widziane przez nas, są to ogniska rozpalone przez pasterzy; że gerylasowie są w górach blizko Lirii, ale że byli tu wczoraj i zabrali dużo owiec. Na zapytanie, dlaczego odeszli i zostawili ogień, odpowiedzieli, że z obawy przed wojskiem i rabusiami uciekli w góry, a zobaczywszy nas, chcieli dalej uciekać. Dowiedziałem się

także, że postawiali zupełne straże, a dzieci i kobiety poumieszczali w pojedynczych, rozrzuconych w różnych miejscach szałasach. Wiedząc sam dobrze, że choć nie mieliśmy nic wspólnego z włóczęgami i rabusiami, jednak nasi żołnierze gospodarowali w okolicy gorzej od rozbójników, że postępowali nieraz brutalnie i z wyuzdaniem, nie mogłem się dziwić tym wieśniakom, że uciekli. Byłbym ich z chęcią uwolnił, ale musiałem ich poprowadzić z sobą dla potwierdzenia zebranych przez patrol wiadomości. Znalazłem przecież sposób, ażeby zadowolnić obie strony, a mianowicie zabrałem jednego z pasterzy, który

mówił dobrze po hiszpańsku, a drugiego, którego narzecza walencyjskiego trudno było zrozumieć, odesłałem z wiadomością, że tamten zostanie uwolniony i powróci za kilka dni. Poczem zawróciłem z powrotem do Burgasot, do głównej kwatery.

Nie upłynęło jeszcze pół godziny; kiedy nas dogonił uwolniony pasterz. Pocziwy chłopiec przyniósł mi kilka garści surowych fig, jako dowód wdzięczności dla „pana komendanta”, jak mnie nazwał. Było już nadedniem, kiedy przybyliśmy na miejsce; wszyscy spali głęboko. Pikiety huzarskie na drodze spełniały niedbale służbę, wojska w miasteczku nie było pod bronią; 50 śmiałych ludzi byłoby mogło zdobyć główną kwaterę. Adjutantów zastałem wszystkich śpiących. Monsieur Auvray z trudnością przypomniał sobie o danem mi zleceniu, podziękował za tak dokładne jego wykonanie, ale nie

69

chciał z początku zgodzić się na to, ażeby uwolnić sprowadzonego przezemnie pasterza. Dopiero rozmówiwszy się z nim, przystał na to. Powróciłem do Paterny tą samą drogą przez Beninamet, gdzie zastałem taki sam brak karności i porządku, i odesłałem przedewszystkiem mojego więźnia pod opieką zaufanego sierżanta przez linię naszych forpoczty do samych gór. Sierżant nie mógł się naopowiadać, z jaką wdzięcznością przyjęli to ci ludzie i z jakim pośpiechem pognali w góry.

Pomimo, że działa grzmiąły ciągle, rozeszła się już wiadomość, że toczą się układy o poddanie i że w tym celu pojechał do miasta szef głównego sztabu, generał St. Cyr Nugues! Wczesnym rankiem d. 9-go zostaliśmy zlurowani w Paternie przez Włochów i powróciliśmy do naszej dywizji do Oriol, dokąd doszliśmy około 11-ej rano.

Dowiedziałem się tam o śmierci dzielnego kapitana Levistona, który padł przy odbieraniu klasztoru Urszulanek na przedmieściu Quarte. Od czasu obrony Teruelu zaprzyjaźniłem się z nim i mogę szczerze powiedzieć, że jego zgon zasmucił mnie głęboko. Od forpoczty hiszpańskich dowiedzieliśmy się, że miasto kapitulowało. Z początku ludzie nie chcieli wierzyć, aż nadeszło potwierdzenie urzędowe tej wiadomości niesłuchanej i niezrozumiałej dla wszystkich. Wojsku na lewym brzegu Guadalaviaru, które od czasu naszego przybycia nie zrobiło żadnych postępów, z wyjątkiem kilku wycieczek i osłaniania budowy baterii, wydawało się to równie niepojęte. Generał Robert, mianowany gubernatorem, a dowódca batalionu Bugeaud komendantem i obaj weszli do miasta tegoż samego dnia na czele 1,200 grenadyerów i wołtyżerów, zajęli twierdzę, bramy i magazyny. Bugeaud odbył już dawniej kilka kampanij w Niemczech i raniony był pod Eylau, a od czasu oblężenia Saragossy uczestniczył w kilku wyprawach i był parę razy zaszczytnie

70

cytowany w rozkazach dziennych. Po wzięciu Saguntu napisał długi wiersz, który krążył po obozie. Przypominam sobie, że w tej poezji cień Hannibala pojawił się przed marszałkiem i obiecywał mu zdobycie miasta. O wartości wiersza zdania były rozmaite, ale o poecie mówiono, że nie na próżno wziął lirę, aby opiewać czyny marszałka. A gdy się rozeszła wiadomość o mianowaniu go komendantem miasta, przypomniało się to ludziom i żartowano sobie, że cień Hannibala pojawił się marszałkowi po raz wtóry i rozkazał mu powierzyć komendaturę panu Bugeaud.

Korzyści kapitulacyi były świetne. Dostało się w ręce Francuzów około 18,000 jeńców, w tem 800 oficerów, 23-ch generałów i sam *capitan general* Blake; 20 sztandarów, 2,000 koni, 500 dział, kilka tysięcy centnarów prochu i znaczne zapasy. Kiedy się pomyśli, że wszystkie siły marszałka pod Walencyą wynosiły tylko 33,000 ludzi i 2,000 koni, z których znaczna część była rozrzucona na gościńcu do Alicante i Madrytu, że codzień wysyłane były silne oddziały w góry i w okolice bliższe i dalsze miasta, że reszta korpusu, podzielona na małe oddziały, rozsypana była na znacznej przestrzeni — trudno pojąć, że Blake nie zdołał przełamać gdziekolwiek naszej linii i że się nie wymknął choć z częścią swej armii.

Nie wdając się w szczegółowe sądy o armii hiszpańskiej, to jedno można stwierdzić, że ani armia Walencyi, ani jej wódz naczelny, Don Joaquim Blake, nie spełnili swego obowiązku. Cała ta kampania była jednym szeregiem klęsk: zdobycie Oropesy i Sagunto, przejście Guadalaviaru, obrona Walencyi — były dowodem złego dowództwa i nędznego ducha armii. Punkt ciężkości obrony Walencyi spoczywał po za miastem więcej, niż w obrębie murów. Okolice była jakby stworzona do podjazdowej wojny, w której Hiszpanie tak często okazywali

71

się mistrzami. Tu powinna była rozwinąć się walka, a częste wycieczki z miasta i odpieranie naszych ataków byłyby znużyły armię francuską. Pół tysiąca mnichów fanatycznych, 3,000—4,000 uzbrojonych wieśniaków przy pomocy licznej miejscowej ludności i wyćwiczonego w kraju wojska, ileżby mogło dokonać w podobnych warunkach i jakie następstwa sprowadzić! Trzeba było tylko mieć silną przebicia się na jednym lub drugim brzegu; ale na to potrzeba było prawdziwego wodza i bintych żołnierzy — nie generała Blake i jego armii.

## XXIX.

Charakterystyka marszałka Sucheta. — Rozkaz odprowadzenia generała Blake. — Pochód przez Peniscolo i Benicarlo do Uldecony. — Przygoda.

— Pułkownik Pépé. — Przybycie do Tortozy.

Dnia 10 stycznia otrzymałem rozkaz udania do Murviedro z kompanią, którą dowodziłem, i zameldowania się marszałkowi zaraz po przybyciu. Przyszliśmy dnia 11-go i udałem się natychmiast do kwatery marszałka, którego adjutant zawiadomił o mojem przybyciu. Zastałem marszałka samego, odwróconego plecami do kominka. Był błądy i miał minę cierpiącą; nie przypuszczałem, że widzę go ostatni raz w życiu. Marszałek był wysokiej postawy, wysoki, ujmującej powierzchowności, a wyraz twarzy świadczył o rozumie i zdrowiu. Żółtawa cera była dowodem cierpienia wątroby nieosobliwego zdrowia. Włosy miał bujne, czoło wysokie, wejrzenie miłe, szeroki podbródek, usta pełne, mówił raczej powoli niż prędko, przy stole często siedział w milczeniu czas dłuższy, co zauważyłem w czasie, kiedym bywał przy nim na straży. Wojsko lubiło go, bo dbał o nie. Żołnierz za rządów

72

Rewolucji, Cesarstwa i Restauracji pełnił wiernie obowiązki względem wszystkich i tylko w ostatnich czasach dowództwa w Hiszpanii można mu było zarzucić brak dobrej woli do wspólnego działania z marszałkiem Soult. Marszałkowi Suchetowi zawdzięczam krzyż Legii Honorowej; on wystarał się dla mnie o awans na pierwszego porucznika, ale nieszczęście chciało, że nominację tę otrzymałem dopiero w pochodzie do Rosyi, o czem w swoim czasie opowiem.

Kiedy raniony leżałem w Teruelu, marszałek odwiedził mnie i sam mi krzyż Legii doręczył.

Że pominął moje nazwisko w swoich Pamiętnikach zadziwiło mnie tem więcej, iż zawsze nazywał mnie jednym ze swoich najlepszych oficerów, a wymienia mnóstwo innych, takich, o których nigdy nie było wzmianki w rozkazach dziennych. W Pamiętnikach pomieszał on pułki polskie jedne z drugimi, tak samo, jak w planach dołączonych do dzieła, miejsca ich nie są dokładnie oznaczone. Marszałek nie mógł nigdy ściśle wiedzieć rozstawienia pułków polskich, wobec ciągłego ich rozpraszania i wysyłania w różne strony — i łatwo to zrozumieć.

Podczas mojej późniejszej bytności we Francji mówiłem o tem, jak również o pominięciu i pomieszeniu nazwisk, z pułkownikiem Dessaix, który wtedy dowodził pułkiem kirasyerów w Lunevilu, a w Hiszpanii był adjutantem przy marszałku.

— To wina redakcyi, złożonej z ludzi nie znających okoliczności kampanii hiszpańskiej — odpowiedział Dessaix — a którzy za wielką wagę przywiązywali do przypuszczeń i niesprawdzonych szczegółów. — *Que voulez-vous* — dodał — *j'ai conduit une colonne à l'assaut de la ville de Lerida, lui même ma félicité sur ma conduite dans cette affaire, et dans ses mémoires il ne dit pas mot de moi!*

Prawdziwą radością było za to dla mnie, że Chłopicki o mnie pamiętał. Wielekroć wspominał

73

wspólnym przyjaciółom i znajomym w sposób szacunkowy, a hrabia Potulicki, blizki jego znajomy, który w Prusach posiada duże majątki, za każdą bytnością w Poznaniu przywoził mi przyjacielskie pozdrowienia od mojego starego wodza. Gazeta *Czas*, wychodząca w Krakowie, w życiorysie generała umieściła jak najpochlebniejszą wzmiankę i o mnie.

Zaraz po mojem wejściu powiedział mi marszałek:

— Przeznaczyłem cię do eskortowania generała Blake: *vous lui rendrez les honneurs d'un général en chef, et vous le garderez comme un coquin*. Szef sztabu objaśni cię o jego orszaku i oficerach, którzy mają z nim jechać. Przygotuj się tak, ażebyś mógł wyruszyć jutro rano. Spełniałeś zawsze moje polecenia jak najlepiej, więc i z tej *mission un peu pénible* wywiązesz się pewnie z zupełnem mojem zadowoleniem. *Adieu, d revoir à Valence!*

Człowiek tworzy plany, a Bóg rozstrzyga! Nie zobaczyłem już nigdy Walencji: zanim rok upłynął, sam marszałek musiał ją opuścić, a państwo Napoleona runęło. Żołnierz z pod Loany i Dejo — marszałek i księżę Albufera, Suchet — umarł jako kawaler orderu Świętego Ducha i marszałek rządu Restauracji, a od trzydziestu blizko lat spoczywa już w zimnej mogile. Spokój jego popiołom! Cześć Jego pamięci!

Kiedym powracał do mojej kompanii, którą pozostawiłem w pobliżu kwatery marszałka, śnieg padał, co obudziło wielką radość żołnierzy, którzy witali go jako dawnego znajomego. Pomieściliśmy się w kilku domach stojących pustką, gdzie nam wydano tylko kilkudniowe racje żywności. Musiałem kilka razy chodzić do biura marszałka, zanim dostałem listę więźniów. Byli to: generał Blake, generał Zogas, generał O'Donnell, Marco del Ponte i ku adjutantów — jedenaście osób — między nimi

74

*Jefe de la legion estrangera* i kilku oficerów tejże legii, hrabia Dohna, *Jefe de batalion* Grollmann i *Teniente de Lützow*, który nie przybył. Wszystkich trzech poznałem później w zupełnie odmiennych okolicznościach. Z dwoma ostatnimi byłem długi czas, jako kapitan i major, w stosunkach służbowych.

Jenerał von Lützow opowiadał mi w Berlinie, że w czasie pochodu do Alicante żołnierze legii cudzoziemskiej uplanowali ucieczkę, ale czujność oficera polskiego przeszkodziła spełnieniu zamiaru. — Jenerał v. Grollmann przypuszczał, że to ja byłem tym oficerem, ale dowiedział się potem, że to był kto inny.

Wyjazd miał nastąpić nazajutrz, zgłosiłem się zatem po rozkazy do jenerała Blake. Nazaczył godzinę 10-tą rano.

Konwój składał się z karety jenerała starożytnego kształtu, z dwukołowego wózka, na którym jechały jego osobiste bagaże i z dwukołowego wehikułu ze skórzaną budą, w którym adjutanci jenerała siedzieli bokiem, jak w dzisiejszych omnibusach; prócz tego było jeszcze kilka podobnych ekwipaży dla reszty oficerów i służby.

Wszystkie powozy były zaprzężone w tęgie muły i bez przeszkód dojechaliśmy do Castellon de la Plana, gdzie przyjęli jenerała komendant i oficerowie załogi pytając o rozkazy. Jenerał Blake został umieszczony u starej margrabiny, gdzie przedtem mieszkał marszałek Suchet. Trzydziestu ludzi stało na straży: każdy jenerał miał także karekę. Adjutanci stali razem z jenerałem. Kiedy zameldowałem się jenerałowi i zapytałem o rozkazy, zaprosił mnie raz na zawsze na obiad. Do komendanta załogi, naturalnie, należała piecza o bezpieczeństwo w okolicy, bo choć nie było obawy, żeby jenerał Blake zamyślał o ucieczce, mogliśmy się lękać zaskoczenia przez nieprzyjaciela, przyczem bagaże jenerała mogły zostać zrabowane lub zginąć.

75

Jenerał Blake, któremu przyjrzałem się dokładnie podczas obiadu, był wysokiego wzrostu, miał około szśćdziesięciu lat, fizyognomię rozumną, przypominającą trochę Fryderyka Wielkiego. Miał na sobie skromny, niebieski mundur bez żadnych oznak, a na szyi jeden tylko order, zdaje się, że Calatrava. Przy stole był milczący i rzadko mieszał się do rozmowy, niebardzo zresztą ożywionej. Był równie umiarkowany w jedzeniu, jak w picciu. Jedzenie było bardzo skromne, a wina tak mało, że choć gadało do stołu jedenaście do czternastu osób, do których trzeba doliczyć czasem i mieszkańców miast, będących na naszej drodze, podawano nam zaledwie dwie do trzech butelek. Wieczerec jenerał jadał sam, a składała się ona, jak mi mówiono, przeważnie z owoców z dodatkiem niekiedy jaj i wina. Jenerał przebywał często sam i pisał bardzo dużo; adjutanci też rzadko wychodzili z domu i smutną rolę odgrywały te pstre obrazki.

Podróż z początku szła dobrze: nie traciliśmy na chwilę z oczu powozów, idąc równo z nimi, a ja z przednią strażą szedłem zawsze wysunięty naprzód o dobry kawałek drogi. W Castellon de la Plana cała ludność wyległa na nasze spotkanie; zaledwie przekroczyliśmy bramę miasta, tłum ludu odciął nas od powozu jenerała i z trudem musieliśmy torować sobie drogę do naszej kwatery. Dojście do niej zajęte było przez Włochów i Francuzów, stojących na warcie, a ja z moimi ludźmi poszedłem do dawniej

znajomego mi klasztoru. Zaledwie ich umieściłem, przysłał po mnie generał Blake i powiedział, że życzy sobie przepędzić tu dzień następny. Wyznaję, że mi to nie było wcale dogodnie, ale że nie sprzeciwiałem się otrzymanym rozkazom, ażeby generałowi oddawać honory jak naczelnemu wodzowi, a pilnować go jak łotra, więc zgodziłem się na jego żądanie.

Nazajutrz generał poszedł na mszę, przyczem

76

otoczył go tłum ludzi niższego stanu. Nie mogąc mieć na oku dostojnego więźnia, postawiłem oficera z mojej kompanii, Krąkowskiego, przy jednych drzwiach kościoła na straży, a sam stanąłem przy drugich. Po skończonym nabożeństwie ukazał się generał, wciąż otoczony tłumem i nie zatrzymując się, powrócił do swego mieszkania, z którego już więcej nie wyszedł. Przy stole całe towarzystwo odzywało się tylko półsłówkami, a potem dowiedziałem się, że w kościele na wszystkie strony odzywały się wyrazy: „zdrajca” i „zdrada”, co generała niezmiernie dotknęło.

Nazajutrz 15-go stycznia wyruszyliśmy bardzo rano, nie zatrzymując się nigdzie. Kiedy przybyliśmy do Oropesy, komendant tamtejszy, Kroczyński, kapitan z mojego pułku, kazał dać przepisana regulaminem dla naczelnego wodza liczbę strażów armatnich. Po pierwszym wezwał mnie generał Blake i prosił, żeby zaniechać strzelania. Komendant, mając zamiar przedstawić się generałowi, stał niedaleko, ale kiedy mu powtórzył życzenie hiszpańskiego dowódcy, pocziwy kapitan, który lubił czasem zaglądać do kieliszka i właśnie dziś tego nie omieszkiał uczynić — odpowiedział mi krótko:

— Co mi tu ten Hiszpan ma do rozkazywania, kiedy ja otrzymałem od samego marszałka rozkaz, żeby strzelać.

I nie pozwolił przerwać, dopóki nie padła ostatnia salwa.

Generał po krótkim odpoczynku wyruszył do Torreblanca, gdzie przepędziliśmy noc. Nie przyjął tam wizyty komendanta, ani jego raportu, tylko kazał wpuścić deputację radców miejskich, z którą długo rozmawiał. Nazajutrz poszedł bardzo rano na mszę i zaraz potem wyjechał do Benicarlo. Na drodze kazał przystanąć w jednym miejscu i rozglądał się po okolicy. Peniscola zawieszona na skale wysokiej, na trzysta stóp, była niedaleko, bo gościniec

77

z Torreblanca do Benicarlo przybliżyła się do niej w tem miejscu. Kiedyśmy tam przybyli, zastaliśmy cztery kompanie ustawione na drodze, z których dwie z naszego pułku pod dowództwem porucznika Dobrzyckiego, a należące do wojsk biorących tę górską twierdzę.

W Benicarlo mieliśmy doskonały nocleg. Piękne, miłe miasteczko, w okolicy nawodnionej licznymi kanałami, otoczone wielkimi winnicami, tem miłsze na nas zrobiło wrażenie, że przyroda była przepyszna. Wieczorem generał zagadnął mnie przy stole, do jakiego pułku należy to wojsko? Gdy go objaśnił, zapytał, czy dużo Polaków w Hiszpanii? Na moją odpowiedź, że siedem pułków piechoty, dwa pułki ułanów i jedna bateria artylerji, zrobił uwagę, że przyszli poto, żeby prowadzić wojnę z Hiszpanami.

Jeden z oficerów opowiadał o wyprawie księcia Vendôme, zwycięzcy z pod Villaviciosa, który umarł w Vinaros, o kilka mil ztąd, zjadłszy za dużo ryby. Blake, nie mówiąc nic, przysłuchiwał się opowiadaniu i powiedział tylko tyle:

— No! przynajmniej niewstrzeźliwość przyniosła mu tę korzyść, że umarł w pełni swojej wojennej sławy, w całym blasku zwycięstwa.

17-go przekroczyliśmy granicę Walencji, przez Cenię, gdzie tak długo stała linia naszych forpoczt podczas oblężenia Tortozy.

Wspomnienie wspaniałej Walencji towarzyszyło mi przez całe życie. Hiszpanie mają słuszość, mówiąc, że to raj — ale dopuszczają się niesprawiedliwości, dodając, że zamieszkują go szatani. Ludność tu nie jest gorsza od ludności innych prowincyj, tylko, że w jej żyłach płynie więcej krwi maurytańskiej, niż u Kastylianów i Aragończyków. Na Walencyanach sprawdza się hiszpańskie przysłowie: »krew gotuje się bez ognia”. Wszystko w nich płonie, wre namiętnością, są oni w ciągłym

78

podnieceniu — w wiecznym natężeniu — najmniejszy drobiazg budzi w nich uniesienie, popycha do użycia noża i mnóstwo ludzi w gruncie dobrych, zamienia w przestępców i wrogów rodzaju ludzkiego. Są to Arabowie, wyznający religję chrześcijańską, ze wszystkimi wadami i zaletami Arabów, tylko zamiast arabskiego spokoju wrą w nich nie dające się okiełznać namiętności. Walencya i jej mieszkańcy są bardzo spotwarzani w Hiszpanii — „Mięso jest tam zielskiem — zielsko wodą — mężczyźni kobietami — kobiety niczem” głosi hiszpańskie przysłowie, fałszywe od początku do końca.

Okolice Segorbe i Jerica, *huerta* Walencji, dolina Palencyi, San Mateo, Castellon de la Plana, należą bezsprzecznie do najpiękniejszych miejsc w Europie. Można też wątpić, czy jest gdziekolwiek kraj lepiej uprawiony. Cywilizacya tu odmienna. Fenicyanie, Kartagińczycy i Rzymianie gospodarzyli w tym błogosławionym kraju, który Maurowie doprowadzili do najwyższego stopnia żyzności. Do Hiszpanii powinni jeździć rolnicy dla obejrzenia systemu nawadniania; tego, co się widzi w Niemczech, nie można nawet porównać z Hiszpanią.

O Uldeconie, gdzie mieliśmy nocować, mówiono, że stale dopomaga nieprzyjacielowi. Miejscowość była jakby stworzona do tego. Mieścina, położona w okolicy bardzo lesistej, na granicy trzech prowincyj: Aragonii, Katalonii i Walencji, z dawniejszych czasów pozostawiła nam nie najlepsze wspomnienie. Z wielkiem zadziwieniem nie zastaliśmy tam żadnej załogi. Rozstawiłem moją kompanię i przedewszystkiem zrekonoskowałem okolicę domu, w którym stał generał. Miejscowość ta nie była łatwa do strzeżenia. Dom stał w ogrodzie, dochodzącym do najbliższego z lesistych pagórków. Naokoło domu rosły gęste drzewa. Prócz tego pokój generała miał drzwi wychodzące na balkon, a raczej galeryę, biegnącą wzdłuż ścian domu i zakończoną

79

schodami prowadzącymi do ogrodu, tak, że z pokoju generała można było wyjść prosto na balkon, a ztamtąd do ogrodu. Zrobiłem naradę z obu oficerami mojej kompanii, kazałem zrekonoskować całą okolicę i zbadawszy wszystko, ponaznaczałem miejsca, gdzie z nastaniem zmroku miały być porozmieszczane straże. Zaledwie zdążyłem pokończyć te przygotowania, kiedy służący generała zawiadomił mnie, jak codzień, że obiad podany.

Przedmiotem do rozmowy dostarczył nam zły stan dróg, które od czasu, gdyśmy zeszedli z szosy, dawały się jadącym mocno we znaki. O tem, że jesteśmy w pobliżu pola bitwy, na którym Hiszpanie podczas oblężenia Tortozy dali tak nieosobliwe dowody

mężstwa — nie było naturalnie wzmianki. Obiad i wieczór upłynął jak zwykle. Kiedy zaczęło się ściemniać, zabraliśmy się do wykonania zarządzeń. Jeden oficer z dwudziestu ludźmi zajął wzgórze panujące nad ogrodem — drugi został przy straży, reszta ludzi zgromadzona była w jednym domu w mieście. Ja sam obchodziłem wszystkie posterunki, czuwając nad ludźmi. O pierwszej po północy poszedłem do ogrodu, w którym stał dom zajęty przez generała, pomału wszedłem na balkon i ztamtąd wyrząłem na ciemne drzewa. Nagle usłyszałem, że otwierają się drzwi balkonowe i zobaczyłem, że generał Blake — zupełnie ubrany — wychodzi na balkon.

— Kto tu jest? — zapytał:

A ja odpowiedziałem:

— *El commendante de la guardia de S. E.*

Jenerał odpowiedział na tylko:

— *Entiendo! entiendo!*

I powrócił zaraz do pokoju. Zauważyłem, że ten nadzór zrobił na jenerale niemiłe wrażenie, ale pocieszyłem się tem, że taki miałem rozkaz. O świcie pościągałem strażę i posterunki i urządziłem wszystko tak, że nie pozostało żadnego śladu z przedsiębranych

80

środków ostrożności. Kiedym przyszedł do generała po rozkazy, powiedziano mi, że jest nie zdrów, i że jego pierwszy adjutant objaśni mnie o wszystkim. Od niego dowiedziałem się o godzinie wyjazdu, poczem ruszyliśmy w pochód.

Po kilku godzinach pochodu dostaliśmy się znowu na piękną i żyzną *Huerta de Tortosa*, gdzie nam rzeczy tyle przypominało nasz sześciomiesięczny tu pobyt. Spotykaliśmy oddziały załóg francuskich, wysyłane na zwiady i dla przeszkadzania gerylasom do gospodarowania w tych stronach. Moi wołyżerowie witali te okolice z radością, poznawali każdą grupę drzew, każdy dom — i miejsce, gdzie pogrzebali swych towarzyszków. Mnie zaś ścisnęło się serce na myśl, że prawie trzecia część mojej kompanii, z którą brałem udział w oblężeniu Tortozy, poległa od tej pory w Nawarze, w Aragonii i w ostatniej wyprawie do Walencji. Od czasu bitwy pod Tudelą do stycznia 1812 r. kompania była trzy razy kompletowana.

Sierżant Dembiński, rozsądny człowiek, z którym mówiłem o tem, powiedział mi przy tej sposobności:

— Wziąwszy na uwagę, że w naszej kompanii nie ma ani jednego człowieka, począwszy od oficerów, którzyby nie był raz albo kilka razy ranny, musimy z tego nabrać przekonania, że ci *carajos* (tak nasi żołnierze stale nazywali Hiszpanów), pomimo, że przed nami zmykają i dostają od nas dobre cięgi, muszą w końcu wziąć górę. Ale z tem wszystkim — dodał — lepsze tu życie żołnierza, niż u nas przy ciągłej pracy i pod jarzmem wójtów. Kiedy porównywał ten kraj z naszym krajem (był on, jeżeli się nie mylę z okolic Łabiszyna), muszę zadawać sobie pytanie, dlaczego dobry Bóg przeznaczył nam taki nędzny kraj za ojczyznę?...

Zbliżyliśmy się do Tortozy, kiedy zobaczyłem oficera sztabu neapolitańskiego, którego już raz

81

widziałem przelotnie w Castellon de la Plana w pobliżu generała Blake, przy którego powozie jechał teraz dość długo. Po jakimś czasie pozostał w tyle, zaczął na naszą kompanię i zapytał o dowódcę eskorty. Kiedym mu się przedstawił, wpadł na mnie, mówiąc:

— *Vous avez insulté un malheureux par votre offensante surveillance!*

— *Monsieur le colonel* — odpowiedziałem mu spokojnie — *je n'ai fait que remplir les ordres, que monsieur maréchal ma donnés en personne.*

— *Taisez vous, Monsieur, vous avez mai compris vos ordres, j'en ferai mon rapport à monsieur le maréchal* — poczem spiął konia ostrogą i powrócił do powozu generała Blake.

Jenerałowie O'Donoju i Renovales uciekli, pomimo danego słowa honoru. Villacampa uciekł podczas transportowania; tak samo Campoverde i wielu innych oficerów — czy więc można było po takich zdarzeniach brać za złe temu, kto stosował wszystkie środki ostrożności? Kilka strzałów danych w powietrze byłoby wystarczyło do rozposzechnienia wiadomości, że stoczono walkę o wolność generała *en Jefe*. Kiedy później dowiedziałem jaką rolę — w innych okolicznościach — odegrał pułkownik Pépé, przyszło mi na myśl — i nie bez podstawy — że pomiędzy nim a jenerałem Blake było jakieś porozumienie. Objasnić to może raport Sucheta, posłany Berthierowi 12 stycznia 1812 r. z Walencji: *Il est parti ce matin avec six de ses aides de camp, sous bonne escorte, accompagné par le colonel Napolitain Pépé etc.*

Dla mnie jednak, jaki dla moich oficerów, cała ta scena była zupełnie niezrozumiała. Nie wiedziałem kto był ten człowiek; widziałem go tylko raz, przelotnie, jak tylu innych ludzi w owych czasach. Nie pozostawało mi zatem nic, tylko

82

czekać przybycia do Tortozy. Komendant twierdzy, podpułkownik Miller z 44-go pułku, mój dawny znajomy, powitał generała na wałach, niedaleko od domu, w którym broniłem się z moją kompanią. Mieliśmy w Tortozie dniówkę, mogłem tedy załatwić tę sprawę. Umieściwszy kompanię wznaczonych koszarach — tych samych, w których podczas oblężenia patrzyłem na pierwszą rzuconą przez nas bombę — poszedłem do komendanta przedstawić mu całą sprawę. Dowiedziałem się, że oficer nazywa się pułkownik Pépé (później odegrał on szkaradną rolę w Neapolu) i że został przeznaczony przez marszałka Sucheta do nadzoru nad środkami ostrożności i wszystkimi szczegółami podróży generała Blake. Tłumaczyło to jego wmieszanie się, ale nie sposób, w jaki to uczynił. Wiadomość ta była dla mnie powodem niezadowolenia — marszałek, od którego otrzymałem rozkazy, nie wspominał mi o tem ani słowa — czułem się obrażony postępkami pułkownika Pépé. Chcąc tę rzecz doprowadzić do porządku, poszedłem sam do niego, ale kazał mi powiedzieć, że nie ma czasu ze mną mówić. A że i przez generała Blake nie zostałem wezwany na obiad, uważałem, że moja czynność jest już skończona. Napisałem do pułkownika Pépé, że jestem chory na febrę i że dowództwo eskorty zdaję na pomocnika, Krąkowskiego, o czem zawiadomiłem zaraz komendanta, prosząc go o przedłużenie mego biletu kwaterunkowego. Potem zdałem dowództwo mojemu przyjacielowi Krąkowskiemu i położyłem się do łóżka, rozmawiałem jeszcze z kolegą, kiedy wszedł komendant. Ucieszył się widocznie zastawszy mnie w łóżku i powiedział, że posądzał mnie o udawanie tylko choroby. Upewniłem go jednak, że wszystko ma swoje granice, zatem i ludzkie siły także; że od

kilku miesięcy nie rozbrajałem się wcale, że czułem się niedobrze, a *indigne conduite du colonel Pépé envers moi* prawdopodobnie przyspieszyła

83

wybuch choroby. Tym sposobem pozbyłem się jednocześnie generała Blake, pułkownika Pépé i przykrości. Nieraz później zastanawiałem się czy ten krok nie sprzeciwiał się moim obowiązkom, ale zawsze odpowiadałem sobie, że i teraz postąpiłbym tak samo.

Jak tylko generał Blake wyjechał z miasta, wstałem z łóżka i poszedłem zwiedzić miejsca, na których cierpieliśmy i walczyliśmy podczas oblężenia. Ale tyle się tu zmieniło od tego czasu, że z trudnością mogłem trafić. Dom, w którym zmarł mój poczciwy Rzempołuski, zajęli dawni mieszkańcy; groby zostały zrównane z ziemią, Rosły na nich wesoło bujne trawy i zboża, dając ludziom obfite zbiory. Taki krótki przeciąg czasu, a takie wielkie zmiany!

Nie mogłem także znaleźć miejsc, gdzie pochowano Balla i Solnickiego, bo mieszkańcy okoliczni powrócili do swoich siedzib i naturalnie zaczęli się odbudowywać nanowo.

Codzień prawie przechodziły transporty jeńców, a ja nigdy nie omieszkałem wyjść na ich spotkanie, żeby czuć nad ich prowadzeniem i nadzorem i żeby obejrzeć zbliżka naszych wrogów. Żołnierze byli małego wzrostu, krępi, śniadzi, z czarnymi paląciami oczyma, po większej części dobrze utrzymani. Nie można było z nimi rozmawiać, bo ich narzecze było zupełnie dla nas niezrozumiałe. Oddziały uzbrojonych wieśniaków, którzy byli w Walencji w chwili kapitulacji, a których marszałek tam pochwylił — robiły mniej korzystne wrażenie. Zatrzymując się na odpoczynek, zbierali się zaraz w gromady, grali w karty, słuchali gry na gitarze i na „dulzainie”, instrumencie podobnym do fletu, który wielu z nich miało z sobą — tańczyli, skakali, a z włoską eskortą byli zupełnie *d'accord*. Dziwne wrażenie robił widok 400— 500 mnichów, z których kilku marszałek kazał rozstrzelać za to, że podmawiali

84

do rozruchów już po kapitulacji, a resztę zabrał i odesłał do Francji. Eskorta ich składała się z kilku kompanij 2-go i 3-go pułku legii. Czarne, brunatne, białe i szare habity wysokich i po większej części pięknych zakonników, nadawały temu orszakowi malowniczy pozór. W Walencji uważano ich za męczenników — znoszono im najlepsze pożywienie; ludzie klękali prosząc o błogosławieństwo, matki podnosiły w górę dzieci. W Aragonii wszystko się zmieniło; ludność patrzyła na nich bez współczucia; rzadko kiedy jaka pobożna dusza wyszła na ich spotkanie. Cała pomoc ograniczała się do tego, że kobiety z ludu rozpały dla mnichów ogień w obozie i gotowały im jedzenie. We Francji budzili więcej ciekawości, niż pożałowania. Weselsze wrażenie robili studenci, którzy sformowani w batalion, obsługiwali baterie w mieście. Byli to po większej części piękni młodzieńcy, w liczbie 300 — 400 — ubrani przyzwoicie, wszyscy z wielkimi czerwonymi kokardami przy kapeluszach różnego kształtu. Był to wesoły ludek, lubiący karty i wino, tańczący wieczorami bolero i fandango przy dźwiękach gitary, na której wielu z nich dobrze grało.

Według własnych słów marszałka, do transportowania jeńców użyto 16 batalionów, z których większa część była w drodze około czterdziestu dni. Prosta komunikacja z Francją bywała przerywana przez 3 czasem 4 tygodnie i dopiero silniejsze kolumny wojska otwierały ją nanowo.

---

### XXX

Wiadomość o wojnie z Rosją. — Eskortowanie ostatniego transportu jeńców. — Przeprawa przez Pireneje.

Dnia 21-go stycznia przybyły do Tortozy dwie kompanie grenadyerów i jedna woltyżerska z naszego

85

pułku, a 22-go poszły dalej. Podpułkownik Bayer, który niemi dowodził — kiedy mu opowiedziałem zajście z pułkownikiem Pépé — poradził mi poczekać w Tortozie na powrót batalionu, bo nie można było przewidzieć, jak przyjmie to marszałek, chociaż przez chorobę, stwierdzoną zupełnie, zabezpieczyłem się od wszelkich doniesień „Kalabryjczyka”, jak Bayer nazywał pułkownika Pépé.

Powrót batalionu opóźniał się i miałem już zamiar pojechać na jego spotkanie do Saragossy, kiedy 8-go lutego wieczorem, spotkałem przypadkowo jednego z adjutantów generała Chłopickiego. Powiedział mi, że generał przyjechał i przywiózł mi wiadomość, iż opuszczamy Hiszpanię i idziemy do Polski, gdzie, jak mówią, przygotowuje się wojna z Rosją. 9-go przybył batalion naszego pułku, który stał dotąd pod Peniscołą, wkrótce po nim reszta 1-go, 1 10-go byliśmy już gotowi do powrotu, do ojczyzny, rozumie się, prowadząc z sobą duży oddział jeńców, w którym było stu ludzi powiązanych, jako oskarżonych o mordowanie Francuzów podczas dawniejszego powstania w Walencji. Zdawało się, że ci nieszczęśliwi budzą najwięcej współczucia, gdyż zarówno ludzie pojedynczy, jak i całe gminy starały się ulżyć o ile możliwości ich losowi.

Co do naszego wymarszu z rajskiej Walencji, zdania były bardzo różne. Starsi oficerowie, którzy już brali udział w wojnie z Rosyanami, dowodzili, że dopiero teraz poznamy co to jest bić się na otwartym polu; że te czasy przeżyte w Hiszpanii, były wprawdzie utrudzające i krwawe, ale że nauczyliśmy się tylko zdobywania fortec i że te — tak zwane — bitwy pod Tudelą, Santa-Fe, Belchite, Walencyą i t. d., były tylko utarczkami na niewielką skalę. Eylau, Friedland, Austerlitz — mówili oni — to były bitwy, w których trzeba brać udział, żeby mózdz powiedzieć, że się dokonało wielkiego dzieła. My zaś — młodzi — odpowiadaliśmy, że w końcu

86

i tam także można było zostać tylko zastrzelonym lub zranionym i że naturalnie wielka to różnica biwakować pod drzewami figowymi i laurowymi, palić ogień z oliwnego drzewa i gotować z mięsem najpiękniejsze w świecie jarzyny, a co innego brnąć po błotnistych drogach podczas burzy, deszczu, wiatru i śniegu, przy mrozie 15—20-stopniowym i wśród rozlicznych trudności zdobywać najkonieczniejsze pożywienie. Generał Chłopicki był tego samego zdania, co starsi oficerowie i dał się słyszeć, że „teraz dopiero żołnierze nauczą się korzystać ze sposobności”. Generał pod Oczakowem walczył w polskich wojskach posiłkowych

razem z Rosyanami przeciwko Turkom — potem odbył całą kampanię na Ukrainie przeciwko Rosji — następnie odnowił z Rosyanami znajomość pod Trebią, więc był w tym razie kompetentnym sędzią. Przytem, punkt wyjścia Napoleona co do tej wojny uważał za niestosowny.

— Pocziwy Napoleon — powiedział Chłopicki — zapala świecę z obu końców i poparzy sobie przy tem palce.

Tak samo między podoficerami i żołnierzami, z którymi i wtedy i później rozmawiałem, były bardzo różne zapatrywania na tę sprawę. Jeżeli już trzeba się bić — mówili — to lepiej pod Walencyą niż w Rosji — a ci, co byli świadkami klęsk pod Pułtuskim i Ostrołęką, opowiadali okropne rzeczy. Młody jeden sierżant, Piotrowski, którego ojciec miał małą osadę pod Ostrołęką, mówił nam, że będąc w służbie w tamtejszym klasztorze, przypatrywał się bitwie: jak stał tam później kwaterą marszałek Lannes; jak on — sierżant — widział tysiące rannych ginących z brudu, nędzy, wilgoci, zimna i głodu, i że to, cośmy widzieli w szpitalu w Alagonie i przy zdobyciu uniwersytetu, było dziecinną zabawką w porównaniu z tem, co tam się działo. Odmalował to wszystko jaskrawymi barwami i dodał na zakończenie, że lepiej prowadzić wojnę w Walencyi, niż w Polsce.

87

Idąc przez Jertę i Baleę, doszliśmy 12-go do Caspe, gdzie, przeszliśmy Guadalupę i mieliśmy dniówkę; 14-go przeprawiliśmy się przez Ebro i skierowaliśmy do Bujaraloz. Ożywione, piękne Caspe i brudne Bujaraloz, z pięknem słońcem jeziorem i kopalnią soli, powitaliśmy jak dobrych znajomych. Nie znaleźmy tu nikogo, nie lubiliśmy nikogo — a jednak z żalem rozstawaliśmy się z tem wszystkim, cośmy widywali w naszych wędrowkach. Przez Pinę doszliśmy 16-go Saragossy, gdzie przepędziliśmy cały dzień

17-go lutego. Niewielu już było żołnierzy z tych, którzy odbyli pierwsze oblężenie, i nawet szeregi tych, którzy byli przy drugim — były mocno przerzedzone. Codzienne, małe, prawie niezauważone poyczki pozabierały ich, i bardzo małej liczbie znana była stara stolica Aragonii. Znaczna ilość tych, którzy byli ranni w czasie drugiego oblężenia, nie powróciła już do pułku. Posyłano ich w różne miejsca, zatrzymując chętnie, jako dobrych, posłusznych żołnierzy, i używano do obsadzania etapów i dopiero kiedyśmy się zebraли u podnóża Pirenejów, przybyła do nas masa ludzi, o których nie mieliśmy wiadomości oddawna. Od granic Nawarry nadciągnął także niewielki oddziałek, złożony z rekonwaoscentów i odkomendorowanych w różne strony żołnierzy, a który użyty został do obsadzenia Tudeli. Tym sposobem kompanie powróciły do Francji prawie w komplecie. Zawdzięczaliśmy to energicznym upominaniom się jenerała Chłopickiego. Wiedział on z doświadczenia, jak chętnie wszędzie zatrzymywano naszych dzielnych i ochoczych ludzi, żeby nimi zapełniać tu i owdzie swoje braki.

18-go wyszliśmy z Saragossy. Na placu przed kościołem del Pilar zabrano różne oddziały jenców gotowe do wymarszu. Między naszymi więźniami był jeden młody ksiądz, który leżał chory w Tortosie i ztamtąd przyszedł z nami, a teraz został przewodnikiem jednej kolumny. Pochodził on z Manelu

88

w Walencyi, był w pułku kapelanem i znał dobrze dzieła swego sławnego współziomka, Cervantesa. Przytem śpiewał i grał dobrze, szczególnie celował w śpiewce kontrabandzistów. Ponieważ znało go wielu oficerów, używał względnej swobody w pochodzie, a potrafił skorzystać z tego tak dobrze, że znikł bez śladu w czasie ostatniego marszu do Jaca. Szczęściem, przeszło to niepostrzeżenie wśród wielkiej liczby jeńców, a zdaje mi się, że oprócz niego uciekła znaczna ich część. Nawet naszym żołnierzom — tak karnym i obowiązkowym — nie można było ufać pod tym względem. Pozwalali od czasu do czasu wymknąć się jakiemuś biedakowi, co przedtem uważaliby za rzecz surowo zabronioną.

Przez Zuere, Ayerbe i Anzonigo, znane nam dobrze z dawniejszych pochodów, doszliśmy 21-go do Jaca, stolicy Wyższej Aragonii, która zaraz po zdobyciu Saragossy została zajęta bez wystrzału przez pułkownika Fabre, szefa sztabu ówczesnego jenerała Sucheta — i stanowiła punkt osłaniający drogę do Francji. Leży ona na płaskowzgórzu, u stóp Pirenejów, na lewym brzegu pięknego Aragonu, i otoczona jest starym murem, przyozdobionym basztami. Cytadela, gdzie umieściliśmy znaczną część jeńców, leży na północnym krańcu miasta, z którem łączą ją dwa obronne mury. Front ten miał pięć bastyonów, dobrze zbudowanych, z kazamatami, koszarami i bogato zaopatrzonymi magazynami, a uzbrojonych 60 armatami. Z murów roztaczał się najcudowniejszy widok na Pena *colorada*, wznoszącą wysoko swoje śnieżne szczyty i na dobrze uprawną, zasilaną wodami Aragonu równinę, na lesiste San Juan de la Pena, a na zachód od miasta na olbrzymi Pena de Uruël. Byłbym chętnie zrobił wycieczkę do słynnego klasztoru San Juan de la Pena, gdzie są groby 22 królów Aragonii, a który jenerał Musnier zdobył w sierpniu 1809 r., ale odległość była za wielka i podróż połączona

89

z wielkimi trudami, a nadewszystko z niebezpieczeństwem wpadnięcia w ręce nieprzyjaciela, gdyby tam wyprawić bez silnej eskorty. Dawne benedyktyńskie opactwo było długi czas punktem, gdzie zbierali się powstańcy, a Renovales miał tam skład broni i magazyny, z których zaopatrywał hojnie wojowniczych górali, wyćwiczonych w robieniu bronią i często — blokując Jaca — przecinał nam wszelkie komunikacje z Prancyą. Ponieważ ztąd rozpoczął się podbój Aragonii i Nawarry, lud miał silną wiarę, że ztąd także zacznie się wypędzanie Francuzów z Aragonii — skutkiem czego Suchet postarał się zawładnąć starem opactwem. Nakazał on jednak szanować religijne uczucia ludności, przywiązanej do tego miejsca, i wypłacał hojne sumy na utrzymanie pozostałych w klasztorze zakonników na obsługę kościoła.

Nazajutrz ruszyliśmy do Lanfranc. Droga z początku nie była zła, ale stopniowo robiła się coraz cięższa i bardziej kamienista, a kiedyśmy przybyli do Castello, nędznej wioski, położonej u stóp zrujnowanego zamku, była już tak stroma, że wszyscy jadący wierzchem musieli posiadać, żeby uniknąć przypadku na drodze gładkiej jak klepisko, tarasami podnoszącej się w górę. Wszędzie, gdzie się spojrzalo — widać było śniegi i szumiące wodospady, wypływające z pod skał, a powyżej nad nimi zielone jeszcze łąki i ciemne lasy. Przy drugiej wiosce, Villa nueva, droga zwęziła się tak, że muły mogły iść tylko pojedynczo. Z jednej strony wysokie skały, z drugiej szumiący w dole Aragon, który toczył spienione fale środkiem wąskiej, skalistej doliny, przytem wiatr prosto w oczy, przynoszący od czasu do czasu tumany śniegu, wszystko to czyniło drogę jeszcze uciążliwszą. Dużo mulów, należących do wyższych oficerów hiszpańskich, runęło na dół — jeden oficer, który za mocno okręcił sobie cugle wokoło ręki, został pociągnięty w przepaść. Nasi jeńcy byli zgnębieni.

90

— Senor! — zagadnął mnie z rozpaczą jeden oficer z Kadyksu — czy u was wszędzie jest tak, jak tu?  
Przeraził się, kiedym mu powiedział, że co najmniej przez cztery miesiące widzimy śnieg i śniegiem okryte pola.  
— To już nam biedakom nie pozostaje nic — tylko umrzeć! — jęknął zrozpaczony.

Poza Lanfranc, ostatniem hiszpańskim miasteczkiem, rozszerzyła się dolina i miała mniej zimowy pozór. Nasi żołnierze powitali z radością dachy wysokie, kryte dachówką i łupkiem, których nie widzieliśmy oddawna. Następny etap szedł przez granicę francuską do Urdax, gdzie mieliśmy zdać naszych jeńców. Przez Casa de San Antonio doszliśmy do Caudols i minawszy romantycznie położony fort Spalun, zajęty przez żandarmów i *Chasseurs de Venasque*, dostaliśmy się do granicy francuskiej.

Droga była zła i męcząca, ale bez śniegu, tylko naokoło otaczały nas śnieżne góry, których wierzchołki tonęły w chmurach. Zaraz po przejściu granicy zatrzymaliśmy się na krótki wypoczynek. Żołnierze stali gromadkami, a wielu zwracało spojrzenia w stronę Hiszpanii — wszyscy mówili o towarzyszach, którzy tam polegli w oblężeniach, utarczkach i bitwach, wszyscy z nieufnością spoglądali w przyszłość oficerowie i żołnierze żegnali się z tym krajem, jak z dawym znajomym. Jedni uważali go za kolebkę swej sławy — inni za krańce rozczarowań i zawiedzionych nadziei. W mojej duszy krzyżowały się najsprzeczniesze uczucia. Cała przeszłość stanęła mi żywo przed oczyma. Dobre i miłe chwile, przeżyte w tym nieprzyjacielskim kraju, bóle, które mnie tam spotkały, męki, które sam sobie zgotowałem — wszystko — wszystko — przypomniało mi się w tej chwili. Pograżony w myślach, zobaczyłem nagle, że stoi koło mnie — ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma patrząc w stronę Hiszpanii — kapitan Razowski,

91

który we mnie od czasu Teruelu budził uczucie obawy. Zwrócił się teraz do mnie z zapytaniem:

— I cóż, panie poruczniku, myślałeś o Żarskim? Nieraz go sobie wspominam, ale jego godzina już wybiła. Zwycięzył. Kto wie, co nas czeka i gdzie nas zmiażdżą losy? Rosyanie są groźnym wrogiem.

Zanim zdążyłem mu odpowiedzieć, odwrócił się i zaczął wchodzić na wyższy punkt, żeby ztamtąd jeszcze raz spojrzeć na Hiszpanię.

— Cóż ci gadał ten stary czarnoksiężnik? — zapytał mnie porucznik Milewski, który stał przy swojej kampanii i tak jak ja patrzył na Hiszpanię.

— Przypomniał mi Żarskiego — odrzekłem:

— To stary złośliwiec — odparł Milewski — nigdy sobie, ani nikomu nie wróży nic dobrego. Tu udało mu się jeszcze wyjść cało, ale myślę, że w Rosyi djabli się z nim porachują. Gada nam ciągle o Suworowie, o Trebii, o Novi — i dowodzi, że dopiero teraz my młodzi dowiemy się, co to jest wojna.

Stary kapitan miał słuszość — większa część tych, którzy wtedy przeszli Pireneje — złożyła broń w Rosyi.

Kiedy tak wszyscy rozmawiali i jedli śniadanie, żeby się rozgrzać, zobaczyliśmy jakiegoś żołnierza, który w pewnym oddaleniu od nas wdrapał na sam wierzchołek wysokiej skały. Myśleliśmy, że to dla pożegnania Hiszpanii. Ale nagle zobaczyliśmy, że odwróciwszy się tyłem do Hiszpanii — proszę mi przebaczyć ten szczegół — spuścił *inexprimable* i zawołał donośnym głosem:

— Masz, przeklęty kraju, który pożarłeś tylu naszych...

Osobliwe to pożegnanie spotkało się z ogólną aprobatą; tylko jeden kapitan Smett, który nie lubił Napoleona, zauważył: „że żołnierz pomylił się w adresie i że nie Hiszpania zasługiwała na tę

92

przemowę, ale ten, kto ją postawił w konieczności bronięcia swojej skóry...”

Niechęć Smetta, który był zresztą dzielnym oficerem i później w r. 1820 r. został dowódcą batalionu w wojsku polskim, datowała jeszcze od czasu, gdy w drodze do Hiszpanii w r. 1807 Napoleon odbył w Bajonnie przegląd pułku przybyłego z Kassel. Owego dnia Napoleon powracał z odwiedzin u Bourbonów. Dlatego, wbrew zwyczajowi, przyjechał powozem, w paradnym dworskim stroju, w lekkich trzewikach, spodniach do kolan i jedwabnych pończochach, w dodatku w okropnym humorze. Z powodu jakiegoś ruchu źle wykonanego, powiedział na cały głos:

— Prefekt w Kassel miał słuszość, donosząc mi, że panowie oficerowie w tym pułku nie robili nic, tylko grali w karty, a żołnierze pili, ale ja doprowadzę ich wszystkich do porządku!...

Spojrząwszy na dowódcę batalionu Regulskiego, który źle siedział na koniu, odezwał się głośno i niechętnie:

— Siedzisz na koniu, jak stary Fryderyk!

Oficerowie kompanii zrobili złe wrażenie na cesarzu. Kapitan był mały, chudy człowieczek, pierwszy porucznik jeszcze chudszy a olbrzymiego wzrostu i nie pierwszej młodości, bo brał już udział w kampanii włoskiej; drugi porucznik tłusty i zanadto okrągły pomimo młodego wieku. Cesarz popatrzył na nich, a potem powiedział do pułkownika parę słów, których rzeczywiście nikt nie słyszał. Ale młodzi oficerowie, nie lubiący Smetta z powodu jego surowości, utrzymywali, że cesarz powiedział:

*Envoyez les lieutenants de cette compagnie au dépôt.*

A po chwili namysłu dodał:

— *Et le capitain aussi.*

Anegdotka ta krążyła w pułku i musiała dojść

93

do uszu kapitana, który od czasu tego przeglądu wyrażał się z wielką nienawiścią o cesarzu, co wywoływało żarciki ze strony młodych oficerów.

---

### XXXI.

Wejście do Francji. — Markietanka 2-go pułku legii Nadwiślańskiej. — Pau. — Dom Bernadotta. — Awantura porucznika Kupscia. — Nimerabeau. — Tours. — Rambouillet. — Przybycie do Paryża.

Kolumny z wesołym „hura” ruszyły w dalszy pochód do Urdax, dokąd przybyliśmy 23-go. Ponura miejscowość nie miała nic pociągającego. Nie podobała się i nam i jeńcom, a kochani Francuzi obdzierali nas ze skóry w dosłownym znaczeniu tego wyrazu.

— Jeżeli taka jest ta wysławiana Francya — mówili żołnierze — to niech ją dyabli porwą!...

Ciągle przemarsze wojsk i ich postoje zrobiły z całej ludności spekulantów; żołnierz był uważany za korzystny łup, na którym można dużo zarobić. Podejrzewali u każdego nieprzebrane skarby, a tymczasem tak oficerowie, jak żołnierze, z nielicznymi wyjątkami, wracali do kraju biedni i obdarcy. Wielu oficerów pościągало znaczne sumy z kraju i wydało je w Hiszpanii. Co mnie i wszystkich zadziwiło, to, że zastaliśmy tu wózek naszej markietanki w jaknajlepszym stanie. W Saragossie wydano rozkaz, żeby wszystkie powózki pojechały przez Tudelę i Pampelunę, zebrały się w Bajonnie w oznaczonym dniu, a ztamtąd skierowały się do Bordeaux po nowe rozkazy. Widziałem wprawdzie parę razy wśród drogi nasze markietanki i najznakomitszej z nich, pani Lewczakowej, wypowiedziałem moje zdanie w sposób żartobliwy:

— Kochana pani, niebezpieczną drogę wybrałaś,

94

bo czy wpadniesz w ręce generała Chłopickiego, czy nieprzyjaciół, zawsze źle na tem wyjdiesz.

— Panie poruczniku! — odrzekła mi poczciwa kobieta, która uratowała życie wielu żołnierzom i była przez nich bardzo szanowana — przejechałam już inną drogę. Opuszczą mnie nasi ludzie, to dopomogą Hiszpanie.

Kiedy w dolinie Lanfranc droga stała się niemożliwa do jazdy kołowej, wózek markietanki został rozebrany. Żołnierze tem się zajęli, jeńcy przenieśli pojedyncze części, zapasami objuczono muły i przed samem Urdax wózek złożono napowrót, a kowal w miasteczku udzielił na ostatku potrzebnej pomocy.

— I widzi pan, panie poruczniku, przyjechałam tu cała i zdrowa z mojami rzeczami — pochwaliła się dzielna kobieta — i to wszystko kosztowało mnie niewiele więcej, jak baryłkę prostej wódki, a nie zginął mi ani jeden bochenek chleba, ani ser, ani kawałek kiełbasy; uczciwi Hiszpanie oddali mi wszystko. Ale dałam im za to porządne śniadanie. Każdy z nich dostał po filiżance czekolady, którą przywiozłam z Walencji i po dobrym kawałku chleba. Trzeba było widzieć, jak się biedacy cieszyli! Zapewne i dwie pozostałe markietanki zrobiły to samo. Francuzi zadziwili się niemało, widząc, że wózki jadą razem z nami.

Niektóre z tych markietanek miały lichy towar, sprzedawały go drogo, nie odznaczały się naiwnością i były ogólnie nienawidzone. Inne sprzedawały tanio, miały zawsze dobry towar, były lubione przez oficerów i żołnierzy i robiły doskonałe interesy. Ale prawie wszystkie w chwili niebezpieczeństwa zachowywały się mężnie, szły z wojskiem wszędzie, pielęgnowały rannych, nie kryły się nawet przed ogniem, widywałem je nieraz, jak pod gradem kul nosiły ranionym wino i wodę. Ale mężowie ich byli najczęściej marnymi żołnierzami i pod różnemi

95

pozorami wykręcali się od służby. Byli to wszystko tędzy, ładni chłopcy, których widywało się zwykle tylko na paradach.

Po całodniowym wypoczynku wyruszyliśmy 25 do Oleronu. Tutaj oddaliśmy naszych jeńców w rękilku *gardes departementales*. Biedni ludziska, których prowadziliśmy, jednych od Walencji, drugich od Tortozy, a większą część od Saragossy, rozstawali się z nami z żalem. Pomiędzy oficerami hiszpańskimi a naszym i zawiązały się stosunki, które przybrały zupełnie cechę koleżeńskiej zażyłości: dzieliliśmy się z nim i posłaniem i jedzeniem i mogę śmiało powiedzieć, że Hiszpanie umieli to oceniać. Nawet pomiędzy żołnierzami panowały przyjacielskie stosunki. Wrodzona grzeczność Hiszpanów i ich takt dużo się do tego przyczyniły.

Żołnierzy lepiej znajomych nazywali zawsze po imieniu z dodatkiem „senor Antonio”, „senor Jose” i t. p. Niekiedy mówili: „senor Polaco” albo „senor Soldado”, czasami dawało się słyszeć przytem i „Amigo”, jednym słowem, był to dzień żaloszny, kiedy Hiszpanie żegnali się z nami. Na placu, na którym rozstawali się ze swymi dotychczasowymi towarzyszami, wzniesli na naszą cześć rozgłośny okrzyk „niech żyją”, co bardzo zdziwiło Francuzów.

W Pau dość licha trupa aktorów dawała przedstawienia, na które mimo to uczęszczało dużo publiczności, a szczególnie oficerów. Młoda, ale wcale nieładna aktorka, dobrze grywająca role subretek, zwróciła uwagę jednego z moich kolegów. Porucznik Kupść, bardzo dobrze wychowany, a przytem niezmiernie ujmującej powierzchowności, spodobał się także aktorce i wnet zawiązał się między nimi czuły stosunek. Ale *mademoiselle Adèle*, tak się wówczas nazywały wszystkie aktorki, była blizką przyjaciółką *bonne amie* syna bogatego wędliniarza, który zeszedł zakochanych i porwał się do kija,

96

żeby ukarać rywala. Porucznik zaś wyciągnął szpadę i mocno zranił w głowę swego przeciwnika.

D. 3-go marca byłem właśnie zajęty pakowaniem rzeczy, bo miałem jechać naprzód jako furyer, kiedy wpadł do mego pokoju Kupść i wzburzony do najwyższego stopnia opowiedział co mu się zdarzyło. Sprawa ta miała wyjść na jaw i mogliśmy być pewni, że pułkownik przeprowadzi ściśle badania. Ale spóźniony mój wyjazd stał się środkiem ratunku. Oddałem koledze *feuille de route, bordeaux pour vivres, fourages et moyens de transport* i poszedłem natychmiast do adjutanta-majora z wiadomością, że z powodu gwałtownej dyaryi nie mogę jechać, ale że wyprawilem w zastępstwie porucznika Kupścia, który już odjechał. Adjutant-major, gorliwy służbista, poszedł zaraz zawiadomić pułkownika, ale nie zastał go w domu. Nazajutrz rano zebraliśmy się wszyscy gotowi do wymarszu i, jak było do przewidzenia, przed bramą, gdzie byliśmy zebrani, stał nasz dowódca z kilku cywilnymi, z których jeden miał obwiązaną głowę. Zaledwie skończył się apel, uderzono *à l'ordre* i oficerowie zebrali się przy pułkowniku.

— Według raportu masz pan tutaj 27 oficerów — zaczął dowódca — czy są wszyscy na miejscu?

— Brak tylko jednego — odpowiedział pułkownik — który wczoraj popołudniu pojechał jako furyer do Garlina.

— Kiedy tak — zwrócił się dowódca do syna wędliniarza, który stał przy nim z obwiązaną głową — zobacz pan, czy poznasz między nimi tego, który cię zranił.

Wtedy chłopak bacznie i powoli przesunął wzrokiem po naszych szeregiach i odpowiedział złamanym głosem:

— Niema go tu!

— Jest 26 oficerów, jeden wyjechał wczoraj po południu, zatem nie może tu być omyłki. Przyjrzyj się jeszcze raz panom oficerom.

Młodzieniec powtórzył jeszcze raz z większym spokojem swoje:

— *Il n'y est pas.*

Na to zwrócił się dowódca brygady do pułkownika i powiedział:

— Powiesz pan panom oficerom, o co idzie, gdy się dowiedzą, uznają słuszność mego postąpienia. *Faites rentrer messieurs les officiers, et partez.*

Odezwała się zaraz komenda:

— Baczność! Na ramię broń!

I ruszyliśmy przy odgłosie muzyki i przy głodnych okrzykach mieszkańców.

— *Adieu, messieurs les polonais!*

W Garlinie pożegnaliśmy się z Baskami, tym szczątkiem starożytnego, dumnego i dobrego narodu. Oficerowie emeryci, którzy mieszkali w tej stronie kraju, a wychodzili wszędzie na nasze spotkanie i witali nas ze szczerą koleżeńską życzliwością, dając nam dużo dobrych rad, wychwalali tutejszych mieszkańców.

W miasteczku Moncrabeau, w początkach minionego stulecia (XVII) mieszkało mnóstwo oficerów - emerytów, którzy zbierali się parę razy w tygodniu dla omówienia wypadków minionego dnia. Mówiło się tam o rzeczach poważnych, bliskich i obojętnych.

I z czasem zrobiła się z tego pewnego rodzaju szkoła kłamstwa — *fabrique de haleries*, która zjednała sławę miasteczku Moncrabeau. Nazwano je stolicą powszechnego państwa kłamców, plotkarzy i gawędziarzy.

Członkom wydawano formalne dyplomy (*lettres patentes*), z prawem kłamania wszędzie (*de mentir en teut sans porter préjudice a l'autre qu'à la vérité*). Kto przyjechał do tego miasteczka, bywał wprowadzany do sali zebrań i musiał sięgnąć na „kamieniu prawdy” (*pierre dite de la vérité*), poczem otrzymywał dyplom na członka towarzystwa. Posyłano także

takie dyplomy osobom niższych stanów, wywołując tem niekiedy oburzenie, ale częściej śmiech.

Wyszliśmy do Bordeaux, dokąd przybyliśmy 11-go marca. Wszędzie przyjmowano nas bardzo przyjaźnie. Jedzenie w oberżach było doskonałe i tanie, wino wyborne — na kwaterach czystość wzorowa. Zwykle przed wyruszeniem podawano nam przekąskę i butelkę dobrego wina.

Ja w Bordeaux nie tak dobrze trafiłem, jak za pierwszą bytnością. Na kwaterze, urządzonej według przepisów, przyjęła mnie stara służąca i oddawszy mi pokój, już się więcej o mnie nie zatroszczyła. Nie miałem nic pilniejszego do roboty, jak wciągnąć na siebie najpiękniejszy mundur i pobiedz do teatru. Ucieszyła mnie tam wielce uwaga, jaką na mnie zwracano. Oficer z dwoma orderami był wtedy rzadkością, a tem bardziej tak młody. Ponieważ wziąłem bilet do łoży, a oficerowie załogi siedzieli na obnażonych miejscach w krzesłach, publiczność mogła mnie dokładnie oglądać. Od tej pory dużo się zmieniło i sądzę, że teraz oficer bez orderu jest równą rzadkością, jak w owych czasach z dwoma orderami.

*Alors on méritait les decorations, aujourd'hui ce sont des antes de grâces, qui nous les procurent* — powiedział Horacy Vernet, kiedy mu ktoś w Berlinie zwrócił uwagę, że otrzymał krzyż Legii pod Saragossą.

Po teatrze poszedłem do kawiarni, gdzie pełno było oficerów i urzędników wojskowych. Znaczna liczba pułków stojących w Hiszpanii, miała tu swoje *depôts*. Przy nich była ogromna liczba urzędników administracyjnych, którzy dobrze żyli, nie potrzebowali znosić trudów, a za to starali się, żeby naszej armii brakowało wszystkiego Nawet żelazna ręka Napoleona nie była w stanie poskromić tych ludzi, najgorszych, jacy byli w całym wojsku. Wszyscy o tem wiedzieli, ale nikt nie chciał, czy nie mógł przeszkadzać im w robocie.

Przeprawa przez Garonnę, która tu jest szeroka na milę i podobna do morskiej odnogi, odbyła się razem i w porządku. Ogromne promy i łodzie stały w pogotowiu, świeży wiatr wydymał żagle, a wrażenie nowości skracało czas przeprawy, która zdaniem wielu za prędko się skończyła. Przebyliśmy też żwawo pas ziemi, pomiędzy rzekami Garonną a Dordogue. Ale tu napotkaliśmy różne przeszkody i dużo czasu upłynęło, zanim mogliśmy przeprawić się i dojść do miejsca postoju.

W Montlieu doszła nas wiadomość zupełnie niespodziewana. Nasi wyżsi oficerowie od samego Pau znikli bez śladu i tylko kiedy niekiedy ukazywali nam dowódcy batalionów. Dopiero w tej mieścinie zastaliśmy zgromadzonych wszystkich pułkowników

i cały sztab. Pierwszą myślą, jaka mi przeleciała przez głowę na widok naszego dzielnego Kąsinowskiego, było przypuszczenie, że tu ostatecznie rozstrzygnie się sprawa mojego przyjaciela, Kupścia. Tem więcej wydawało się to prawdopodobne, że pułkownik miał bardzo poważną minę.

Zaraz po naszym przybyciu, zaledwie złożyliśmy broń, uderzono w bębny *à l'ordre* i pułkownik przemówił do nas:

— Panowie! Drogę ztąd do Paryża odbędziemy na podwodach, bez odpoczynku, dniem i nocą. Wszystko jest już przygotowane. Panowie kapitanowie zechcą zająć się tem, żeby wszystko odbyło się w porządku i spokojnie, a panowie dowódcy batalionów udzielą im odpowiednich wskazówek. Gdzie będziemy się mogli zatrzymać, żeby ludziom dać czas na posiłek, będzie ogłaszane za każdym razem.

Potem nastąpiły objaśnienia co do zapłaty za podwozy i żywność żołnierzy, a następnie pułkownik przyjmował nas wszystkich i każdemu dawał wskazówki co do czynności, której dotąd żaden z oficerów nie wykonywał w praktyce. Mieścina przepełniona była wozami i powozami, które ściągnięto

z całej okolicy. Przytem deszcz padał i było bardzo zimno. Zastaliśmy też rozporządzenia co do kwaterek — dużo kompanii musiało brnąć po niezgruntowanych bocznych drogach, do wsi sąsiednich. Wieczorem zebraliśmy się u dowódcy batalionu dla otrzymania ostatecznych instrukcyj To, co nam mówił podpułkownik Regulski — który miał szczególny dar jasnego i prędkiego dawania dyspozycji — wszystko było bardzo dobrze obmyślane, ale na nieszczęście prawie nic z tego nie zostało spełnione. Wyjazd był zanadto przyspieszony, przytem złe drogi opóźniły przybycie niektórych kompanij, a w dodatku popełniono ten błąd,

że podzielono wozy na wielkie oddziały. Pierwsze kompanie, które odjechały, wzięły więcej wozów niż było dla nich przeznaczono, a że w chwili wyjazdu jeszcze ciemno, nikt tego nie spostrzegł. Po przybyciu ostatnich kompanij zabrakło dla nich podwód. Ponieważ wojsko jadące na przodzie posuwało się ciągle, nie można było zaradzić temu nieporządkowi — dużo żołnierzy pozostało i dogonili nas dopiero na ostatnich etapach przed Wersalem. Była w tem wina i przewodników i żołnierzy. — Tamci chcieli umniejszyć sobie trud, żołnierze zaś zrozumieli, że wygodniej jechać na wozie w mniejszej liczbie. W nocy kontrola była niemożliwa, a że prawie ciągle deszcz padał, nieporządek ten trwał, a nawet powiększał się stopniowo od samego Montlieu aż do Wersalu. Kiedy przybyliśmy tam, brakowało nam 300—400 ludzi, którzy nadciągnęli dopiero w chwili naszego wymarszu do Paryża.

Przyjechaliśmy o naznaczonej porze do Angoulême i tam dowiedzieliśmy się, że druga dywizya jedzie w taki sam sposób na Perigueux i Limoges — a ta wiadomość dała nam dużo do myślenia.

W podróży naszej przejechaliśmy przez Chtelerault, z którym łączy się wspomnienie Polaków. Kiedy w lecie 1808 r. przechodził tędy 9-ty polski

101

pułk piechoty w drodze do Hiszpanii, przyjmowano go bardzo przyjaźnie. Dostojnicy miejscy wydali na cześć jego dowódcy, księcia Sułkowskiego. Wychodząc, Polacy chcieli się odwzajemnić i w miejscu spacerowem, leżącym w pobliżu miasta, na ich drodze, urządzili *bal champêtre*. Pułk wyszedł przed wieczorem, poskładał broń i rozpoczęły się tańce przy odgłosie bardzo licznej i dobrej orkiestry pułkowej i w czasie tańców roznoszono słodycze i chłodniki. Naturalnie nie brakowało tam nieproszonych gości i widzów, a wśród ciemności nocnych może się odbywały rzeczy, których surowa moralność nie mogłaby usprawiedliwić. W każdym jednak razie właściwe towarzystwo zachowywało się przyzwoicie. Pomimo to rozeszły się pogłoski, że w sąsiednim lasku odbywały się orgie, zakończone czemś w rodzaju *séduction des Sabines*.

Taki był rzeczywisty przebieg tego balu, który narobił w całej Francji dużo hałasu. Słyszałem opowiadanie o nim z własnych ust księcia Sułkowskiego, który był zanadto gentlemanem, żeby pozwolił na takie rozuzdanie w swojej obecności i żeby to zechciał ścierpieć.

W Tours tymczasowy dowódca pułku — bo nasz pułkownik pojechał już był do Wersalu — zużytkował czas postoju na złożenie tak zwanych *visites de corps* — to jest poszedł ze wszystkimi oficerami do arcybiskupa i do prefekta.

Te odwiedziny są osobliwym zwyczajem przyjętym we francuskiej armii. Biskup i prefekt mają prawo wymagać bytności oficerów *en tenue ordinaire*, to jest w zwyczajnych mundurach. Złożyliśmy im więc te obowiązkowe wizyty i zmogliśmy tak, że słabą mieliśmy nadzieję, czy nasze mundury wyschną do chwili wymarszu. Młodzi oficerowie zemścili się za tę nieprzyjemność, rozpuszczając bajeczkę, że nasz przywódca — człowiek bardzo wykształcony, ale trochę roztargniony — zapytał arcybiskupa, czy wolno

102

mu będzie złożyć swoje uszanowanie samej pani? Jak zwykle bywa, złośliwy żarcik doszedł do uszu dowódcy i tego łagodnego zresztą, człowieka wprawił we wściekłość; potrzeba było całej rosyjskiej kampanii, żeby ułagodzić jego niechęć przeciwko domniemanemu autorowi tego żartu. Nie znalazł nawet słowa współczucia dla jednego z nich, kiedy został ciężko raniony pod Tarutiną. Oburzałem się na, ten brak serca przed moim dobrym przyjacielem Żórawskim, młodzieńcem wychowanym u Pijarów w Warszawie, i bardzo wykształconym, a on odpowiedział mi łacińskim wierszem:

*Segnius irritant animum dimissa per aures  
Quam quae sunt oculis subjecta fidelibus.*

I przekonałem się później niejednokrotnie, że miał słuszność.

20-go marca przybyliśmy przez Epernon do Rambouillet.

Dostałem kwatery u zarządcy cesarskiej owczarni, człowieka rozsądnego i wykształconego. Ale opowiadał mi za dużo o swoich zwierzętach. Straciłem na tem część czasu, który pożyteczniej mogłem spędzić na zwiedzeniu słynnego zamku i ogrodów.

Ktoby mógł przewidzieć w 1812 roku, że w tych samych komnatach, które zwiedzałem olśniony wielkością Napoleona, schroni się wkrótce jego małżonka, uciekając przed wojskami sprzymierzonych, między którymi były także wojska jej własnego ojca — i że tu dowie się o złożeniu z tronu swego cesarskiego małżonka!

A w szesnastcie lat potem, w tych samych komnatach, taki sam los spotkał Burbonów.

Król Rzymski i książę Bordeaux — obaj w pokojach tego zamku i w alejach jego ogrodu spędzali wesołe chwile dziecięcej zabawy — obaj ztąd poszli na wygnanie. Później, śledząc koleje obu dynastji przypomniałem sobie moją przechadzkę w Rambouillet

103

i nie mogłem pozbyć się myśli, że niektóre miejscowości są fatalne dla królów i książąt.

W Wersalu, gdzie przyjechaliśmy 21-go marca, oprowadzał nas uprzejmy gospodarz i opowiadał epizody z Rewolucji; bylibyśmy chętnie zatrzymali dłużej w pełnem pamiętek mieście, gdyby nie obowiązki służbowe. Na następny dzień naznaczony był przez cesarza przegląd naszych wojsk — a w owym czasie była to uroczystość, która budziła żywe wzruszenie w sercach żołnierzy.

---

## Kampania 1812 r.

### XXXII

Przeгляд wojsk 22-go marca. — Pochód do Sedanu. — Depôt legii. — Jenerał Claparède obejmuje dowództwo. — Formowanie trzech batalionów. — Saarbrück. — Moguncya. — Frankfurt. — Hanau.

Pomimo, że pochód z Pau wykonaliśmy z wielkim pośpiechem i w niesprzyjających warunkach co do pogody, jednak że pułki nasze przedstawiły się zupełnie przyzwoicie podczas przeglądu, dokonanego przez pułkownika. Płaszcze — które już mocno

ucierpiałą na biwakach w Hiszpanii, a podczas ostatniego pochodu zniszczyły się do reszty — pozwijaliśmy na tornistrach, więc nie było ich widać. Uzbrojenie i umundurowanie było po za tem bez zarzutu. Wprawdzie podczas pochodu zginęło trochę pałaszów, bagnetów i stempli od karabinów; ale że w Wersalu była fabryka broni, a podówczas we Francji wyrabiano wszystko według jednego wzoru, łatwo było zastąpić te straty. Mieliśmy prawo powiedzieć, że pod względem wojskowej postawy i wyglądu, nie ustępowaliśmy nawet gwardyi. Pomimo

104

to jednakże oficerowie, którzy pamiętali ów przegląd w Bajonnie, pełni byli niepokoju.

Nazajutrz wyruszyliśmy wczesnym rankiem przy bardzo pięknej pogodzie. Mieliśmy rozkaz stanąć o dziesiątej na placu Vendôme i tam, przy kolumnie oczekiwać na dalsze rozporządzenia. Szliśmy żwawo gościńcem od Chartres, a przez Sèvres do Paryża, do którego weszliśmy przez rogatkę Passy. Podczas przemarszu przez Paryż jeden z oficerów naszego pułku zrobił wycieczkę „*un voyage en Pologne*”, jak się wyraził, do dzielnicy Paryża, tak nazwanej na planie miasta, a mimo której przechodziliśmy.

— To nikczemnicy, ci Francuzi! — powiedział po powrocie. Ta dzielnica to istna kloaka — i dali jej j nazwę kraju swoich najwierniejszych przyjaciół! — Zaslugują na to, żebyśmy się wcale o nich nie troszczyli.

Staliśmy zaledwie chwilę, kiedy posłyszałem wywołane głośno moje nazwisko. To pułkownik mnie wołał i wręczył mi nominację na pierwszego porucznika, duplikat patentu, który został dawniej wysłany, ale nie doszedł nigdy do pułku.

Była ona datowana 25-go marca 1812 — przez pomyłkę, bo miało być widocznie 1811 roku. Z powodu wypadków, które później nastąpiły, nie mogłem upominać się o sprostowanie tej pomyłki, a że w parę miesięcy potem zostałem kapitanem, nie było już więcej o tem mowy. Oprócz mojej nominacji, rozeszły się wiadomości o innych w naszej dywizyi i o przeznaczonych orderach.

Około godziny 10½ otrzymaliśmy rozkaz udania się do Tuilleries i ustawienia się na placu Karuzelu. Poszliśmy tam przez ulicę St. Honoré. Nie można powiedzieć, żeby nasz pochód odbył się w porządku; szeregi łamały się co chwila i musieliśmy zadowolić się tem, że pomimo tylu przejeżdżających wozów i powozów, udało się nam utrzymać

105

jaki taki szyk wojskowy. Zastaliśmy już plac przepelniony wojskiem, ale zdołaliśmy się ustawić w porządku.

Cesarz już był rozpoczął przegląd. Cisza była i nastrój uroczysty, kiedy - niekiedy tylko słyszeliśmy głośne *Vive l'Empereur!* Na lewo od nas ustawili się grenadyerzy starej gwardyi. Był to wesoły dzień marcowy, a słońce dobrze grzało. Z jednego balkonu dużo dam i panów przyglądało się paradzie, a oficerowie gwardyi pokazywali nam cesarżową, księżnę Montebello i inne damy słynące z piękności. Pomiędzy panami wyróżniał się tylko poseł rosyjski. Rozmawiał on z paniami i zdawało się, że nie zwraca uwagi na odbywającą się paradę.

Czekaliśmy już blisko godzinę, kiedy rozległo się nagle:

— Bacność!

W tejże chwili ujrzeliśmy cesarza, zbliżającego się od prawego skrzydła w towarzystwie marszałka Berthiera, generała Chłopickiego, generała Krasieńskiego, kilku innych generałów i 3 — 4 adjuantów. Spojrzał na ustawione wojsko, zadał kilka pytań, pochwalił generałowi Chłopickiemu postępowanie wojska i zażądał przedstawienia spisu tych, którzy jego zdaniem zasługiwali na order, polecając jednocześnie wyrazić całej dywizyi zupełne zadowolenie cesarskie.

W pół godziny potem ukazał się cesarz przed rontem naszego batalionu. Nie mówiąc ani słowa, szedł wzdłuż kompanii grenadyerów i jak gdyby robiąc jej przegląd, wszedł w przerwę pomiędzy trzecią a czwartą kompanią; na prawem skrzydle 4-ej kompanii przystanął, zadał kapitanowi Razowskiemu, naszemu czarnoksiężnikowi, jedno za drugim dwa pytania: z których stron Polski jest rodem i jak dawno służy? Stary kapitan tak się zmieszał, że odpowiedział na pierwsze pytanie dopiero kiedy cesarz

106

już odszedł. Napoleon, nic nie mówiąc, zbliżył się szybko do stojącej z tyłu kompanii, na której skrzydle stałem i przystanął przedemną. Poznawszy po szlifach, że nie jestem kapitanem, zagadnął:

— Gdzie jest kapitan kompanii?

Pułkownik objaśnił, że leży chory w Wersalu, co nie było prawdą. Poczem cesarz zapytał mnie:

— *Combien as-tu des blessures?*

Odrzekłem:

— Dwie i jedną kontuzję.

Na to odpowiedział tylko uwaga:

*Eh bien! tu es jeune encore, tu seras capitaine plus tard.*

Potem przeszedł wzdłuż frontu kompanii, wziął w dwa palce okruch chleba, który jeden z żołnierzy miał na tornistrze, roztarł, powąchał i powiedział:

— *Pas mal!*

I znowu przystanął. W drugim szeregu stał puciołowaty, dobrej tuszy wołyżer, który zwrócił uwagę cesarza.

— Zapytaj go — zwrócił się do generała Krasieńskiego, wskazując palcem żołnierza — gdzie on tak utył?

Jenerał przetłomaczył to na dobrą polszczyznę i zagadnął żołnierza:

— Gdzie się tak upasteś?

A gdy żołnierz odpowiedział:

— Tu — we Francji!

Cesarz kazał mu powiedzieć „żeby miał o sobie pieczę, bo może przyjść czas, kiedy trzeba będzie pościć”. Niedaleko, na lewem skrzydle kompanii, kazał wystąpić żołnierzowi z drugiego szeregu, obejrzał jego bagaż, ubranie, kazał mu otworzyć ładownicę, poczem obejrzał go na miejscu; to samo zrobił w kilku innych kompaniach. Na lewem skrzydle zatrzymał się cesarz przed sierżantem Dębińskim, który miał polski krzyż i zapytał:

— Ile masz ran?

A gdy usłyszał w odpowiedzi „pięć”, dodał:

— *Je lui accorde la croix.*

A Berthier zapisał to w notatniku, który trzymał w ręku.

— Nie znać na pułku męczącej kampanii, z której powraca — powiedział cesarz do pułkownika. — Jestem zadowolony z jego ubrania, uzbrojenia i postawy; powiedz to pułkowi.

Następnie przeszedł cesarz do 3-go pułku. Po skończeniu przeglądu przedefilowaliśmy w taki sam sposób jak inne wojska, tylko że wielu żołnierzy przechodząc przed cesarzem wołało *hurra!* Zamiast *vive l'Empereur*. Po nas wystąpiła gwardya i *pupiles de la garde*. My zaś poszliśmy do Vaugirard, gdzie mieliśmy naznaczoną kwaterę. Na miejscu przystanku przed rozejściem się oznajmiono nam, że cesarz przeznaczył na każdy pułk po 6 orderów i po 25 uposażeń w sumie od 500 do 3,000 franków, do których przywiązany był dla oficerów tytuł *chevalier de l'Empire* a dla pułkowników *baron de l'Empire*. Ponieważ te ostatnie odznaczenia, które nikt nie liczył, porozdawane zostały zbyt pośpiesznie, więc wybór obdarzonych nie zyskał pochwały w pułku. Trzy uposażenia były oparte na *Octroi du Rhin*, reszta na *Lago de Albufera*. Bardzo niemiłe zrobiło na nas wrażenie, że zaraz pojawili się ludzie, którzy zaofiarowali się ułatwić obdarowanym otrzymanie tytułów, uposażeń i t. p. a ewentualnie nawet je sprzedać. Ale to dotyczyło

tylko uposażeń opartych na *Octroi du Rhin*. Jeden z moich przyjaciół pokazał mi już 26-go tego samego miesiąca zwitek pergaminu, na którym wypisany był tytuł, którego mu udzielono i zwierzył mi się przytem, że swoje prawa co do uposażenia zastawił na dłuższy czas i dostał za to 3,000 franków. Ale właściciele uposażeń opartych na *Lago de Albufera* wyszli wszyscy z pustemi rękoma! Sądzę

też, że niewielka ich liczba, która powróciła z Rosyji, nie zdołała uratować nic oprócz tytułu.

Wkrótce otrzymaliśmy zawiadomienie, że korpus oficerski został zaproszony przez cesarza na obiad, który miał się odbyć pod prezydencją marszałka Bessières, o godzinie 5-ej w *École militaire*. Żołnierze zaś mieli być ugoszczeni w różnych pułkach gwardyi, dokąd udali się pod przewodnictwem feldfeblów i starych żołnierzy. My pojechaliśmy do *École militaire* o oznaczonej godzinie powozami lub poszliśmy pieszo, jak się komu udało. Ale pomimo, że stawiliśmy się punktualnie, zastaliśmy już pozajmowane wszystkie miejsca przy stołach i obiad rozpoczęty. Oficerowie jednakże zaraz nas porozmieszczała, tylko że każdego z osobna.

Obiad podawano w kilku salach i zdaje mi się, że zebrało się przy stołach 5,000 — 6,000 oficerów. Muzyka, w której wyróżniały się *grosses caisses*, tylko chwilami pozwalała na rozmowę. Ale francuska żywość nie czekała na przerwy i powstawała z tego wielka wrzawa, co Francuzi nazywają *une conversation tapageuse en diable*. Prócz tego kilku z oficerów, których koledzy zwali *fameux blagueurs* podtrzymywało rozmowę potężnym głosem, za co większa część publiczności była im bardzo wdzięczna. Byli to niezawodnie członkowie akademii w Moncrabeau, którzy łączyli nieprzyzwoity wrzask z prawem *de mentir en tout lieu*.

Wrażenie całego obiadu nie było szczególne; usługiwali żołnierze, nakrycie nie było *de première qualité*, ale potrawy bardzo smaczne i wino dobre; podawano tylko czerwone i białe, a później szampańskie. Siedzieliśmy już przy stole może z godzinę, kiedy nagle umilkła muzyka i nastąpiła cisza, słyszeliśmy, że ktoś przemawia, ale nie można było usłyszeć ani słowa. Potem zabrzmiało głośne *vive l'Empereur*, muzyka zaczęła grać na nowo i podniosła się taka wrzawa, jakby ściany miały runąć.

Potem znowu nastąpiła chwila ciszy, po której rozpoczęła się rozmowa i goście powstali od stołu. Długi czas upłynął, zanim zdołaliśmy się zebrać i ułożyć co będziemy robili.

Na początek poszliśmy do teatru, gdzie dawano „*Oedipe à Colonos*” i balet. Cesarzowa była tam, ale bardzo krótko. Nie witano jej wcale, a kiedy wychodziła, nikt na nią nie zwracał uwagi. Talma grał Edypa i był bardzo oklaskiwany.

Następnego dnia, 23-go marca marszałek Marmont odbył przegląd, który ograniczył się do gospodarskich szczegółów i nie trwał długo. Staliśmy przez większą część czasu z karabinami poustawianymi w piramidy, występowaliśmy tylko na apel. *Inspecteur aux revues*, który był tam obecny, przeglądał wszystko, potem defilowaliśmy przed marszałkiem i na tem się wszystko skończyło.

Zużytkowaliśmy następny dzień wypoczynku na obejrzenie osoblności Paryża. Wybraliśmy się także i do Vincennes, co prawda dlatego głównie, ażeby zobaczyć miejsce, gdzie został rozstrzelany książę d'Enghien. Zaraz po przybyciu zapytał jeden z nas, a było nas sześciu, gdzie jest to miejsce. Stary odźwierny, dawniejszy artylerzysta, odpowiedział nam krótko i trochę szorstko:

— *Messieurs, on vient ordinairement ici pour voir l'arsenal et nos etablissements militaires et je suis prêt à vous y conduire.*

Zrozumieliśmy, co to znaczy, i przyjęliśmy daną nauczkę, a wkrótce potem zabraliśmy się do powrotu. Ale kiedyśmy byli na zwodzonym moście przy wyjściu, wyszła naprzeciw nas niemłoda kobieta z propozycją pokazania *les curiosités pas essentiellement militaires*. Przyjęliśmy propozycję z wdzięcznością i dowiedzieliśmy się przez drogę, to jest *madame la concierge*. Kiedy nam pokazała wszystkie izby, w których siedzieli uwięzieni tacy a tacy, zapytałem, czy to tu został rozstrzelany książę d'Enghien.

— *Si fait, monsieur, et si vous voulez voir l'endroit, où le sort du jeune homme s'est accompli, je vous y conduirai.*

Kiedy zgodziliśmy się na to chętnie, poprowadziła nas przez podwórze na dół po schodach, do fosy zamkowej. Uszedłszy kilka kroków, odźwierna zatrzymała się, mówiąc:

— *L'on dit, messieurs, que c'est ici où la mort l'a frappé. Mes parents au moins m'ont dit, que c'est ici; d'autres présument que c'était un peu plus loin, mais je suis sûre de mon assertion, j'y conduis bien du monde, et au reste c'est bien égal, où le pauvre prince resta mort.*

Jeden z kolegów zrobił przytem uwagę o znikomości wszystkiego, co ziemskie i pożegnaliśmy się z panią odźwierną, obdarzywszy ją sutym datkiem, podziwiając przebiegłość wásala, który tym sposobem obdarł nas po dwakroć.

Wieczory przepędzaliśmy w teatrach i widzieliśmy wszystkich słynnych aktorów owego czasu. Nie pamiętam już wszystkich sztuk, w jakich występowali, ale stoją mi przed oczyma pojedyncze sceny, a przedewszystkiem *malade imaginaire*, który zrobił na mnie największe wrażenie. Łatwo pojąć, że na kwatery w Vaugirard powracaliśmy przez cały czas pobytu w Paryżu tylko dla przebrania się. Nasza gospodyni, młoda, rozsądna kobieta, powiedziała nam pewnego razu:

— *Savez-vous, messieurs, que les français sont beaucoup plus sages que vous — ils ne perdent pas leur argent et abiment leur santé comme vous — ils ménagent beaucoup plus l'un et l'autre.*

— *Ce n'est pas étonnant, madame —* odrzekliśmy na to — *ils sont du pays — ils peuvent bien revenir à Paris quand ils veulent — mais pour nous c'est peu probable, il faut donc profiter de l'occasion.*

Niezupełnie to jej trafiło do przekonania, ale nic już nie powiedziała.

111

Dnia 26-go marca opuściliśmy ostatecznie Paryż. Musieliśmy przejść przez miasto przez całą prawie jego szerokość, a pochód nasz skutkiem dużego ruchu natrafiał na ciągle przeszkody. Na szerszych ulicach i na placach dobosze bili w bębny i muzyka grała.

Wrażenie, jakie Paryż zrobił na żołnierzach, było bardzo różne. Jedni utrzymywali, że miasto jest takie, jak Warszawa, tylko większe, inni stawiali wyżej Kraków pod względem stylu budownictwa. Wielu żołnierzy w obawie zbłądzenia nie upuszczało wcale kwater i od czasu przeglądu przez księcia de Trévise dziś poraz pierwszy byli na mieście. Kolumnę Vendôme rozsądni nawet uważali za świętą figurę, tylko nie mogli zgodzić się na to, jakiego świętego przedstawia. Kiedy im powiedziałem, że to cesarz, nie chcieli wierzyć. Nie mogli poznać tego człowieka w szarym surducie i trójkątnym kapeluszu, którego zawsze widywali, w stroju rzymskiego imperatora i upierali się przy swoim kiedy im powtórzyłem objaśnienie. Bardzo dobre wrażenie zrobił na nich Dom Inwalidów. Dowiedzieli się, że są tam żołnierze okaleczeni pod Saragossą i że im dobrze. Porządne ubrania inwalidów, dobre i obfite pożywienie, wygodne pomieszczenie i t. d. budziły w nich więcej zajęcia niż Paryż ze wszystkimi swemi wspaniałościami.

Przez rogatki de la Villete wyszliśmy z miasta. Wrażenia, jakie oficerowie unosili z Paryża, były różnorodne, po większej części nie bardzo zadowolające. Wpływała też na to i nieznajomość ogólnego położenia. Wszyscy marzyli o awansach, nagrodach, orderach i dotacyach. Pomimo, że było ich sporo, dostały się one zaledwie 25 — 30 ludziom, co w wielu innych budziło niezadowolenie. Im skąpiej rozdzielano ordery w Hiszpanii, tem obfitszych wyróżnień spodziewali się wszyscy tu, we Francji. W kompanii, którą dowodziłem od roku

112

1809 nie było ani jednego żołnierza, któryby nie był raniony, wielu mogło się pochłubić kilku zaszczytnymi ranami, a jednak wśród całej gromady tych walczących, dwóch tylko otrzymało ordery, jeden oficer i jeden sierżant. Dopiero później król saski, jako wielki książę warszawski udzielił pułkowi kilku polskich orderów, z których jeden dostał się kapralowi a jeden wołtyżerowi, ale wszystko to było zamało za zwycięzką kampanię, w której zdobyliśmy znakomite korzyści i głównodowodzącemu generałowi najwyższe wojskowe zaszczyty.

— *Vaut-ce la peine —* powiedział do mnie jeden z przyjaciół — *d'avoir vecu pendant quatre ans dans l'atmosphère de mitraille?*

Wszędzie było słyhać podobne uwagi. Nigdy przedtem nie dochodziły do moich uszu takie słowa, i zdaje mi się, że można to było przypisać widokowi gwardyi, w której prawie każdy żołnierz był dekorowany, a której organizacya, objaśniająca to zjawisko, nie wszystkim była znana.

Przez Soissons poszliśmy do Laon, które z powodu wyniosłego położenia zdaleka już było widać. Pomimo męczącego pochodu, wielu naszych jeszcze tego samego dnia wybrało się na przechadzkę po mieście i przez dzień następny, który spędziliśmy tam dla wypoczynku czyniono to samo. Pociągało nas położenie miasta, przedstawiające pewne podobieństwo z miastami hiszpańskimi.

Co do wartości obronnej miasta, różniły się bardzo zdania oficerów. Ogólnie przeważało przekonanie, że Laon bez ufortyfikowania nie dałoby się utrzymać wobec napaści nieprzyjaciela, mającego odpowiednie siły. Jeden z młodszych oficerów, który u swojego gospodarza znalazł opis miasta i oblężenia za czasów Henryka IV, rozpoczął tę dysputę i bronił swoich zapatrywań z tak gwałtownym uniesieniem, jakiego nigdy przedtem nie objawiał. Po klęsce, poniesionej w Rosyi, został on przeniesiony

113

do francuskiego pułku i poległ w 1814 w bitwie pod Laon. Czy było to przecucie, że jego los tu właśnie się rozstrzygnie?

3-go kwietnia poszliśmy do Mezières przez Verviers i Maubert Fontaine. Od Verviers weszliśmy w kraj górzysty, co pochód nasz utrudniało, ale mimo to żołnierze cieszyli się, że jeszcze raz widzą prawdziwe góry. W odpowiednich miejscach tworzyli plany zasadzek i napadów. Tu — mówili — ci *carajos* nie omieszkaliby przywitać nas porządnym ogniem; tam moglibyśmy ich z łatwością odeprzeć i t. p. Nie brakło przytem porównań z okolicami Hiszpanii. We wszystkim, co mówili, znać było zdrowy rozsądek i pewne wyrobienie pod względem wojskowym. Od czasu do czasu odzywały się uwagi o wojnie z Rosyanami, o tem, co kozacy robili w Prusach i Polsce i jak tam trzeba mieć się ciągle na baczności. Dzielni to ludzie, Rosyanie, ale mały kapral pokaże im dopiero, jak się prowadzi wojnę. W Mezières zebrał nas dowódca batalionu, żeby zwiedzić z nami miejsce, którego bronił Bayard przeciwko armii Karola V. Wielka uwaga, z jaką słuchaliśmy jego wykładu, była pierwszym krokiem do pojednania z tym bardzo wykształconym i rzeczywiście dobrym człowiekiem, dotkniętym do żywego od czasu wzmiankowanej już przezemnie historii w Tours.

Dnia 4-go kwietnia weszliśmy nareszcie do Sedanu, gdzie było *depôt général* naszej legii od chwili wejścia jej do Francji. Głęboko mnie wzruszyła myśl, że wróciłem tu bez moich przyjaciół, Dobrzyckiego i Zarskiego. Już od paru lat obaj spoczywali w

ziemi! Milewski — z którym wprawdzie mniej byłem zaprzyjaźniony — dostał się do niewoli — tylko Morawski i ja pozostaliśmy z tego ścisłego kółka kolegów.

Z Soissons do Sedanu zrobiliśmy wielkie

114

półkole. Dlaczego nam naznaczono tę drogę, nie wiem, prawdopodobnie dlatego, żeby uniknąć dróg bocznych, które są bardzo złe we Francji, osobiście w tej porze roku. Na etapach panował wzorowy porządek. Dla wszystkich wojsk, z wyjątkiem idących pojedynczo oficerów i żołnierzy, marszruta nąznaczona była w ministerium, na wszystkich etapach byli *fournisseurs, commissaires i entrepreneurs* i wszystko zastawialiśmy przygotowane. W ministerium wiedziano o każdej godzinie, gdzie i ile wojska się znajduje, lub jaką drogą ono idzie. Jak tylko furjerzy wojsk będących w pochodzie otrzymali wizę od komendanta miejscowego, lub wojennego komisarza, szli do merostwa, gdzie byli zawsze i komisarze. A jednocześnie z zawiadomieniem o kwaterach dostawał, furyer *bordereaux* na żywność, paszę i podwoły. Żołnierze, wchodząc do miasta, otrzymywali kwaterekowe bilety i kompaniom pozostawiano do wyboru, czy wolą dostać mięso pojedynczo, czy w masie. Chleb zaś rozdzielano każdej kompanii za bonami.

Dnia 5-go kwietnia odbył przegląd naszych pułków generał hrabia Claparède, którego prawie na pewno wymieniano jako dowódcę naszej dywizji podczas przyszłej kampanii. Powiedziano nam również, że 47 (?) pułk naszej legii stojący nad granicą portugalską jest już w pochodzie do nas i że potem zostaniemy przyłączeni do gwardyi. Jednocześnie postanowione zostało formowanie trzecich batalionów. Generał Claparède był postawy wspaniałej, z charakterystycznym wyglądem generała francuskiego, stanowczy, surowy, nawet szorstki. W kampanii 1809 r. zdobył sobie pewien rozgłos, którego mu jednak z wielu stron zaprzeczano, a w późniejszych czasach generał Berthezène w swoich *Souvenirs militaires* bardzo silnie natarł na niego. W czasie przeglądu zachowywał się Claparède bez taktu i nie odznaczał się skromnością, strofował surowo oficerów z powodu drobniaków nie dających do tego powodu. Wywarł mianowicie swoją złość na jednym biednym

115

*officier pageur* i to skutkiem prostego nieporozumienia. Z tego przeglądu wynikało to, że byliśmy bardzo niezadowoleni z niego, jak i on z nas. Nie dał też powodu do radości tym, którzy cieszyli się zmianą dowództwa, lękając się przenikliwych oczu generała Chłopickiego i jego energii. Mój czcigodny dowódca nie zawsze był przyjemny i nieraz dawał się unosić gniewowi, ale miał przytem tak dużo niepospolitych zalet, że każde prawdziwie żołnierskie serce lgnęło do niego. Ogólnie mniemano, że otrzyma on dowództwo pierwszej, a generał Bronikowski drugiej brygady naszej dywizji, co istotnie było postanowione, ale nie zostało nigdy wykonane, bo Bronikowski później otrzymał inne przeznaczenie, a 47 pułk w pochodzie nie skierował się na Warszawę.

Że generał Chłopicki, którego długa i zaszczytna karyera wojskowa zalecała na dowódcę dywizji, nie otrzymał tego dowództwa, musiało go to dotknąć głęboko; wszyscy prawdziwi żołnierze w pułku także byli tem oburzeni.

— Zawsze Francuzi i Francuzi, jakby nie było nikogo oprócz Francuzów — mówili jedni.

— Napoleon — dowodzili drudzy — chce uwidocznic rozpadnięcie się dawnej polskiej Rzeczypospolitej, rozdrabniając na cząstki polską armię i rozdzielając ją między Francuzów.

Obudził się skutkiem tego pewien rodzaj politycznej niechęci, którą podsyciała ciągle brutalność generała Claparède.

— *Celui là* — powiedział adiutant-major Rechowicz, człowiek wykształcony, delikatny i bystry obserwator — *me paraît un mauvais camarade, nous le trouverons toujours en quête de sa proie — quærens quem devoret.*

Zobaczmy dalej, jak wyraźnie to wystąpiło podczas kampanii rosyjskiej.

Ze wszystkich pogłosek, jakie do nas dochodziły przed przeglądem, sprawdziła się tym razem

116

tylko wiadomość o formowaniu trzecich batalionów. Ogłoszono ją w sam dzień przeglądu. Kadry do tego zostały zaraz wystawione, tylko bataliony nie otrzymały dowódcy. Drugi porucznik został przyłączony do kompanii w stopniu pierwszego porucznika, a dla każdej kompanii przeznaczono ludzi roztropnych i inteligentnych na ewentualnych dowódców w stopniu drugich poruczników. Gros-major Kosiński, wspomniany już przezemnie powyżej, został przeznaczony do formowania batalionów. Wyćwiczeni podoficerowie zostali mu dodani jako instruktorzy, zdolniejsi żołnierze jako kaprale i gefrajterzy, tak, że użyto do tego najlepsze siły. Ja zostałem mianowany dowódcą formującej się kompanii woltażerów. Generał Claparède kazał sobie przedstawić ten związek tworzących się kadrów, przejrzał dokładnie bagaż, ubranie, broń i t. d., miał bardzo energiczną przemowę co do sposobu, w jaki się ma odbywać ćwiczenie i nauka *des jeunes soldats*, doręczył w końcu majorowi Kosińskiemu *feuilles de route* i uwolnił nas łaskawie.

Miałem przy tej sposobności osobliwsze starcie z generałem. Byłem jedynym oficerem wśród przeznaczonych do kadrów, który miał dwa ordery. Generał, doszedłszy do mnie, powiedział:

— *Tiens, ce jeune homme est donc un crâne, qui...*

Ale nie zdążył dokończyć, kiedy mu odpowiedziałem:

— *Le jeune homme, mon général, a eu le bonheur de pouvoir remplir ses devoirs sous les yeux mêmes de mr. le Maréchal Suchet et de son général Chłopicki, qui l'ont proposé pour les decorations quil porte.*

Wyrażenie użyte przez generała, *jeune homme*, dawało mi pełne prawo do takiej odpowiedzi. *Un jeune homme* pomiędzy równymi sobie wystarczało do wywołania pojedynku, w ustach przełożonego względem młodszego wiekiem podwładnego oznaczało zawsze pewien rodzaj lekceważenia.

117

— *Ne vous échauffez pas, Monsier l'Officier* — odparł generał, który musiał czuć, że nie był w swoim prawie i poszedł dalej robić przegląd, nie zajmując się już mną więcej.

Koledzy cieszyli się, że tak odpowiedziałem brutalowi, sam pułkownik wyraźnie był po mojej stronie, bo żegnając się z nami nazajutrz przed wymarszem, podał mi rękę i uściśnął z wielką serdecznością.

Następnego rana o wczesnej godzinie wyszły kadry z trzech batalionów, a pułk pozostał jeszcze na pewien czas w Sedanie. Idąc pospiesznie, dostając po większej części niewygodne kwatery, doszliśmy przez Verdun do Metz 13 kwietnia.

Na nieszczęście, wszyscy moi najbliżsi przyjaciele pozostali przy dawnych batalionach, a pomimo że nowomianowani koledzy byli także godni szacunku, bardzo mało, było duchowej wspólności pomiędzy mną a nimi. Żyliśmy po koleżeńsku z sobą, rozmawialiśmy poufale o przeszłości, ale skończyły się owe *reconnaissances militaires et la chasse aux antiguités*, jak zwykliśmy byli nazywać nasze wycieczki.

Metz przedstawiało pole ciekawych badań. Oprowadzał mnie młody, niezmiernie miły oficer artylerii, jeśli się nie mylę uczeń tamtejszej szkoły, niejaki Robert, którego widziałem przelotnie w hotelu, gdzie jedliśmy obiad, a następnie spotkałem na wycieczce do cytadeli. Tak mnie tam przyjaźnie powitał i na moje przypomnienie, że widzieliśmy się już przedtem, zaofiarował mi się tak uprzejmie na przewodnika, że żegnając się z nim, byłem już powiadomiony o wszystkim, co najważniejsze. Bardzo wykształcony, skromny młodzieniec, usprawiedliwiał się co chwila, że nie wie czegoś dokładniej, tłumacząc się, że cały czas zajmuje mu studyowanie nauk ścisłych. Ja zaś myślałem sobie w duchu: „obyś ty sam był tak rozsądny, jak ten uczony, skromny młodzieniec”.

118

i wielu moim kolegom życzyłem podobnego umiarkowania.

W bitwie pod Możajskiem, przy odbieraniu głównego szańca, co dalej opowiem, powierzone nam zostało zajęcie tego punktu. W baterii, sąsiadującej z naszą, wszyscy oficerowie padli od strzałów i w końcu komenda dostała się najmłodszemu. Nareszcie i jego ugodziła kula armatnia i zgruchotała mu krzyż, tak, że kiedy go odniesiono na bok dla zrobienia miejsca walczącym, wnętrzności wysunęły mu się z brzucha. Mężny ten oficer swoją odwagą i walecznym zachowaniem zwrócił uwagę wice-króla Eugeniusza, marszałków Berthiera i Davousta, którzy byli w pobliżu przy dywizji i na wyraźny rozkaz pełnego ludzkości wice-króla, musiałem sprowadzić do rannego lekarza naszego. Zdawało mi się, że w umierającym poznaję swego znajomego z Metz. Groza tego dnia, przerażający widok szanów, które zajmowali, tysiące trupów otaczających nas na wszystkie strony, nieustający grad kul, bijących zewsząd, lub przelatujących nad nami, wszystko złożyło się na to, żem zapomniał spytać o nazwisko tego oficera. Później dopiero przyszło mi na myśl, co powinienem był zrobić, ale było już zapóźno; nie mogłem oddalić się od swego pułku.

Przez Alcey doszliśmy 22-go kwietnia do Moguncyi.

Co mnie głównie uderzyło w pochodzie od Saarbrück, to, że, jak się zdawało, znikły wszelkie ślady niemieckości, nawet mowa i nazwiska. Nasi oficerowie znali język miejscowy mniej więcej o tyle, że mogli się w nim rozmówić; pomimo to krajowcy mówili do nas tylko po francusku i każdy urzędnik wolał wysilać się na przejmującą dreszczem francuzczyznę, niż posługiwać się mową rodzinną. Nie spotkałem nigdzie żalu po dawniejszym porządku rzeczy. Na zapytanie o dawny stan kraju, słyszało się najostrzejsze uwagi o księciu i jego sługach,

119

a opisy dawnych rządów brzmiały przerażająco. Ja, urodzony pod berłem pruskim, wychowany w tamtejszych zakładach naukowych, sądziłem w mojej ówczesnej naiwności, że w całych Niemczech położenie było takie samo jak u nas, więc nie mogłem i nie chciałem wierzyć w to, co opowiadali ci ludzie.

W Alcey stałem na kwaterze u nauczyciela, który miał wybitne zasady demokratyczne i dla członków konwencji okazywał więcej uznania niż dla Napoleona i jego ministrów. Dużo miał on do opowiadania o dawniejszych rządach, o despotyzmie i nikczemnej przedajności urzędników, o tyranii szlachty, o pańszczyznach, ograniczających prawo własności, o fanatyzmie religijnym i braku tolerancji, a słuchając go, trudno było uwierzyć, że tak się dziać mogło w rzeczywistości.

Z tych wszystkich opowiadań można było wyprowadzić ten wniosek, że w owych czasach kraj i ludzie stworzeni byli na to tylko, żeby hodować zwierzyńcę i służyć panom. A tyle opowiadano o pańszczyznach i służebnościach, że trudno było pojąć, jakim sposobem ludzie mogli jeszcze znaleźć czas, żeby rolnictwem i rzemiosłami zarabiać na życie. W miastach zadowolenie z nowego porządku rzeczy było jednak mniejsze, niż u wiejskiej ludności.

Mąciły je mianowicie ciągłe przemarsze wojska. Pomimo, że pozostawiało ono dużo pieniędzy i wzbogacało pojedynczych ludzi, tamowało jednak z drugiej strony ruch handlowy i ludzie chętnieby się byli rzekli wszelkich korzyści, byleby sobie zapewnić spokój. Te właśnie powody, o których wspominałem, złożyły się na zobojętnienie dla wszystkiego, co niemieckie.

Dnia 23-go kwietnia przeszliśmy Ren w drodze do Frankfurtu, a tam znaleźliśmy się jakby w mieście francuskim; wszędzie żołnierze francuscy, wszędzie francuska mowa i duch francuski. Wnętrza

120

domów prywatnych i odwach, zajęty przez żołnierzy prymasa, były zapewne jedynymi miejscami, w których mówiono po niemiecku.

---

### XXXIII.

Podróż z Hanau do Torunia. — Jarmark w Lipsku. — Przybycie do granicy polskiej. — Nędza w kraju. — Wjazd Napoleona do Torunia. — Wymarsz do Rosyi. — Odwiedziny u rodziców. — Wilkowyszki.

Dnia 24-go kwietnia wyszliśmy z Hanau i tam otrzymaliśmy rozkaz odbycia na podwodach dalszej podróży do Poznania, gdzie mieliśmy stanąć na 5-go maja. Nakazano nam robić codzień dwa do trzech etapów, co w onym czasie, kiedy drogi i powozy inaczej wyglądały niż dziś, nie było drobnostką. Szosy były tylko w pobliżu główniejszych stolic. Bruki, na których można było kark skręcić i nogi połamać, czego unikając, wysiadaliśmy i szliśmy pieszo, znajdowały się tylko w miastach, wsiach i najgorszych miejscach niemożliwych do przebycia, a po za tem wyboje i piasek stanowiły niewesoły podkład wszystkich dróg. Kto dziś jeździ po bocznych drogach w Westfalii, Łużycach lub na Kujawach, ten tylko może sobie wyobrazić ówczesny stan dróg w Niemczech.

Przez Gelnhausen i Eisenach dojechaliśmy 26-go do Gotha. Musieliśmy się zadowolić zobaczeniem zdaleka Eisenach, które byłbym chętnie zwiedził. W Gotha dostałem kwatery u jednego profesora, którego nazwiska dziś już nie mogę sobie przypomnieć. Był to człowiek uczony i, o ile mi się zdawało, niewielki przyjaciel Francuzów. Dla mnie i on i jego miła żona byli bardzo uprzejmi i pełni życzliwości. Profesor подарował mi małą broszurkę, którą wydał o wyprawie do Indyi,

121

a ja wywzajemniłem mu się opisem napoleońskiego muzeum w Paryżu, który go bardzo zajął. Ponieważ przy każdym dziele sztuki była wzmianka, z kąd pochodzi, dało to profesorowi sposobność wyrażenia surowego sądu o tego rodzaju rabunkach — jak się wyraził — co żona uważała za wielką nieostrożność. Ale rozbroił jej gniew uwagą, że i ja, jako „wyształcony klasycznie”, zapewne jestem tego samego zdania, w czym mylił się zupełnie. Pamiętam dobrze, że byłem wtedy zachwycony tem zebraniem w jednym miejscu tylu skarbów sztuki, a przytem jako żołnierz radowałem się, że miecz nowożytnego Brennusa tak wiele zaważył na szali. Toż samo robili Rzymianie, a to mi tak zawróciło w głowie, że wszystko po za tem wydawało mi się godnem pogardy i długiego czasu potrzeba było na to, żebym zrzucił z siebie doszczętnie tę rzymską skórę.

Przez Erfurt, Naumburg i Lützen dojechaliśmy do Lipska, gdzie się właśnie odbywał jarmark. Ponieważ słyszałem o nim dużo, w ostatniej wsi, gdzie stanęliśmy kwatery, wziąłem urlop dla obejrzenia go zblizka. Nie mogę powiedzieć, żeby zrobił na mnie szczególne wrażenie, wydawał mi się mały i brudny; czy dlatego, że może handel odbywał się we wnętrzu domów, czy ciężkie czasy dawały się we znaki, czy nędzne budy i sklepiki taki pozór mu nadawały, dość, że w porównaniu z tym jarmarkiem tygodniowe targi w Teruelu, Castellonie i Pau wydawały się mi daleko ciekawsze. Jedynym sprawunkiem, jaki zrobiłem, była rosyjska gramatyka i notatnik kieszonkowy, przeznaczony do zapisków z przyszłej kampanii.

Cała zresztą podróż do Celichowa nie miała w sobie nic godnego uwagi; wszędzie przyjmowano nas z wielką uprzejmością. Niektórzy z kolegów żartowali sobie, że to przez wdzięczność, iż się nas pozbywają, ale przypuszczam, że wpłynęła na to dobra

122

sława naszej karności, uczciwości i porządku, która nas wszędzie poprzedzała. Bardzo często szliśmy wszyscy pieszo, pozostawiając na wozach tylko tornistry i bagaże. Piasek bywał tak głęboki, że z trudnością mogliśmy postępować. Brzegi Elby, Szprewy, Odry, przez które przechodziliśmy, nie zyskiwały na porównaniu z brzegami Girondy, Dordogne i Loary; niebo, często zasnuwane ciężkimi chmurami, różniło się rażąco od wiecznie pogodnego, błękitnego nieba Hiszpanii; zamiast palm, które nas pozdrowiały na rozkosznych równinach Walencji, spoglądały na nas z góry wyniosłe sosny, nie było już żywopłotów kaktusowych, zamiast mirtów, wawrzynów i drzew cytrynowych, w ogrodach wieśniaków widać było bzy i nędzne drzewa śliwkowe. Nie uszło to oczu naszych żołnierzy, robili oni uwagi podobne tym, jakie mogli wygłaszać ongi żołnierze rzymscy, przeniesieni nagle z Hiszpanii nad

brzegi Wezery. A jednak byliśmy jeszcze w Niemczech, gdzie na naszej drodze rozkładały się kwitnące wioski i zamożne miasteczka. Wkrótce i to miało się zmienić. Na połowie drogi między Celichowem a Unruhstadt doszliśmy do granic ówczesnego Księstwa Warszawskiego, gdzie zostaliśmy przyjęci przez polskiego kapitana. Prowadzący nasz oddział najstarszy oficer kazał żołnierzom przystanąć przy słupie granicznym, sfornować się i na cześć ojczyzny zanucić trzykrotny okrzyk, który jednak nie dźwięczał zapalem. Powodem tego były wiadomości, udzielane przez polskich mieszkańców i wieśniaków, spotykanych w drodze, a brzmiące niepomyślnie.

Kargowa miało jeszcze zupełnie cechę małego miasteczka niemieckiego, a dzięki przemysłowi i handlowi byłem, było zamożne. Ludność przyjęła nas bardzo przyjaźnie. Miałem kwatery w zamku, należącym do hrabiego Unruh, wielkiego pana, który jednakże bardzo źle stał pod względem majątkowym.

123

— *Nomen est omen* — dodał na zakończenie hrabia.

Dnia 5-go maja przybyliśmy do Poznania, wrażenia, otrzymane w pochodzie, nie były przyjemne; wszędzie zastawaliśmy nieszczęścia i nędzę. Handel i przemysł były w upadku, rzemiosło w najopłakańszym stanie, ceny zboża niesłychanie niskie i od paru lat zaledwie pokrywały koszty produkcji. Przewyżka, zamiast na targ, wędrowała do magazynów wojskowych. Handel byłem, który przedtem szedł na wielką skalę, obecnie był mało znaczący — wszędzie znać było ubóstwo, braki, niezadowolenie i pragnienie poprawy położenia. Ale rządowi — pomimo, że dużo pozostawiał do życzenia wszyscy sprzyjali. Słyszałem, jak młodzi i starzy chwalili pruskie czasy, lecz nikt nie pragnął ich powrotu. Nie było już mowy o bajecznych pisaninach, któremi pruskie rządy udręczały poddanych, wszyscy chwalili przyjaźliwość i ludzkość urzędników i łatwość, z jaką się załatwiały interesy. Nikt nie obwinał rządu o złe czasy, składali to wszyscy na karb okoliczności. Nieraz później łamałem sobie głowę nad tem, co mogło wpłynąć na taki sąd, i doszedłem w końcu do wniosku, że przypisać to należy ciąglemu wtrącaniu się Prusaków do spraw mieszkańców, zjadłości, z jaką władze pruskie usiłowały ich uszczęśliwiać i nauczać, wyniosłości urzędników i pewnej *Borussomanii*, chcącej wszystko urządzać na modłę *starego kraju* — jak nazywali Niemcy. Polski rząd miał zaś tę dobrą stronę, że o tyle tylko zajmował się ludźmi, o ile pozwalali sobie na jakiś wybryk lub czyn przeciwny prawu — albo też kiedy potrzebowali jego pomocy. Mogli wtedy ludzie liczyć na opiekę ze strony rządu, któremu jakkolwiek będziemy go sądzić trzeba przyznać, że miał *serce* dla poddanych, pomimo, że jego czyny nie zawsze były godne pochwały.

Pod Poznaniem dostaliśmy rozkaz ustawienia

124

się na placu Napoleona (dziś Wilhelmowskim), gdzie zrobił komendant przegląd, poczem puszczono nas na kwatery z zastrzeżeniem, żebyśmy się zebrali na apel o godzinie 6-iej na tym samym placu. Wieczorem rozlegały się wszędzie skargi na złe kwatery. Dużo ludzi dostało się do żydów i otrzymało obrzydliwe pomieszczenie. Kto dziś pójdzie na Chwaliszewo i cofnie się myślą o pięćdziesiąt lat wstecz, może sobie wyobrazić, jak tam wtedy było. Kadry 1-go batalionu stały na Chwaliszewie, 3-go i 2-go w Boninie i w Winiarach. Dwie ostatnie miejscowości znikły tak, jak i pułki, które w nich wtenczas stały.

Wieczorem przy apelu dowódcem kompanii doręczono spisy ludzi, którzy mieli być do kompanii włączeni, a których część już była na miejscu, a część miała nadejść w ciągu 24 godzin. Rozporządzono tak, żeby ludzie zostali oddani kapralom, oporzędzeni i przygotowani do wymarszu. Naznaczono nam miejsca ćwiczeń w Buku, Śremie i Kurniku. Nasz pułk poszedł do

Śremu. Nazajutrz około 8-ej oddano nam ludzi prawie w pełnej liczbie: ci, których brakło, nadeszli w ciągu kilku dni. Największą trudność przedstawiało ich pomieszczenie. Każdemu rekrutowi wypisywano numer pułku i kompanii na ubraniu, czapce lub kapeluszu, miejsce apelu naznaczano na dzień następny, płacono za ugoszczenie całodzienne, dawano chleb na trzy dni, poczem odchodzili z nimi podoficerowie i żołnierze wolni od służby. Wieczorem do apelu stawali rekruci już doprowadzeni do porządku, umyć, w oczyszczonym obuwiu — o ile je posiadali — i w znacznej części z ostrzyżonymi krótko włosami. 7-go o siódmej rano wyruszyliśmy do Śremu, gdzie doszliśmy tego samego dnia, co ludzi bardzo zmęczyło, bo dzień był gorący, a droga naprzemiennie piaszczysta lub błotnista.

O pół mili pod miastem wyszli na nasze spotkanie

125

furyerzy i opisali nam miejsce przyszłego pobytu.

— Niech mi pan wierzy, panie poruczniku — powiedział do mnie jeden kapral — że hiszpański chlewek czystszy jest od żydowskiej dzielnicy, gdzie mi dano kwatery: wyniosłem się zaraz z moimi czterema ludźmi i będziemy mieszkali w drwalni, gdzie nam przynajmniej nie będzie dokuczać robactwo.

Dało to powód do różnych uwag nad stanem rzeczy w ojczystym kraju i można było zauważyć, jaki wpływ na naszych ludzi wywarł dłuższy pobyt w tych pięknych krajach, przez które przechodziliśmy. Wszyscy z żalem i tęsknotą wspominali biwaki, trudy codzienne — ba! cogodzinne niebezpieczeństwa w Hiszpanii, i przeklinali brudy w rodzinnych stronach.

Przeszliśmy w ciągu 11 godzin pięć mil uciążliwej drogi. Pochód w porządnym szyku był zupełną nowością dla tych biednych chłopaków, większa ich część nosła w ręku buty, a wielu pozdejmoowało swoje wieśniacze kurtki. Wejście do miasta odbyło się cicho, zajęcie kwater poszło żwawo. Ale nazajutrz okazało się dowodnie, że zasada *ne rien précipiter* wogóle, a szczególnie w sprawach wojskowych jest najlepszą. Połowa naszych ludzi miała okaleczone nogi. Wprawdzie niewiele to szkodziło na razie, ponieważ nie mieliśmy umundurowania, ani innych szczegółów do wyekwipowania, ale musieliśmy stracić wiele drogocennych dni na zaprowadzaniu porządków wewnętrznych. Wszystkie kwatery zostały gruntownie zrewidowane, wszystkie braki i niewygodności wedle możności usunięte i złagodzone. Naczelnik miejscowej policji oddał się temu gorliwie.

Ogłoszono zapotrzebowanie przez batalion mięsa, chleba i jarzyn. Policja pośredniczyła i pilnowała cen, drogi na placu musztry zostały uporządkowane o tyle, żeby można było rozpocząć ćwiczenia

126

ze zdrowymi rekrutami. Zrobiło się, co tylko było można w podobnych okolicznościach. Po kilku dniach wypoczynku wszyscy żołnierze byli już znowu na nogach i rozpoczęły się ćwiczenia od 7— 11 rano i od 2 — 6 wieczorem, rozumie się, z dłuższymi przerwami przez ten czas. Część chwil wypoczynku poświęcona była bieganiu, wyścigom, skakaniu i mocowaniu się ludzi, jak było zwyczajem przyjętym przy ćwiczeniu polskich rekrutów. Często kapitan przeznaczał małe nagrody dla tych, którzy się w tym wyróżniali. Po tygodniu mogliśmy już wchodzić i wychodzić z miasta sformowanym batalionem. W tym samym czasie rozpoczęło się i umundurowanie ludzi, do czego nadsyłało nam materiały w mniejszych i większych ilościach. Ponieważ w Poznaniu nie można było znaleźć dostatecznej liczby krawców, pokrajano więc materiały i ze wzorami porożysłało po małych miasteczkach. Tu, pod nadzorem zaufanych ludzi, zostały mundury poszyte starannie i mundurowanie batalionów poszło nierównie prędzej, niż można się było spodziewać wobec sił miejscowych. Nieraz później byłem obecny przy formowaniu nowych wojsk, jako też przy zmianie organizacji dawnych na nowe, ale nigdzie nie spotkałem podobnej dzielności, spójni w działaniu i równie dokładnej roboty. Jedną z przeszkód w formowaniu batalionów stanowiły częste dezercje. Gdybyśmy byli stosowali się do przepisów prawa, batalion w krótkim czasie byłby stopniał do jednej trzeciej części. Ale uciekliśmy się do innego środka. Kiedy przyprowadzano dezercera zamykano go na odwachu, a przy pierwszej mustrze prowadzono przed front batalionu. Tu dawano mu 50— 60 pląg i odsyłało potem do kompanii właściwej. Poskutkowało to doskonale. Dezercja ustała stopniowo, do czego przyczyniło się i to, że wszystkich dezercerów pochwymano. Dziwna rzecz, że stan zdrowia żołnierzy, pomimo trudów, był doskonały i przez cały czas mego pobytu w batalionie

127

procent chorych nie przechodził nigdy 1%, a tylko chwilami — wyjątkowo — 2%. Nie mogę powiedzieć, żeby ludzie byli szczególnie silni — ale nie byli rozdelikaceni: kawę większa ich część znała tylko z opowiadania, kawałek bułki był dla wielu z nich nieznanym nigdy zbytkiem; większa część miejscowych ludzi od dzieciennych lat nie spała w łóżku — tytoń znali tylko oficerowie i podoficerowie. Dobry chleb, obfitość jarzyn, dzień w dzień funt mięsa, piolunówka rano i przy wieczerzy poraż drugi — stanowiły pożywienie nierównie lepsze, niż to, jakie mieli w domu. Oficerowie żyli dużo kosztowniej i gorzej niż we Francji. Nie było nigdzie takiego lokalu, ani mebli, żebyśmy mogli jadać razem. Wszędzie były urządzenia tylko do wspólnego picia. Dziś najędzniejsza polska miasteczka może zaledwie dać pojęcie o tem, co wówczas było wszędzie. Jedyną rozrywką oficerów były przyjacielskie stosunki z właścicielami ziemskimi i dzierżawcami w okolicy. Wprawdzie właściciele służyli sami w wojsku, ale ich zarządcy byli dla nas niemniej uprzejmi. O gościnności, z jaką nas przyjmowano, dziś nie ma nikt wyobrażenia. Przy skromnym posiłku kieliszek z węgryzmem — często jedyny, jaki był w domu — krążył kolejką po całym towarzystwie. Potem następowała przechadzka po polach i łąkach. Przed wyjazdem do miasta podawano znowu przekąskę. Nigdzie ani śladu tego zblazowania, udawania i przesady, tak zwykłej w dzisiejszych czasach!

Dnia 27-go maja rozeszła się nagle wiadomość, że cesarz jest spodziewany w Poznaniu i że odbędzie przegląd wojska. Wyruszyliśmy 29-go przystrojony jak tylko można było najlepiej, ale zaledwie w jednej trzeciej kompletnie umundurowani i przybyliśmy po dwudniowym marszu bardzo rażni do Poznania, gdzie mieliśmy dość czasu, żeby się przypatrzeć wjazdowi cesarza następnego dnia około dziewiątej wieczorem. Wszystkie ulice, któremi miał

128

przejeżdżać, zawczasu już przepełnione były ludźmi. Wspaniała pogoda sprzyjała uroczystości tego dnia, którą podnosiła jeszcze świetna iluminacja. Około 9-ej niemiłkające okrzyki oznajmiły nam o przybyciu cesarza, otoczonego oddziałem francuskiej i polskiej gwardyi. Przy pierwszej bramie tryumfalnej, wzniesionej na Wildzie i przyozdobionej napisem *Heroi invincibili*,

oczekiwał prezydent Rose z municypalnością. Cesarz zatrzymał się, wysłuchał powitalnej mowy i powiedziawszy parę słów łaskawych, odjechał dalej. Pan Rose był to dawny pruski wachmistrz, pozostały od południowo-pruskich czasów i przeżył wszystkie polityczne zmiany aż do przybycia feldmarszałka Gneisenau w 1831 roku.

Przy bramie miasta przyjmowali cesarza prefekt hrabia Poniński, generał Dessoles, gubernator kraju pomiędzy Odrą a Wisłą leżącego — generał Aksamitowski, gubernator w departamencie Poznań. Na ulicy Klasztornej, która prowadzi z ulicy Wodnej do kolegium Jezuitów, gdzie cesarz miał zamieszkać, wybudowano drugą bramę tryumfalną z napisem: *Restauratori patriae*, całe miasto było rzęsiście oświetlone. Portal wieży przyozdabiał transparent z wypisanymi słowami; *Grati Poloni Imperatori magno*. Po obu stronach dwie piramidy olbrzymie rozlewały naokoło istne morze ognia. Ratusz, w którego klatce schodowej błyszcząły jeszcze wtedy portrety królów polskich, zaopatrzony był w pięć transparentów. Ponad herbami miasta jaśniały olbrzymie N.— i M. L. — i N. J. francuski orzeł i herb Wielkiego Księstwa Warszawskiego stanowiły tło reszty transparentów. Wieża ratuszowa i kościół farny szczególnie były oświetlone. Ale najpiękniejszy widok przedstawiał kościół Bernardynów i jego wieża, którą cesarz mógł widzieć ze swoich okien. Jasno oświetlony transparent z napisem *Napoleoni Magno Caesari et Victor*, a w pośrodku olbrzymi wieniec wawrzynowy, zdaleka już

129

rzuciły się w oczy. Łoża wolnomularska zbudowała przed swoim gmachem piramidę z rozmaitych godel, nad którymi unosił się opiekuńczo złocisty orzeł i olbrzymia litera N. Płonące znicze i oświetlone okna roztaczały potoki światła, widno było prawie jak we dnie — fale ludzkie zalewały ulice, masy pijanych zataczały się wszędzie, ale nie było nigdzie awantur, nigdzie bójki, nigdzie swawoli. Wysoko na wieży ratuszowej całą noc grała muzyka. Publiczne place mianowicie: plac Sapięhy — dzisiejszy Plac Działowy — podobne były do biwaków z obozującą tam miejską ludnością. Nasi najstarsi żołnierze utrzymywali, że tych ludzi sprowadziła tu władza dla zamydlenia oczu cesarzowi. Tak samo jak podczas uroczystości w Aybar i Saragossie.

Mieli zupełną słuszność. Ileż podobnej obłudy na wielką skalę zdarzyło mi się spotkać w czasie długiego burzliwego życia mojego!

Nazajutrz ustawiliśmy się na placu Działowym. Ale zamiast cesarza ukazał się marszałek Mortier przeszedł między szeregami, oznajmnił swoje zadowolenie, że tak wiele zrobiono w tak krótkim czasie i na tem się przegląd skończył. Kiedy zabieraliśmy się do odejścia, przyjechał cesarz konno — nie wiem z której strony. Przejechał przed nami, wołając:

— *Où est le préfet?*

A do prefekta zwrócił się z wymówką:

— *Je trouve les gens trop jeunes — il me faut de monde en état de supporter des fatigues — les gens trop jeunes ne font que remplir les hôpitaux...*

Dalszego ciągu już nie dosłyszeliśmy.

Pomiędzy wielu ludźmi obcymi spotkałem dawnego kolegę szkolnego; wzięłem urlop na kilka godzin, poszedłem do niego na obiad i nasłuchałem się dużo rzeczy ciekawych. Cesarz był o 12-jej na mszy, na której był obecny biskup poznański,

130

Górzeński, i kilku dostojników ze świty, a potem odbyło się przyjęcie wielkie w sali dawnego refektarza klasztoru Jezuitów. Cesarz, wszedłszy, przemówił w sposób następujący do ludzi obecnych, zajmujących stanowiska wybitne, a ubranych w strój dworski:

— *Messieurs! J'aurais préféré de vous voir bottés et épéonnés, le sabre à côté, à l'instar de vos ancêtres à l'approche des Tartares et des Cosaques; nous vivons dans un temps où il faut être armé de pied en cap et avoir la main à la garde de l'épée...*

Między innymi cesarzowi przedstawiono hrabiego Szoldrskiego, jednego z najbogatszych w czasie owym właścicieli ziemskich w Wielkopolsce. Hrabia miał urząd sędziego pokoju, tytuł ekscelencyi, a za położone zasługi wielki order, na którym nie żalowano emalii i który przywdział na tę uroczystość.

— Ilu ludzi zajmujesz pan w swoich fabrykach? — zagadnął go cesarz.

Hrabia, który miał w swoich dobrach dużo zakładów dobroczynnych, ale ani jednej fabryki, zmieszany nie odpowiadał, a cesarz pytał dalej:

— Wszakże pan masz fabrykę porcelany — *vous faites en porcelaine?*

Odpowiedział za hrabiego prefekt:

— *Sire, c'est le comte Szoldrski, le plus riche propriétaire du pays...*

A cesarz wymówiwszy tylko: *Ah! c'est très bien!* zwrócił się do innego z obecnych.

Przy prezentacji pań przedstawiono hrabiankę Mycielską, która później poszła za hrabiego Kwileckiego. Miała ona zaledwie 17 — 18 lat, nie była *plus que potelée*, przytem ogromnego wzrostu.

— *Combien avez-vous d'enfants?*

— *Sire, je n'en ai pas.*

— *Vous êtes donc divorcée?*

— *Sire, je ne suis pas mariée du tout, je suis encore demoiselle.*

131

— *Ah, il ne faut pas trop choisir, vous m'avez pas de temps à perdre.*

Obiegało dużo jeszcze innych, drażliwszych anegdotek, być może, że wymyślonych tylko w celu ośmieszenia lub spotwarzenia niektórych osób, jak zwykle się zdarza w podobnych razach.

Zapytałem mojego kolegę, który był bystrym obserwatorem, miał dużo stosunków i był bardzo dobrze wychowanym człowiekiem:

— Jakież wrażenie zrobił cesarz na tutejszem wyższem towarzystwie?

— A cóż! — odpowiedział mi na to kolega — uważają ogólnie *qu'il a de mauvaises manières, la voix brève et stridente, le ton tranchant et impérieux — on le trouve beaucoup inférieur sous ce rapport au prince Poniatowski, qu'on regarde ici comme le type d'un chevalier comme il faut.*

Takie było ogólne wrażenie, jakie z tego przyjęcia wyniosła szlachta, a mianowicie damy. Jeden z dawnych szambelanów króla Stanisława Augusta, gdy go zapytano, co mu powiedział cesarz i jakie na nim zrobił w rażenie, odrzekł:

— *Nec affabilis, nec amabilis, nec adibilis.*

Hrabina Kwilecka miała powiedzieć:

— *Il n'a pas fait de progrès depuis le 26 novembre 1806.*

Była to data jego pierwszej bytności w Poznaniu — a gdy jej zwrócono uwagę, że taką dobrocią serca, jak księcia Poniatowskiego, nie buduje się państwo i nie rządzi, odpowiedziała bardzo trafnie że ludzie często lepiej rządzą uczuciem niż rozumem.

Poznań miał zupełnie wojenną fizyognomię — wszędzie pozakładano magazyny, kościoły — miejsca spacerowe — zapełnione sianem i słomą — na placach pełno podwód i wozów z dostawami, napełniających tumanami kurzu, miasto w znacznej części niezabrukowane. Ówczesny Poznań nie był wcale

132

podobny do dzisiejszego — było w nim dużo domów jednopiętrowych, krytych gontami, pomieszanych gdzieniegdzie z dwupiętrowymi, lepiej zbudowanymi budynkami. Pełno było zrujnowanych kościołów i klasztorów — ponure bramy prowadziły do miasta, opasanego jeszcze w części pozostałym murem. Cesarz zamieszkał w klasztorze Jezuitów, który dopiero w późniejszych czasach, dzięki umiejętnej i twórczej ręce niezapomnianego księcia Radziwiłła, przybrał wspaniałą postać.

Powróciłem tego samego wieczora do Śremu, gdzie zabrałem się do zwykłej pracy. Żyliśmy tam rzeczywiście jak na odludnej wyspie, którą ze światem łączyła tylko „Gazeta Poznańska”, przychodząca — o ile pamiętam — dwa razy tygodniowo. Jedyną pociechą było szybko postępujące wyrabianie się naszych rekrutów i wzrastające ich zaufanie do oficerów. Dnie mijały bardzo szybko. Upłynął właśnie miesiąc i dzień od chwili naszego wejścia do Poznania, kiedy otrzymałem rozkaz powrotu do pułku, który szedł w kierunku Wisły. Wyjechałem natychmiast, śpiesząc przez Poznań, Trzemeszno, Kwieciszewo i Strzelno, żeby tam odwiedzić choć na jeden dzień rodziców. Wrażenie, jakiego doznałem po tak długiej niebytności, nie było wcale radosne.

System kontynentalny — nie mówiąc już o ciągłych przemarszach wojsk francuskich w 1806 — 7 roku, o pomorze była i o braku paszy — obniżył tak cenę zboża, że opłacało ono zaledwie koszty produkcji. Zaraza na bydło, wielkie pożary sprawiły dużo szkody, a tymczasem nastąpiły nowe przemarsze wojsk. Na krótko przed moim przyjazdem stał u moich rodziców marszałek Ney z całym sztabem; Wirtemberski następca tronu również parę dni i nocy u nich przepędził; jeden batalion wojska biwakował na obszernym dziedzińcu. Nieskończone kolumny taborów pozabierały wszystko, wycisnęły

133

resztki paszy, konie robocze dzień i noc zabierano do podwód i rozporządzano się, jakby w kraju nieprzyjacielskim. Pomiędzy Tudelą a Saragossą widziało się to samo.

Moi przyjęli mnie ze łzami.

— Lepsze czasy pamiętasz tutaj, mój synu! — powiedział ojciec. — Dziś jesteś w domu nędzarzy.

Nie skończyły się jeszcze powitania, kiedy przyniesiono wiadomość, że na jednym z folwarków wojsko zabrało wszystko z pola i ze stodół, nie zostawiając nic, czemby można wyżywić konie. Dowódca kolumny, do którego pojechałem natychmiast, usprawiedliwiał się tem, że ma puste magazyny — ale że za wszystko zapłaci bonami — że odpowiada przed cesarzem za dostawę środków żywności; że musi — może — i będzie zabierał potrzebny mu furaz — przyczem będzie ściśle pilnował się przepisów. I tak też uczynił. Mogę śmiało powiedzieć, że 48 godzin, które przepędziłem w domu rodziców, były dla mnie istną męczarnią. Widziałem wszędzie zmartwienia i biedę, a chociaż wszystko to, co się działo, robione było w prawnej formie, tem trudniejsze było do znoszenia. Wziąłem sobie z naszej — tak dawniej pięknej stadniny — dobrego konia, zaopatrzyłem się w co było można i po bolesnem pożegnaniu z rodzicami odjechałem — odprowadzony przez brata do Torunia, gdzie przyjechaliśmy jeszcze w piękny i pogodny czas. Cudowny zachód słońca tak zachwycił mojego brata, starszego odemnie o sześć lat, że zadeklamował mi ustęp z „Fausta”, zaczynający się od słów:

„Spojrzyj, jak, w blaskach zachodzącego słońca”.

Nie znałem wtedy jeszcze „Fausta”, bo Goethe, z wyjątkiem „Wertera”, „Hermana i Doroty” i kilku poezyi, znany był tylko uczonym. Zachwycił mnie ustęp deklamowany przez brata i chciałem go sobie zapisać. Ale brat powiedział mi, że na pierwszym noclegu, który miałem spędzić w domu człowieka

134

zaprzyjaźnionego z ojcem, zastanę „Fausta” u domowego nauczyciela.

Ponieważ była obawa powracać potem przez most z końmi, zostawiliśmy je z tej strony mostu pod opieką, straży, którą wzięliśmy z sobą. Ja sam pojechałem do miasta i z wielką radością zastałem tam porucznika Gordona z naszego pułku, który tu pozostał z głównymi bagażami pułkowymi. Od niego dowiedziałem się o marszrucie pułku aż do Gombina, i o wszystkim, co zaszło od chwili naszego wyjazdu z Sedanu.

Napoleon w Toruniu zamieszkał w dawnej poczcie, w tym samym lokalu, który później zajmował król pruski, kiedy po objęciu napowrót w posiadanie tego kraju pierwszy raz przyjechał do Poznania. Pułkownik Malczewski, który po wzięciu Smoleńska, otrzymał dowództwo naszego pułku — był wtedy przy sztabie marszałka Berthiera i jako oficer „*du jour*” został na ten dzień przeznaczony do cesarskiego sztabu w charakterze oficera ordynansowego i z innymi oficerami będącymi na służbie siedział w cesarskim przedpokoj. Opowiadał on, że oficerowie, zmęczeni i osłabieni, siedzieli po kątach, i jeden tylko generał Monton leżał na materacu. Nagle, o 1-iej w nocy, usłyszeli kroki cesarza, przechadzającego się po pokoju, a potem niespodziewanie zaśpiewał on tę strofę rewolucyjnej pieśni:

„*Et du nord au midi la trompette guerrière*

„*A sonné l'heure du combat —*

„*Tremblez ennemis de la France!*”

Potem wszystko ucichło — nie było już słycać kroków cesarza, ani żadnego ruchu, ani śladu życia.

10-go czerwca o świcie — pożegnawszy się poprzedniego wieczora z bratem — wyruszyłem w dalszą drogę z Gordonem.

— No, i cóż? — zapytałem, gdyśmy zostawili już za sobą pewną przestrzeń — jakże wróżysz co do tej wojny?

135

— Jeżeli mam prawdę powiedzieć, to zdaje mi się, że ten stary czarnoksiężnik Razowski miał zupełną słuszność. Nie można sobie wyobrazić takiego gospodarstwa, jakie teraz zapanowało w armii. Wszystko jest w rozprzężeniu, każdy robi co chce, bierze z kąd się da, na całej linii pochodu wojsk widać najzupełniejsze rozpuszczenie. Jeżeli tak dalej pójdzie, to w końcu pozjadamy jedni drugich, jak wygłodzone szczury. Mam codziennie sposobność przekonać się o tem, i o mało, że nie pęknę ze złości. Wszystkie narodowości — dodał na zakończenie — dotrzymują sobie kroku. Francuzi, Włosi, Wirtemberczycy, Badeńczycy, Bawarowie — nawet sami Polacy — idą z sobą o lepsze. Cesarz chyba musi być ślepy, bo inaczej nie mógłby i nie chciałby tego ścierpieć.

Mogłem tylko potwierdzić zdanie kolegi i opowiedziałem mu, co zastałem w domu rodziców. W godzinę potem rozstaliśmy się, mając spotkać się znowu w Wilnie. Przez Golub dojechałem do Brodnicy 11-go. Tam stanąłem kwaterą u nadleśnego, dobrego znajomego rodziców. Przyjęto mnie gościnnie, i tam miałem sposobność przeczytać „Fausta,” po raz pierwszy w życiu. Niektóre ustępy bardziej zajmujące, szczególnie zachód słońca, przepisałem i uczyłem się ich na pamięć podczas drogi. Dzięki dobrej pamięci, nauczyłem się wszystkiego jeszcze zanim dojechałem do pułku. Wieczorem wyszedłem na przechadzkę z rodziną nadleśnego, rozmawialiśmy naturalnie o tem, co się działo tu i w całej okolicy, a nadleśny, uczciwy człowiek, który sam odbywał kampanię we Francji, upewniał, że wojska nieprzyjacielskie nie postępowały tak w Szampanii, jak tu Francuzi, jako przyjaciele. Żona nadleśnego dodała jeszcze, że lata miną, zanim dźwignie się i odzyska to, co zostało zniszczone i stracone. Ale jednak upewniała, że sama należy jeszcze do najszcześniejszych. Jadąc drogą, którą szedł pułk, przybyłem

136

12-go po forsownej jeździe do Ostrudy. Ale byłem tak zmęczony, że nie ruszyłem się z mojej kwatery i obejrzałem tylko miejsce, gdzie przebywał cesarz po bitwie pod Iławem. Na nieszczęście, zachorował tu mój koń i dlatego nazajutrz zdołałem dojechać zaledwie do Morongi, gdzie zastałem już trzeci pułk naszej dywizji. Zmuszony byłem pozostawić tu z wielkim żalem mojego konia,

którego nigdy już nie zobaczyłem. Z furyerem dojechałem do Liebstadtu, gdzie zastałem mój pułk. Warunki, w jakich zobaczyliśmy się po blisko trzymiesięcznym rozłączeniu, były bardzo zmienione. Prawie wszyscy pochodzący z Wielkopolski mieli złe wiadomości z domu, a w pułku zdarzyło się kilka dezercyj, czego nie było już od paru lat. Wszędzie panował niedostatek i bieda. Żywność była nic warta i w niedostatecznej ilości, drogi obrzydliwe, gorąco nieznośne, kwatery nędzne z powodu przechodzenia licznych wojsk.

Przez Bartenstein, Licbark (16), Gerdawy (17), Jurgajce (18), doszliśmy 19-go do Insterburga. Byliśmy na wszystkich postojach źle żywieni, magazyny były niedostatecznie zaopatrzone, a często żywność nadchodziła tak późno, że o gotowaniu prawie nie można było myśleć. Nie brakowało też nadużyć różnego rodzaju. Pociągało to za sobą tysiączne przykrości, którym rzadko, a często nawet wcale niepodobna było zaradzić. Wtedy już rojiło się wszędzie od niekarnych, wałęsających się i nic nie szanujących żołnierzy. W Wystruciu, wbrew oczekiwaniu, dostaliśmy znośne kwatery. Wprawdzie dziesięciu oficerów stało w jednym pokoju, ale mogliśmy za niewielką opłatą dostać rzeczy najkonieczniejsze i mieliśmy obfitość słomy, na której ci, dla których zabrakło łóżek, przespali się wygodnie. Przyjemnie nam też było, że tu nam naznaczono dniówkę. W Wystruciu samym panował porządek, żywności wydzielano dostateczną ilość, władze były

137

na miejscu i czuwały. Czy dlatego, że żyzna okolica ułatwiała dostawę żywności, a dobre tamtejsze konie zapewniały prędkość i pewny dowóz, nie widziałem tu nic, coby wzmogło przykre wrażenie otrzymane gdzieindziej. Zaczęliśmy wszyscy mieć nadzieję, że gdy wojsko zacznie się koncentrować, uda się w niem zaprowadzić jakiś porządek. Ale wkrótce mieliśmy się przekonać, że jesteśmy w błędzie.

23-go poszliśmy do Wierzbołowa. Pochód był uciążliwy i pośpieszny. Przybyliśmy późno; ułożyliśmy się biwakiem i dziwiliśmy niemało, że cały dzień następny pozostawiono nas na miejscu. Czas był niezupełnie pogodny, żywność zła, miejsce biwaku wysoce niewygodne. Łąki, na których staliśmy, oddziaływały tak źle na ludzi, że wielu naszych żołnierzy, których przez kilka lat palec nawet nie zabolął, skarżyło się nazajutrz na dreszcze i bóle reumatyczne, co było przestrożą, żeby na drugi raz ostrożniej wybierać miejsce na biwak, unikać łąki rozmieszczając się raczej na pochyłościach pagórków.

24-go weszliśmy do Wiłkowyszek. Rozumie się, że i tam stanęliśmy na biwak, ale po drodze nie spotykaliśmy żadnych wojsk. Mówiono, że w tem właśnie miasteczku cesarz miał główną kwaterę; opowiadano o jakiejś proklamacyi, której jednak nikt nie widział. Później dopiero dowiedzieliśmy się, że tu został wydany ów sławny rozkaz dzienny, oznajmiający rozpoczęcie drugiej wojny polskiej.

Około 3-ej po południu zawezwwał mnie do siebie najstarszy z oficerów sztabu — nie pułkownik, o którym mówiono, że został wysłany w jakiejś *mission particuliere*. Otrzymałem polecenie udania się do lasu między Wiłkowyszkami a Maryampolem z 50-u ludźmi z mojej kampanii i przeszukanie go starannie. Miało tam być stado bydła, które rozkazano mi zabrać i dostawić do *Commissionaire des guerres de la division*. Bydło to miało aż do Wilna stanowić

138

podstawę *des vivres sur pied* dla całej dywizji. Pomimo, że ten rozkaz był dla mnie bardzo niemiły, nie mogłem się uchylić od jego wypełnienia. Wyruszyłem zaraz i dosyć późno przybyłem na wskazane miejsce. Przepędziwszy noc bez rozpalania ognia, z pierwszym promieniem słońca rozpocząłem patrolowanie. Po godzinie poszukiwań znaleźliśmy rzeczywiście stado, złożone z jakich pięćdziesięciu sztuk pod strażą jednej tylko młodej i bardzo ładnej dziewczyny. Zdziwiła się nie mało, widząc, że zamierzamy uprowadzić jej bydło. Wpadła w rozpacz, krzyczała, załamywała ręce — i raz po raz padała mi do nóg. Ale widząc, że to nic nie pomaga, zaczęła błagać, żebym przynajmniej pozostawił dwie krowy, należące do jej rodziców, co uczyniwszy — dumny jak Scypio, gdy nieprzyjacielskiemu księciu oddał bez okupu jego oblubienicę — powróciłem do Wiłkowyszek.

Przybyłem tam koło 10-ej rano, ale zastałem miasteczko opustoszone, z wyjątkiem garstki spóźnionych i jednego ambulansu. Chciałem przejść przez miasto nie zatrzymując się, gdy mnie zaczepił ksiądz miejscowy z jakimś panem, zapytując, czy nie

zechcę obejrzeć kwatery, którą zajmował cesarz i zjeść przekąski przy tym samym stole, przy którym on jadał. Przyjąłem chętnie propozycję. Kazałem konwojowi posuwać się z wolna, a sam poszedłem z księdzem, w którego domu cesarz stał kwatery.

Dom stał w ładnym miejscu, na wyniosłości, i widok z niego był rozległy — dwa obok siebie położone, niskie, wybielone pokoiki, a z drugiej strony sieni trzeci jeszcze — stanowiły apartament cesarski, ksiądz pokazał mi, gdzie stało łóżko, gdzie stał stół

do pisania, gdzie gotownia, gdzie była umieszczona wanna i gdzie cesarz jadał. Opowiadał przytem, co mu cesarz mówił, a co niezawodnie nie było prawdą, jak się pytał o jego dochody i pracę.

139

Gdy ksiądz skończył opowiadanie, przemówił jego towarzysz i wtedy dopiero okazało się, o co chodzi. Przedstawił się jako właściciel bydła, zabranego przez nas i prosił, ażeby mu je zwrócić. Ale objaśniłem go, że działałem tylko podług otrzymanego rozkazu i muszę stado odstawić do rąk władzy, przyczem poleciłem mu, ażeby pojechał ze mną i zażądał w obozie wydania sobie bonów za zabrane bydło. Przekonało go to zupełnie i w końcu prosił już tylko, żeby mu pozostawić przynajmniej stadnika. Że zaś mięso stadników jest niesmaczne i łykowate, przystałem na jego żądanie pod warunkiem, że dadzą to żołnierzom pewną ilość wódki, jako wynagrodzenie za ich trudy. Zgodził się chętnie. Ksiądz poczęstował mnie okazałym kawałkiem chleba z masłem, pochodzących z kuchni cesarskiej, a zato, że jestem dobrym, pełnym ludzkości człowiekiem, uczcił mnie ofiarowaniem dwóch opieczutowanych butelek likieru, które miał dostać od kucharza cesarskiego. W ten sposób zakończyły się układy z obustronnem zadowoleniem. Zabrawszy właściciela stada, pośpieszyłem za oddziałem, który wnet dogoniliśmy, kazałem rozdać wódkę, oddałem stadnika ludziom, których właściciel przyprowadził z sobą i ruszyłem w dalszy pochód. Przez Pilwiszki doszliśmy późno na brzegi rzeki, gdzie dywizya rozłożyła się na biwak wśród lasu i gdzie odstawiłem szlachcica i jego stado do komisarza wojennego. Byłem, jak i inni ludzie, bardzo zmęczony, ale że dla nas przygotowano już jedzenie, posilaliśmy się i pokrzepili zaraz. Wieczorem oficerowie zebrali się u adjutanta-majora, ponieważ miałem im przedstawić coś ważnego. Wszyscy byli ciekawi co to będzie i przyjęli głośnie „hurra”, wiadomość, że napijemy się wódki z piwnic cesarskich. Obie butelki zostały powierzone najlepszemu znawcy do opieczutowania i odkorkowania. Dokonał tego z rozlicznymi ceremoniami,

140

nalął, ale któż zdoła opisać moje zdumienie kiedy po skosztowaniu zawołał:

— Pfe! to woda!

I rzeczywiście była to woda, zafarbowana woda. Kto na tem najgorzej wyszedł, to ja: śmieli się ze mnie wszyscy, ale dowódca batalionu, który nadszedł na to, przyszedł mi w pomoc, ofiarując nam na pociechę butelkę araku.

#### XXXIV.

Przeście Niemna. — Pierwszy biwak na terytorium rosyjskiem pod Kownem. — Pochód do Wilna. — Zakręt. — Rabin. — Rozstanie się z moją kompanią. — Mińsk. — Borysów. — Niedźwiedzie. — Gęsi.

Widziałem dużo obrazów, przedstawiających przeście Niemna. Gdyby na nich można było przedstawić połączony z tem zamęt, stanowiłyby pewną naukę. Zamęt ten był niesłychany; wszyscy pchali się na most, każdy chciał wprowadzić swoje ekwipaże; żandarmi nie pozwalali; objawiło się nieposłuszeństwo i oporność. Ujawniło się to szczególnie wtedy, kiedy oddziały wojska w ścisłym szyku przechodziły przez most, a za nimi miały iść ich bagaże. Do tego nie chciały dopuścić głównie parki artyleryjskie, których oficerowie byli na moście, co wywoływało sprzeczki i kłótnie, a w nich przewagę miał ten, czyi ludzie i ekwipaże pierwsi byli.

Dzieje się tu prawie to samo, co przy przejściu przez rzekę Ebro (podczas pierwszego oblężenia Saragossy), brak tylko generała Lefevra, ażeby zaprowadził porządek — zrobił uwagę jeden ze starszych oficerów.

Jenerał ten stał wówczas na moście i każdemu, którego stopień nie upoważniał do trzymania koni, zabierał je i kazał oddawać artylerji. Oczyścił

141

w ten sposób pochód z niezliczonej masy koni, które w wojsku były zawadą, a dla artylerji korzyścią. Gdyby tu zaprowadzono to samo, byłibyśmy powlekli do Rosji mniej o jakieś 8— 10,000 koni.

Przeszliśmy przez rzekę między 2-ą — 3-ą po południu. Nie zrobiła ona wielkiego wrażenia na nas.

— Więc to taki jest Niemen! — rozlegało się wszędzie głośnie i lekceważąco przy wchodzeniu na most łyżwowy.

Było to jedyne powitanie tej rzeki, która dotąd stanowiła główną granicę pomiędzy dwiema nieprzyjaznymi potęgami.

Kowno, małe, całkowicie prawie z drzewa zbudowane miasteczko, opuścili wszyscy urzędnicy rosyjscy, ale i dawnych mieszkańców mało było widać. Nawet szynki, które w chwili naszego wejścia były otwarte, pozamykano później. Kowno było środkowym punktem handlu zamiennego i zbożowego dla Polski, Litwy i Prus, i często obie rzeki — Wilia i Niemen — pokryte były na milę masą statków. Najazd szwedzki za Jana Kazimierza położył koniec tej świetności, i żadne przywileje, żadne wysiłki nie zdołały już podnieść miasta po rabunku i spustoszeniu w roku 1656. Później wielkie pożary zniszczyły je do reszty. W czasach swojej świetności liczyło ono 30,000 mieszkańców, a podczas naszego pobytu — zaledwie 6,000. Jego kościoły i dawne zwaliska świadczyły o minionej świetności. Dla Polaków miejsce to jest pamiętne, bo ztąd rozeszła się sława Mickiewicza — o czem w czasie naszego pochodu do Rosji nikomu jeszcze się nie śniło.

Rozłożyliśmy się biwakiem o pół mili od miasta, w lesie. Na nieszczęście, już tego samego dnia postradaliśmy z naszego taboru wóz naładowany chlebem i kilka sztuk bydła. Niepodobna było wyśledzić, kto je zabrał.

142

Dnia 27-go poszliśmy do Rumszyszek i biwakowaliśmy przed tem miasteczkiem. Nigdzie ani jednego człowieka! Nędzna wioska w pobliżu została prawie zupełnie zburzona; biwakujące tu przed nami wojska zużyły dla siebie cały materiał. Mieszkańcy jej ukryli się w sąsiednim lesie.

Dnia 28-go mieliśmy nieskończenie uciążliwy pochód. Deszcz lał strumieniami, zimno było przejmujące. Wszystko naokoło było zrabowane i spustoszone, wieś, przez które przechodziliśmy, zrujnowane doszczętnie. Pod Średnikami, gdzie mieliśmy biwak, jak okiem było sięgnąć widać było wszędzie pościnane zboża na paszę dla koni i na osłonę baraków żołnierskich. Żołnierze młodej gwardyi, która szła przed nami, leżeli pokotem na gościńcu. Nasi ludzie znosili wybornie trudy pochodu. W chleb i mięso byliśmy dostatecznie zaopatrzeni, tylko brakowało prawie zupełnie wódki, koniecznej w podobnych warunkach. Deszcz lał nieustannie lodowato zimny. Gościniec zasłany był padłemi końmi.

Dnia 29-go biwakowaliśmy na leśnej polance, zdaleka od miast. Musieliśmy ze znacznej odległości sprowadzać wodę do gotowania. Deszcz rozmiękczył ziemię, a że nie mieliśmy słomy, przepędziliśmy noc bezsenną. Jeżeli tak wielkie masy idą ciasnym gościńcem, przez to samo już trzeba się wyrzec wszystkich dogodności. Żołnierze rozumieli to dobrze i byli niezadowoleni, że nie idą w przedniej straży.

— Tam przynajmniej można się bić — mówili — a tu człowiek cierpi nędzę, nie widząc nawet nieprzyjaciela.

Dnia 30-go byliśmy już niedaleko od Wilna. Przed nami i naokoło kraj wyglądał, jak pustynia; całe wioski poznikały; na biwakach pojawiali się biedacy, proszący o kawałek chleba. Opowiadali, użalając się, o nieporządkach i rabunkach, praktykowanych wszędzie, co robiło smutne wrażenie na naszych ludziach.

143

Deszcz lał bezustanku, a zimno było takie, że kostnieliśmy. W tym pochodzie zobaczyłem pierwsze trupy w tej kampanii, w której dotąd tylko niekiedy słychać było pojedyncze wystrzały działowe i to w znacznym oddaleniu. Leżały tu ciała dwóch żołnierzy z młodej gwardyi, którzy zapewne byli pijani i upadłszy, utonęli w błocie głębokiem. Konie tysiącami leżały na drodze.

Dnia 30-go, posunąwszy się trochę dalej, doszliśmy na biwak do Zakrętu, majątku generała Bennigsen. Zamek, stojący w ogrodzie, musiał być wspaniały, ale wojska, które tu przed nami obozowały, zniszczyły wszystko. Niższe piętro, zajęte przez władze administracyjne, nie miało drzwi, ani okien, wyższe roilo się od oficerów rozmaitej broni. Jakiś człowiek z Wilna opowiadał, że przed kilku dniami był tu bał, na którym był cesarz, wyżsi oficerowie i zgromadzona szlachta z całej prowincyi, a Ogiński wspomina w swych Pamiętnikach, że cesarz Aleksander był tak swobodny i wesoły, jakby w czasach najspokojniejszych.

Teraz wszystko tu było spustoszone, inspekty zrujnowane, a na miejscu naszego biwaku ziemia zasypana szkłem i doniczkami od kwiatów. Słoma, którą znaleźliśmy na miejscach innych biwaków, była nawskróś przemoczona, bo deszcz ulewny ciągle padał. Żołnierze pobudowali baraki ze wszystkiego, co im wpadło w ręce, szczególnie z okien inspektowych i ponakrywali je słomą mokrą. Ja sam znalazłem schronienie w takim domku przezroczystym, i uważałem się za szczęśliwego, dostawszy snopek słomy suchej. Po zjedzeniu posiłku poszedłem spać. Oparłem głowę na tornistrze, nakryłem się płaszczem przemokniętym i zasnąłem zaraz. Ale mocny deszcz padał przez całą noc i kiedyś się obudziłem rano, leżałem w istnej kałuży. Deszcz był tak gwałtowny, że trudno było podtrzymać ogień; obóz przedstawiał gliniastą bezdęń, w którą ludzie zapadali

144

za każdym krokiem, położenie nie było ponętne, a brak żywności powiększał jeszcze jego czarne strony. Kiedy wydano rozkaz gotowania, kilku oficerów, zebrawszy ludzi, popędziło do Wilna, żeby tam zdobyć żywność i spirytualia. Na szczęście, powrócili niezadługo zaopatrzeni w wino, miód, biały chleb, kiełbasę i t. p., a że deszcz wreszcie przestał padać i na niebie zajaśniało kilka promieni słońca, wszyscy się uradowali. Zaraz zaczęliśmy rozstawiać broń, czyścić ubranie.

Po kilku godzinach niebo znowu pokryło się czarnymi chmurami. Ale gotowanie było już skończone i naczynia kuchenne pomyte, kiedy przyszedł rozkaz przygotowania się do przeglądu, który miał odbyć pułkownik, bo była wtedy przyjęta zasada, żeby w podobnych okolicznościach utrzymywać w wojsku jeszcze większy porządek i często robić przeglądy. Bez zaprzeczenia była to bardzo pożyteczna zasada. Tymczasem rozległo się nagle wezwanie do broni, wystąpiliśmy z pośpiechem i wyruszyliśmy zaraz w pochód. Nieprzyjaciel, jak mówiono, nadciąga i zapewne wkrótce przyjdzie do bitwy. Zaledwie wzięliśmy broń do ręki, deszcz zaczął padać nanowo. Poszliśmy do Wilna zakreślając półkole; pagórkowaty kraj powiększał trudności pochodu, a grunt był tak rozmokły, że ciężko było posuwać się po nim. Nakoniec zatrzymaliśmy się w Jedlinie, na wschód od gościńca wileńskiego i zajęliśmy tam wzgórze. Deszcz padał tak wielki, że nie było nic widać na znaczną odległość, niebo było posępne i zachmurzone, cała atmosfera zamglona. Podczas deszczu ukazał się cesarz. Rondo z tyłu małego, dobrze znanego kapelusika, opadło na dół, woda spływała z niego strumieniami na szary surdut, który cesarz miał na sobie. Napoleon jechał na niedużym szpaku, trzymał w rękę, jak zwykle, małą *badine*, od czasu do czasu uderzał nią po bucie i przykładał do oczu lunetę, przez którą zapewne niewiele mógł zobaczyć.

145

— *Mais c'est une pluie terrible* — mówił do marszałka Berthiera, który zasępiony jechał obok niego.

Przemówiwszy kilka słów do generała Claparède, pojechał dalej. Dowiedziałem się potem, że był przy wszystkich oddziałach i każdemu nazaczył stanowisko. Pozostawszy na naszym wzgórzu prawie do samego wieczora, zajęliśmy potem pozycję na drodze do Oszmiany; skorzystaliśmy tam z baraków zajmowanych przedtem przez Rosyan, a które były bardzo dobrze utrzymane. Mnóstwo drobiazgów, jakie zwykle zabierają z sobą żołnierze, rachunki i notatniki, pozostawione w tych barakach, świadczyły, że poprzedni mieszkańcy opuszczali je z pośpiechem. Byliśmy szczęśliwi, że możemy się tam schronić. Ale nazajutrz przekonaliśmy się, że jesteśmy w dodatku pokryci mnóstwem dokuczliwych żyjątek, które tam znajdowały się w wielkiej obfitości.

Jak wiadomo, popłoch w stolicy dawnego W. Księstwa Litewskiego powstał skutkiem mylnych wiadomości o pochodzie na Wilno armii rosyjskiej, korpusu Dochtorowa, a może nawet i Bagrationa, wtenczas, gdy główne siły francuskie wyruszyły już były

w kierunku Dźwiny. Oddziały tych wojsk, które usiłowały utrzymać łączność z armią pod rozkazami Barclaya i z których ujęto kilku jeńców, mogły dać łatwo powód do tego mniemania. Przypisano to przesadzonym raportom generałów Pajola i Bordesoula. W każdym razie, byliśmy w zupełnej niewiadomości, co się dzieje na lewym skrzydle armii.

Gdyby było w tym dniu przyszło do spotkania pod Wilnem, byłyby bardzo utrudnione ruchy wojska, bo dla artylerii i dla jazdy grunt był niemożliwy do przebycia, a nawet piechota mogła tylko wlec się powoli. Byłoby się pewnie powtórzyło coś nakształt bitwy pod Pułtuskim. Na szczęście, od 1-go wypogodziło się; przem oczeni nawskroś od

146

ośmiu dni, jak gdybyśmy leżeli w wodzie, mogliśmy powydobywać nasze rzeczy z tłomoczków, wysuszyć je i samym nakoniec wyschnie, co było bardzo przyjemnem uczuciem po tych dniach nieustannego moknięcia. Każdy promyczek słońca witaliśmy z radością.

Wilno, liczące wtedy 30,000 mieszkańców, było miastem posepnem, o staroświeckim wyglądzie, nie obfitującym w piękne budowle, z mnóstwem obszernych kościołów, których było, o ile sobie przypominam, 30 katolickich, 16 wschodniego obrządku, jeden kalwiński, jeden protestancki i jeden meczet.

Nie mogę powiedzieć, żeby nas przyjmowano zbyt uprzejmie. Wojska, które przed nami przeszły, zabrały wszystkie honory, należne oswobodzicielom ojczyzny i najlepsze kąski również. Że przy tem mocno ucierpieli biedni oswobodzeni, rozumie się samo z siebie.

Zrobiliśmy tu znajomość z pewnym oficerem dawnej gwardii litewskiej, kalwinem, który podczas szturm Pragi został raniony na samym początku i przeniesiony do Warszawy. Opowiadał nam, że dowódca jego pułku, Grabowski, ciężko chory, kazał się zanieść na plac boju i tam na czele pułku zginął śmiercią bohaterską. Cały pułk, z wyjątkiem rannych, odesłanych do Warszawy, padł na polu walki. Grabowski sam był też protestantem, tak jak większa część oficerów i żołnierzy tego walecznego i bohaterskiego pułku. Nasz przewodnik, człowiek bardzo wykształcony i miły, został odwołany przez posłańca, ponieważ Francuzi zrabowali jego wieś i dom mieszkalny.

— Zdaje się — powiedział — że nigdy nie wyjdziemy z tych rabunków i zawsze tak się zdarza, że nasi mniemani przyjaciele i obrońcy doprowadzają nas do nędzy.

Podczas naszych z nim wycieczek spotykaliśmy

147

co chwila żołnierzy, pozwalających sobie na różne gwałty względem mieszkańców.

Następnego rana, 4-go lipca, dostaliśmy wcześniej rozkaz przygotowania się do wielkiej parady. Mówiono, że cesarz nasz pułk zaliczy do gwardii. W każdym razie mieliśmy się przyłożyć do zelektryzowania Litwinów. Zaledwie jednak skończyliśmy przygotowania do parady, nadszedł rozkaz ugotowania jedzenia i natychmiastowego wymarszu. W południe opuściliśmy nasze przedmieście i poszliśmy do Miednik. Przez lasy, piaski i bagna powlekliśmy się tam już bardzo późno. Biwakowaliśmy tam na skrawku lesistego gruntu, oddalonego znacznie od wody. Pochód był bardzo męczący i dużo u nas było żołnierzy opóźnionych w pochodzie, co tworzyło zupełnie nowe zjawisko.

Przykład, dawany przez armię francuską, zaczynał oddziaływać i na naszych ludzi, więzy karności nie rozpadły się jeszcze, ale stały się, że tak powiem, elastyczne; parne gorąco, które panowało we dnie, a miejscami znaczne przestrzenie rozmokłego gruntu, prócz tego marsz 4½-milowy, złożyły się na to, że porządek zachował się trochę. 5-go lipca doszliśmy do Oszmiany. Pochód był nujący, słońce z tropikalną siłą paliło w gęstych lasach jodłowych. Piasek był głęboki, wody mało. Rozłożyliśmy się biwakiem niedaleko od miasta, maruderzy jedni z niego wyszli, a drudzy zajęli ich miejsca, w każdym domu było ich pełno.

Szkodliwy wpływ rozprężenia karności w wojsku, ukazującej się na każdym kroku, widoczny już był wtedy dla doświadczonych oczu. Pomimo, że nasza dywizja szła sama, z jednej strony utrzymując połączenie z wojskami w Wilnie, z drugiej z przednią strażą marszałka Davousta, zastawialiśmy wszędzie bagaże, maruderów, włóczęgów i to w takiej liczbie, że wsie, miasteczka, cały nawet gościniec — był nimi zasiany. Na ćwierć, nawet na pół mili,

148

nie widzieliśmy przed sobą, nic oprócz podwód z bagażami, zaprzężonych w małe, miejscowe koniki, na których maruderzy wlekli za sobą zrabowane łupy roztasowywali się w najwygodniejszych miejscach i w kompletnych obozach spożytkowywali plony swojego niegodziwego łupiestwa. Zobaczymy później, w jakich rozmiarach to zło się rozpanoszyło.

Szliśmy przez Wiszniewo, Wołczyn i Raków, kierując się ku Mińskowi. Pochód był ciągle w najwyższym stopniu uciążliwy, drogi złe. Zwykle wyruszaliśmy o 10-ej, na każdym przystanku rozstawialiśmy starannie placówki i posuwaliśmy się z największą przezornością. Niekiedy ukazywały się oddziały kozaków, z którymi zamienialiśmy kilka strzałów karabinowych. D. 6-go lipca biwakowaliśmy w gęstych lasach, w pobliżu zrabowanych wiosek. O 10-ej opuściliśmy biwak i przed południem 7-go doszliśmy do Wiszniewa. Deszcz padał niesłychany, drogi były przepaściste, pochód powolny. Miejsce biwaku pływało w wodzie, drzewa, któreśmy pościnali, nie chciały się palić. Mieszkańcy uciekli. Przemoczeni nawskroś i zgłodnieli, poszliśmy 8-go lipca przez Wołczyn do Rakowa, nędznej dziury nad rzeką Kolenką — i zajęliśmy rosyjskie baraki, które nam oddały wielką przysługę. O porządnym rozdziale żywności nie mogło być nawet mowy — znaczne jej ilości odebraliśmy maruderom; mięsa dostarczyły nam oddziały wyprawione do lasów, w których mieszkańcy pokrywali swoje bydło. Na domiar nieszczęścia, wpadliśmy tu na różne parki artylerii, które musiały się zatrzymać, ugrząsłszy na rozmiękłych, bezdennych drogach.

Mnóstwo padłych artyleryjskich koni zastąpiono miejscowymi końmi. Ale że i o te równie nie dbano, jak o własne, więc padały masami. Wyprzęgano je i pozostawiano luzem, stojące lub leżące. Zdarzało się często, że przejeżdżały po nich armaty lub wozy i dymiące wnętrzości czepiały się

149

kół. Ale nikogo to nie wzruszało. Z ludźmi niewiele lepiej się działo. Widziałem mnóstwo siedzących i leżących na drodze żołnierzy, którzy tam śmierć znaleźli. Ale nie widziałem nigdzie troskliwej, opiekuńczej ręki, któraby się nimi zajęła. Działo to niesłychanie przegnębiająco na naszych ludzi, którzy rozumieli, że dużo rzeczy mogło być lepiej. Zaledwie dwa tygodnie upłynęły od przejścia Niemna, a już wyraźne były w armii oznaki rozkładu — ze wszystkich pułków dużo ludzi pozostało w tyle — w każdej kompanii brakowało niezawodnie 15— 20 ludzi.

Opuściliśmy obóz pod Rakowem, podczas najstraszniejszego deszczu. Tu miałem złożyć dowództwo mojej kompanii dla mniejszego tymczasowo obowiązku adjutanta-majora — czynności, która nie była dla mnie bardzo przyjemna. Biedni oficerowie

ze sztabu, zmuszeni być noc i dzień na nogach — często jeździć do głównej kwatery, która mniej lub więcej bywała oddalona od biwaków — nie mieli czasu myśleć o swoich osobistych potrzebach i narażeni bywali na większe jeszcze niedostatki, niż oficerowie służący w kompaniach. Prócz tego kompania, którą dowodziłem od tak dawna i w tak różnorodnych okolicznościach, była mi droga nad wszelki wyraz, a żołnierze prawdziwie nosili mnie na rękach. Z małemi wyjątkami, byliśmy wszyscy prawie równego wieku — niebezpieczeństwa przeżyte razem połączyły nas ścisłym węzłem — znałem osobiste i rodzinne sprawy każdego z moich wołyżerów — prowadziłem korespondencję za tych, którzy czuli potrzebę utrzymywania stosunku ze swoimi. Mogę śmiało powiedzieć, że byłem powiernikiem ich cierpień i radości, prawdziwym przyjacielem każdego z moich ludzi. A przytem karność w mojej kompanii większa była, niż we wszystkich innych. Z najgłębszym żalem rozstawałem się z moją starą kompanią, którą z małemi przerwami dowodziłem od czasu jej sformowania,

150

po bitwie pod Santa Maria — a gdym się żegnał z żołnierzami, całowali mnie z płaczem w ręce i w nogi. W dalszym życiu spotkałem się tylko z jednym z tych dzielnych ludzi. Kiedy w 1848 roku podczas powstania w Poznaniu stałem z kilku kompaniami przy moście na Warcie, zbliżył się do mego konia jakiś wieśniak, pocałował mnie w kolano i powiedział:

— Panie! Dzięki niech będą Bogu, że was jeszcze widzę!

— Kto jesteś, bracie? — zapytałem. — Jak się nazywasz?

— Czy pan nie poznał Wesołowskiego? — odrzekł na to.

— Teraz cię poznaję! — zawołałem. — Na imię ci Kazimierz, szedłeś zawsze na lewym skrzydle sekcji... Ale jakże ci się powodzi, co porabiasz?

Powodziło mu się nieźle. Dałem mu trochę pieniędzy i prosiłem, żeby mnie odwiedził w Poznaniu, gdzie stałem wtedy załogą i żeby przyprowadził swoich synów, których miał dwóch. Ale nie przyszedł i prawdopodobnie zginął w zawierusze, jaka się wtedy tam rozpoczęła, albo też umarł na cholere.

9-go lipca ruszyliśmy dalej. Mówiono o ukazaniu się Rosyan, padło trochę strzałów, niby to od kozaków. Pułkownik zapytał mnie przy rannym raporcie, czy wierzę, żeby istotnie Rosyanie odważyli się wcisnąć tak między nasze kolumny i nas zaczepić?

— Czemu nie? — odpowiedziałem. — Muszą wiedzieć o tem, w jaki gorszący sposób dzieje się wszystko tutaj — mogliby zrobić doskonały interes, zabrać masę jeńców i poodbierać zrabowane rzeczy.

Po uciążliwym pochodzie przez ponure lasy, podczas ulewnego deszczu, przyszliliśmy późno po południu na lesisty pagórek, na którym zamierzaliśmy biwakować. Urządziliśmy się zaraz, wybrawszy

151

i wyciąwszy najsmolniejsze drzewa i wkrótce zapłonęły wszędzie wesołe ognie. — Mieliliśmy mięso, ale prócz tego nic. Chleb w tornistrach tak rozmókł, że można go było użyć chyba na zupełną tylko, pojedynczą sztuki, pochowane w wiadrach i kotłach, były jako tako możliwe do zjedzenia.

Tu, dopiero dogonił nasz pułk porucznik grenadierów Żórawski, mój dobry przyjaciel, który gdyśmy przyszedli nad Wisłę, wziął ośmiodniowy urlop. Podróż jego była istną odyseją — i tylko dzięki grubej zapłacie, którą skłonił kuryera do zabrania go z sobą, zdołał się dostać do Wilna. Ztamtąd zaś dwa dni szedł pieszo. Był on synem zamożnego właściciela ziemskiego i dostał od ojca bardzo pięknego konia dla siebie, a drugiego dla swego ordynansa, którego, miał z sobą. O pięć mil od majątku ojca, kiedy Żórawski wstąpił odwiedzić krewnych w sąsiedztwie, maruderzy — Wirtemberczycy czy Bawarowie — skradli konia ordynansowi i dwa dni trzeba było stracić na poszukiwaniach. Mały chłopski konik, którego Żórawski odkupił od jakiegoś żołnierza dla swojego ordynansa, nie mógł nadążyć za jego koniem, co bardzo opóźniało podróż. Brak paszy, złe pomieszczenie, a zapewne także i zła żywność tak zniszczyły jego konia, że padł mu, zanim dojechali do Kowna. Z pomocą jakiegoś polskiego właściciela dóbr dostał się szczęśliwie do Niemna. Ale tu już kończyły się wszelkie porządki — o koniach pocztowych, kwaterach, żywności — mowy nawet nie było. Wpadł w chaos, który według jego własnych słów, przechodził wszelkie możliwe pojęcie. O dwie mile od Kowna, gdy zmęczony, wyczerpany i nawskroś przemoknięty siedział nad drogą, zobaczył nadjeżdżającego kuryera, który lichemi końmi włókł się po piaskach i błotach — zaproponował mu, żeby go za sztukę złota zabrał do Wilna, na co ten przystał chętnie, rad, że będzie miał tłumacza i rodzaj eskorty i z nim

152

dopiero dostał się do starej stolicy Litwy. Gdy tam przybył, okazało się niepodobieństwem zdobyć jakiegokolwiek środka lokomocji — nawet synowie Izraela nie mogli nic na to poradzić. Nie pozostawało mu zatem nic innego, tylko odbywać pieszo dalszą podróż. Razem z tymi szelmami — jak się wyraził — maruderami i złodziejami, których całe tłumy zalegały po wsiach i miastach, doszedł 9-go lipca do lasu, a ztamtąd do naszego biwaku. Przełożeni i dowódca wysłuchali ze współczuciem opowiadania o jego przygodach — odczuwali równie żywo cierpienia kraju, przez któryśmy przechodzili, a których byli naocznymi świadkami. Tylko generał Claparède był wyższy nad to, a gdy mu się Żórawski usprawiedliwiał z przetrzymania urlopu, opowiadając, co go spotkało, odpowiedział mu krótko:

— *Tout le monde me chante les mêmes choses, et pourtant on trouve à peu de quoi se rassasier dans ce vilain pays.*

Oficerowie, którzy w Niemczech i w Hiszpanii służyli pod rozkazem Claparèda, opowiadali nam jeszcze w Paryżu, że to kolega bez serca, a teraz codzień mieliśmy sposobność przekonać się o tem.

Pod wieczór generał kazał wystąpić całej dywizji i rachował żołnierzy we wszystkich kompaniach. Był niesłychanie rozgniewany tak znacznym ubytkiem ludzi od czasu wymarszu z Wilna. Ale generał Chłopiccki powiedział mu wprost, że *marches de nuit* — brak żywności — ogołocenie biwaków z najkonieczniejszych rzeczy — sam nawet wybór miejsc biwakowania, oddalonych od wody i miasteczek — ciągle sypianie na rozmokłej ziemi — tłumaczyły zupełnie ten objaw, a zły przykład, jaki wojsko miało przed sobą co dzień — nawet co godzina — głównie przyczyniał się do zdemoralizowania tych wojsk, które dotąd przez wszystkich dowódców uważane były jako „*modèle de discipline et de subordination.*” Dwie wielkie bitwy, dodał na zakończenie

153

Chłopi, nie spowodowałyby tak wielkich strat, jak te, które nastąpiły skutkiem braku karność i niedostatku pożywienia od chwili przejścia Niemna. Jenerał Claparède bardzo zwykle porywczy, nie odpowiedział ani słowa — ale znać było po jego wzburzeniu, ile go kosztowało przełknięcie tych słów prawdy.

Po skończonem gotowaniu 10-go wyruszyliśmy do Mińska, gdzie rozłożyliśmy się obozem. Pozostaliśmy tam do 13-go, a był wielki czas na to, żeby odpocząć przez kilka dni.

Marszałek Davoust, który — jak wiadomo — miał rozkaz przecięcia odwrotu armii Bagrationa — (2-jej armii zachodniej) podczas kiedy król Hieronim miał ją powstrzymać, doszedł do Mińska w takim stanie, że z trudnością zdołałby odeprzeć natarcie rosyjskiego korpusu, liczebnie znacznie odeń silniejszego, tem bardziej, że liczna konnica nieprzyjaciela, która pod Mirem tak znaczną odniosła przewagę nad przednią strażą Hieronima, przeszkodziłaby królowi Westfalskiemu podążyć na pomoc marszałkowi Davoustowi. Rozumiał to dobrze marszałek i dlatego zatrzymał się aż do 14-go z głównymi siłami swego korpusu w Mińsku i okolicy.

Mińsk jest jednym z największych miast w tych stronach, był dawniej stolicą województwa, a potem gubernii. Miał on ze swemi dwunastoma kościołami wygląd i cechę zamożnego, polskiego miasta. Były tam wielkie, dobrze zaopatrzone magazyny żywności, oddalone trochę od miasta. Młody jeden mieszczanin opowiadał mi, że Rosyanie, obawiając się ludności, nie popalili tych maga-zynów. Przydały się nam one bardzo i byliśmy dzięki temu dobrze żywieni, a że i pogoda się poprawiła, ludzie wnet wypoczęli. W katedrze odbyło się nabożeństwo dziękczynne z powodu oswoobodzenia Litwy. Wszystkie pułki musiały posłać na nie deputacje.

154

Celebrował dostojnik kościelny, a po mszy kwestował dla biednych jenerał Grouchy w towarzystwie jakiejś polskiej damy. W czasie nabożeństwa nadeszła wiadomość, że kirasyerzy włamali się do składów sukna i zrabowali je. Kilku adyutantów marszałka wyszło natychmiast z kościoła, stanęło na czele patrolów i doprowadziło wszystko do porządku. Sąd wojenny zaraz osądził winnych, z których kilku rozstrzelano nazajutrz.

Korpus armii zatrzymał się tu przez kilka dni, raz dlatego, żeby zbadać, gdzie jest korpus Bagrationa, któremu miano przeciąć odwrot, a powtórnie dla zaprowadzenia jakiegokolwiek porządku. Gdyby rosyjska armia uderzyła była na francuski korpus zaraz po jego przybyciu, a nawet następnego dnia, byłaby pobiła Francuzów. Zapewne energia i zdolności wojskowe marszałka Davousta utrudniałyby zadanie Rosyanom i starcie byłoby gwałtowne; ale wojska jego były wtedy zanadto rozproszone, zanadto wyczerpane, żeby mogły z powodzeniem odważyć się na bitwę. Lecz Bagration nie myślał o pobiciu francuskich sił w tej okolicy, pomimo, że go napędzały do tego cesarskie rozkazy, a Barclay nalegająco na niego nastawał, żeby tą drogą dokonać połączenia obu armii rosyjskich.

12-go odbyła się w Mińsku wspaniała parada. Rozprężenie w wojskach, szczególnie w nowych pułkach, sformowanych w Północnych Niemczech, doszło do tego stopnia, że np. z jednego pułku, należącego do dywizji Compan, a składającego się z czterech batalionów, zaledwie paruset ludzi przyszło do Mińska. Marszałek był tem zmartwiony do najwyższego stopnia, miał do oficerów piorunującą przemowę, odebrał dowództwo pułkownikowi i rozkazał pułkowi przedelfilować z kolbami do góry przed frontem całej dywizji. Marszałek, który po tem, co się stało, mógł być surowy, a nawet ostry, nagadał niestworzonych rzeczy oficerom.

155

Mój pułkownik Chłussowicz, bardzo wykształcony człowiek, rozmawiając ze mną o tem, śmiał się i utrzymywał, że tu idzie o coś zupełnie innego.

— Zobaczycie — mówił — że cesarz popełni ten sam błąd, co Karol XII, zostawia za sobą Polskę niezorganizowaną, Litwę spustoszoną. Najmniejsze niepowodzenie, przegrana bitwa, mogą nas przyprawić o klęskę. Przegrana, a nawet tylko nieudana wyprawa do Rosyi, powołałaby całe Niemcy do broni a potem wszystko poszłoby tak, jak w Hiszpanii, tylko na większą skalę. Królowie, dziś zaprzężeni do tryumfalnego wozu cesarza, zrzuciliby jarzmo, a rabowane ludy wymierzyłyby sobie krwawy odwet;

nie zaręczę, czy i nasi zrabowani Litwini nie wzięliby w tem udziału. Napoleon — dodał pułkownik daleko gorzej błędzi tem, po zanedbuje, niż tem, co czyni.

Część naszego wojska w pochodzie do Mińska przechodziła przez Radoszkowice, gdzie ongi Karol XII siedział parę miesięcy i gdzie się odbyła sławna rada wojenna, która rozstrzygnęła o planach Karola. Wielu oficerów polskich studyowało gruntownie historię te j wyprawy i z podań rodzinnych znało wszystkie jej szczegóły. Mój pułkownik również studyował ją gorliwie z książek, które miał ze sobą. Nie minął dzień, żebyśmy nie mówili o Karolu XII: wszystkie nazwiska, które go otaczały, zebrane były teraz w naszym obozie. Radziwiłłowie, Zawiszowie, Sapiehowie, Tyzenhauzowie, Chodźkowie, Tyszkiewiczowie, Oskierkowie, Odyńcowie, Mackiewiczowie, Korsakowie, Sulistrowscy, służyli w naszej armii na wyższych i niższych stopniach.

14-go wyszliśmy do Smolewicz w drodze do Borysowa. Marsz był pospieszny, uszliśmy tego dnia 5 mil. Droga prowadziła prawie ciągle przez lasy, w których widać było poumieszczane barcie na pszczoły w kształcie drewnianych skrzynek, Smolenicze położone są wśród lasu i przytem dość wysoko.

156

Naturalnie, biwakowaliśmy tam. Ponieważ stało w pobliżu dużo drzewa w sążniach, nie żalowaliśmy go na ogień, zdaje mi się, że nigdy nie widziałem równie licznych i jasno płonących ognisk. A że nie brakowało nam i żywności, którą zabraliśmy z rosyjskich magazynów w Mińsku, panowała więc w całym obozie wesołość i ożywienie.

Następnego dnia rano wyszliśmy do Borysowa, do którego po różnych przystankach doszliśmy około 3-jej popołudniu. Dowiedzieliśmy się, że stały tam przedtem 3, czy 4 słabe bataliony pod dowództwem pułkownika Pressera i pracowały nad oszańcowaniem miasta. Wkrótce przed naszym przybyciem cofnęły się do Mohyłowa. Zastaliśmy tam napół wykończony szaniec przedmостowy z czterema żelaznymi armatami. Rosyanie posługiwali się w swoich kazamatach systemem, który zalecał w okolicach obfitujących w drzewo, marszałek Sachsen w swoich *réveries*. Były one bardzo suche, ale skutkiem niedbalstwa w budowie miały tę wadę, że piasek sypał się ze szpar między belkami, przez co pobyt w kazamatach był bardzo nieprzyjemny.

Ponieważ było bardzo pogodnie, lepiej nam naturalnie było biwakować na dworze, niż w kazamatach. Szańce były źle położone i tak z pagórków leżących w pobliżu, jak i z lasów dochodzących aż do nich, można je było ostrzeliwać. Leżały one nie przed mostem, ale w bok od niego, w miejscu, gdzie projektowano nowe przejście przez rzekę, który to szczegół wzięto następnie pod rozwagę, co przyniosło nam niemało szkody. Sama Berezyna jest jednym ze strumieni płynących przez łąki, które po stopnieniu śniegów, albo po wielkich deszczach wzbierają i niższe części doliny zalewają szeroko i daleko. Przy opadaniu wód tworzą się tam laguny, w których woda stoi do następnego wylewu. Na całym prawym brzegu, jak daleko oko sięgało, widać było duże i małe kałuże wody, a na nich nieprzebrane masy gęsi. Prócz tego widać było

157

stogi siana. Droga do miasta prowadziła przez kilka większych lagun, tak, że mosty na nich, w połączeniu z mostami na Borysowie tworzyły istną sieć bardzo dobrze utrzymanych mostów. Działania wojenne po gruntownym zburzeniu tych mostów byłyby bardzo utrudnione.

Jazda generała Grouchy, za którą szliśmy, przypuściła zaraz szturm do gęsi. Nasi żołnierze nie pozostali też beczynni i zaczęło się ogólne polowanie, które dało tak bogate łupy, że wieczorem chyba każdy żołnierz był w posiadaniu gęsi. Z tem wszystkim zbyteczne oddalenie się nie było bezpieczne, a kiedy po dwudniowym postoju wychodziliśmy, naokoło widać było jeszcze całe stada tych ptaków.

Borysów położony jest wysoko na lewym brzegu i panuje nad całą doliną. W historii polskich wojen słynie on jako punkt obronny przeciwko Rosyi i miejsce zebrania polskich wojsk nadgranicznych. Były tam dwa zamki, z których nie pozostało nawet zwalisk. W 1619 r. Borysów został po krwawej bitwie zabrany Rosyanom, którzy go długi czas posiadali, a w 1655 r. odebrali napowrót. Przy drugim podziale Polski dostał się znowu Rosyi i przy niej już pozostał.

Jak wiadomo, Karol XII chciał tu próbować przeprawy, ale trudne warunki miejscowe i rosyjskie wojska, stojące na drugim brzegu, bardzo wątpliwem czyniły powodzenie tego zamiaru. Król szwedzki skierował się wtedy do Studzianki, wsławionej potem przez nas, zbudował most o trzy mile powyżej Borysowa i przeszedł po nim 25-go czerwca 1708 r.

My tym razem, wyszedłszy 17-go lipca, mieliśmy wygodniejszy pochód i biwak w gęstym lesie. Zastaliśmy tam kilku obywateli niemieckich z okolicy, którzy zaprosili do siebie naszych oficerów. Z wielkiem zadziwieniem zastaliśmy u nich, wśród zabudowań, dużo młodych niedźwiadków, biegających

158

swobodnie, albo trzymanych na łańcuchach, bo w olbrzymich lasach, ciągnących się od Wilna do samego Dniepru, pełno było tych zwierząt. Polowanie na niedźwiedzie było ulubionem zajęciem tamtejszych myśliwych i nie było młogo, ktoby nie miał przytem jakiej przygody, albo przynajmniej nie opowiadał o niej. Wielu naszych oficerów chodziło do późnej nocy ze swoimi gospodarzami, napróżno szukając niedźwiedzi, ale popowracali zmęczeni i wyczerpani, nie zobaczywszy ani śladu tych zwierząt. Żołnierze, należący do korpusu marszałka Davoust, którzy szli tędy od Wilna do Mińska, zabierali często młode niedźwiadki na swoje wozy i potrzeba było aż kilka razy powtarzanych rozkazów, żeby położyć koniec tej swawoli. Mnie samemu zdarzyło się, że w obozie upadłem w nocy przez taką bestyę, uwiązaną przez żołnierzy. Mały potworek bardzo źle przyjął ten karambol i tylko przypadkowi zawdzięczam, że nie zapuścił we mnie pazurów.

Miejsce na obóz tym razem było bardzo dobre. Ognie paliły się wspaniale, pogoda była piękna, miodu podostatkiem. Pieczyste go na wieczerę dostarczyły nam jeszcze gęsi z Borysowa.

## KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.

### SPIS RZECZY

	<i>Str.</i>
XXIV. Wypoczynek w Bajonnie. — Awantura w teatrze. — Powrót do Hiszpanii. — Eskortujemy konwój. — Niepogoda. . . . .	5
XXV. Działania przeciwko Minie. — Aybar Lumbier i dolina Irati. — Wychłostany alkald. — Sanguessa. — Sadara. — Zaskoczenie Carbonary. — Bunt żołnierski. . . . .	12
XXVI. Wyprawa Chłpickiego do Pięciu Miast. — Wycieczka do Tiermas. — Egzekucya wojskowa. — Dramatyczny i choreograficzny wieczór w Saragossie. . . . .	20
XXVII. Tertulia w Sadavie. — Przygoda Żyda alzackiego. — Uroczystość czci marszałkowskiej Sucheta, środki ostrożności. — Ostatnia wyprawa do Cinco Villas. — Do Walencji. . . . .	26
XXVIII. Wymarsz pułku z Saragossy. — Pochód przez Fuentes, Alcaniz, Monrayo, San Mateo i Oropesa. — Szturm do strażnicy Torre del Rey. — Castellon de la Plana. — Parada przed marszałkiem Suchetem. — Oblężenie Murviedro (Sagunto). . . . .	38
XXIX. Charakterystyka marszałka Sucheta. — Rozkaz odprowadzenia generała Blake. — Pochód przez Peniscolo i Benicarlo do Uldecony. — Przygoda. — Pułkownik Pépé. — Przybycie do Tortozy. . . . .	71
XXX. Wiadomość o wojnie z Rosyą. — Eskortowanie ostatniego transportu jeńców. — Przeprawa przez Pireneje. . . . .	84
XXXI. Wejście do Francyi. — Markietanka 2-go pułku legii Nadwiślańskiej. — Pau. — Dom	

	Bernadotta. — Awantura porucznika Kupścia. — Nimerabeau. — Tours. — Rambouillet. — Przybycie do Paryża. . . . .	93
XXXII.	Przegląd wojsk 22-go marca. — Pochód do Sedanu.—Depôt legii. — Jenerał Claparède obejmuje dowództwo. — Formowanie trzech batalionów. — Saarbrück. — Moguncya.—Frankfurt. — Hanau. . . . .	103
XXXIII.	Podróż z Hanau do Torunia. — Jarmark w Lipsku. — Przybycie do granicy polskiej. — Nędza w kraju. — Wjazd Napoleona do Torunia. — Wymarsz do Rosyi. — Odwiedziny u rodziców. — Wilkowyszki. . . . .	120
XXXIV.	Przejście Niemna. — Pierwszy biwak na terytoryum rosyiskiem pod Kownem. — Pochód do Wilna. — Zakręt. — Rabin. — Rozstanie się z moją kompanią. — Mińsk. — Borysów. — Niedźwiedzie. — Gęsi. . . . .	140

---